
3 1761 07043535 9

HETMAN ŻÓŁKIEWSKI

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK. — Kraków, 1908.

MAURYCY MOCHNACKI (Żywot i Dzieła). Lwów, 1910. (Wyczerpane).

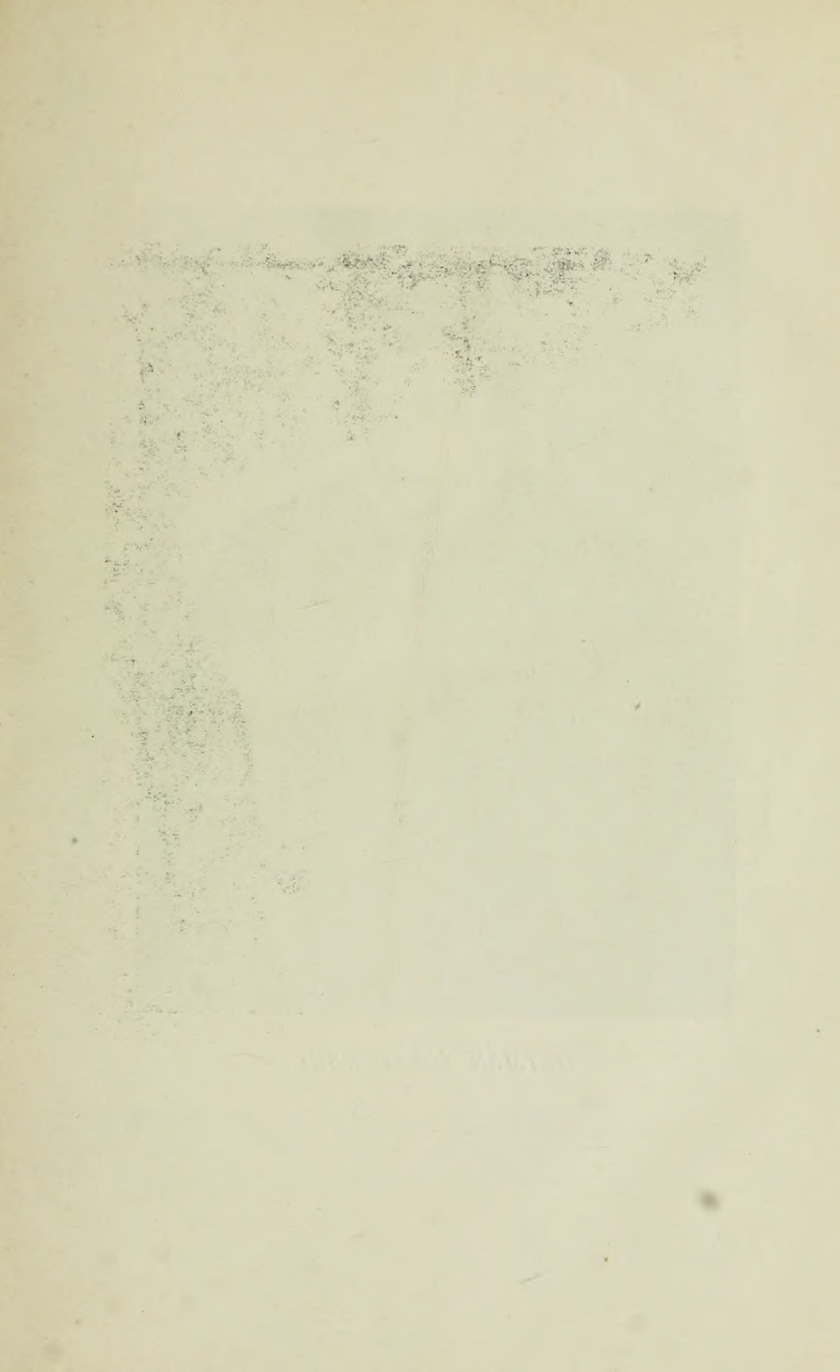
POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE. Wydanie II. Warszawa, 1920.

POWSTANIE LISTOPADOWE. Wydanie IV. Warszawa, 1918.

POWSTANIE STYCZNIOWE. Warszawa, 1919.

JOACHIM LELEWEL. Zarys Biograficzny. Warszawa, 1918.

POLSKA NIEPODLEGŁA. Opowiadania z dziejów Polski. Warszawa, 1919.





HETMAN ŻÓŁKIEWSKI.

ARTUR ŚLIWIŃSKI

HETMAN ŻÓŁKIEWSKI

Z 9 RYSUNKAMI

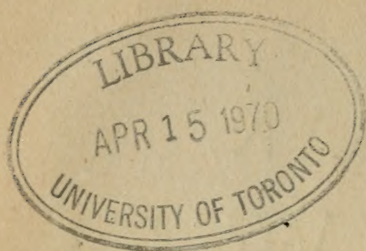


1 9 2 0

WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

POZNAŃ. ═══ ŁÓDŹ. ═══ LUBLIN.

WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.



DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, NOWY-SWIAT 41.

PRZEDMOWA.

Stanisław Żółkiewski rozpoczynał karjerę rycerską i zawód publiczny w epoce najpyszniejszego rozkwitu Rzeczypospolitej. Gdy w wieku męskim wkraczał na widownię szerszą, Polska, dzięki polityce i mieczowi Batorego, przykuwała do siebie oczy świata i promieniała majestatem niezwykłej potęgi. Głośno rozbrzmiewało w Europie groźne imię króla Stefana i pełnią swego blasku błyszczał zdobywczy genjusz Zamoyskiego.

Słońce sławy polskiej stawało u swego zenitu.

Żółkiewski był nietylko świadkiem tej wspaniałej doby: i głową, i szablą pracował dla jej chwały, a już w owym czasie cieszył się wielkiem uznaniem króla i kanclerza. Ale jako siła samodzielna, mogąca własnym wpływem ważyć na szali dziejowej, ukazuje się dopiero w wieku sędziwym, gdy wielki Zamoyski spoczął w grobie, a po królu Batorym zasiadł na tronie Jagiellonów Zygmunt III, od którego osoby padał ponury cień na drogę rozwoju i przyszłości potężnego państwa.

W historji Rzeczypospolitej zaczynał się punkt zwrotny.

W pamięci świata żywo tkwiła jeszcze Polska, pełna siły i sławy, a już zaczynała życie Polska roz-

kładu wewnętrznego, Polska słabości i upadku. Burzliwe morze złotej wolności szlacheckiej biło rozhukanemi falami w wyniosły tron Jagiellonów, walczyły ze sobą osobiste interesy magnatów i króla, a w odmęcie spienionych namiętności ginęły wielkie idee państwowe i łódź polityki polskiej, rzucona na wzburzone wody, płynęła w mroczną dal dziejów bez steru i kierunku. Zachwiana w powadze swej Rzeczpospolita wkraczała na równię pochyłą.

Na rubieży tych dwóch epok występuje Żółkiewski. Szerokością idei, mocą charakteru należy do epoki ubiegłej, jest jakby jednym z ostatnich słupów granicznych wielkości i chwały swojej ojczyzny. Ma w sobie wspaniałość i tchnienie Polski Jagiellońskiej, ma, jako statysta umysł głęboki, przedsiębiorczy i śmiały, a jako wódz lwa nosi w piersiach. Poprzedników przewyższa wysokim poziomem idealizmu i bezinteresowności, a szlachetnością i cnotą góruje nad potomnymi. Prócz osobistej namiętności posiada wszystkie dane, by prowadzić Rzeczpospolitą szlakiem złotej przyszłości. Ale ta Rzeczpospolita jest już inna. Groźna jeszcze swoją przeszłością, zaczyna się już rozkładać, zaczyna obniżać swój orli lot i krwawić się w walce wewnętrznej. Żółkiewski posiada sam w sobie dość mocy i dość genjuszu, by małemi siłami odnosić wielkie zwycięstwa nad wrogiem. Ale ta moc rozbija się o skałę zaślepienia jego własnej, a milszej mu nad życie ojczyzny. Otoczony siecią intryg, szkalowań, potwarzy, broni się prawdą i poświęceniem, a choć upada na siłach, do końca pełni swój twardy obowiązek. Marzenie, o którem często na schyłku żywota wspomina, żywi tylko jedno: pragnie śmierć ponieść w walce z wrogami ojczyzny.

A marząc o tej ostatniej ofierze, nie wypuszcza ze starczych rąk miecza, lecz stoi na straży Rzeczypospolitej i osłania ją swoją piersią do ostatniego tchnienia, aż do owej pamiętnej w dziejach Polski chwili, kiedy to w nocy z 6 na 7 października 1620 roku ginie bohatersko w pamiętnym odwrocie z pod Cecory.

Niedoceniany za życia, w godzinę zgonu ścigany jeszcze haniebnem podejrzeniem własnych żołnierzy, po śmierci dopiero odnosi zwycięstwo. Siwa głowa hetmana, triumfalnie zawieszona pod sklepieniem bramy pałacu sułtańskiego, ma w sobie taką grozę, że wstrząsa sumieniem Rzeczypospolitej i najtwardsze serca przenika żałością i bólem. Los Żółkiewskiego porusza wszystkich, co mają odwagę sięgnąć okiem w przyszłość: widmo zagłady idzie ku Polsce z żałobnych pól Cecory, obraz rozkładu wewnętrznego, obraz zbrodniczej samowoli polskiej unosi się nad pobojowiskiem. A obraz ten zbryzgany jest krwią wielkiego hetmana.

Zadumała się Rzeczpospolita nad zgonem najlepszego z swych synów.

Tomasz Zamoyski, wojewoda kijowski, w mowie sejmowej, wygłoszonej 5 grudnia 1620 roku, a poświęconej pamięci Zółkiewskiego, musiał do głębi duszy wstrząsnąć słuchaczami, gdy ze zrozumiałem przejęciem się wołał, że trup hetmana „wskazywa do waszmościów, miłościwi panowie senatorowie, abyście opatrzyli w czas dobrze tę ojczyznę, póki nie nastąpi nieprzyjaciel"...

Nie przebrzmiały te nawoływania bez echa. Tym razem spełnili swój obowiązek panowie, opatrzyli Rzeczpospolitą i, ocalając ją wiekopomnem zwy-

cięstwem chocimskiem, oddali zarazem hołd pamięci wielkiego hetmana.

Wspomnienie Cecory nieraz jeszcze budziło żal i trwogę, nieraz dźwięczało, jak dzwon alarmowy w ponure noce klęsk i nieszczęść narodu. Rozpamiętywały zgon Żółkiewskiego całe pokolenia, opiewali ten zgon poeci, z zadumą zatrzymywali się nad nim dziejopisowie. Z czasem legenda cecorska przesłoniła szerokiemu ogółowi inne dzieła hetmana. Tymczasem Cecora była tylko koroną, wieńczącą ofiarny żywot bohatera, ostatniem ogniwem w złotym łańcuchu jego wielkich czynów.

Trzysta lat przeminie niebawem od owej żałobnej rocznicy!

Niestety, w ciągu trzech długich stuleci nie uczciła wielkiego hetmana niewdzięczna potomność. Żółkiewski dotąd nie ma swojej biografji[1]) i dotąd pozostałe

---

[1]) Wprawdzie w piśmiennictwie naszém istnieje dwutomowa praca Józefa Aleksandra Starży (Miniszewskiego) p. t. „Stanisław Żółkiewski", ale nie jest to właściwie biografja w ściślejszem tego słowa znaczeniu. Autor sam zapowiada, że w jego dziele „nie zobaczy czytelnik życiorysu, ale obraz dziejowy czasu i ludzi". Według zamierzeń autora, postać Żółkiewskiego na tle tego obrazu zarysować miała się sama. Autor bardzo szeroko pojął swoje zadanie: poprzedził pracę obszernym wstępem, liczącym 122 stronice druku, a zaczynającym się od podań o Lechu i będącym zarysem dziejów Polski od czasów legendowych do wstąpienia na tron Stefana Batorego. Takim samym zarysem dziejów Polski jest ciąg dalszy książki. Autor opierał się głównie na Heidensteinie i Niemcewiczu. Praca to przestarzała, wydana w Berlinie w roku 1851-ym, a więc przed ukazaniem się „Pism" Stanisława Żółkiewskiego, które wydał August Bielowski i „Listów" hetmana, wydanych przez Lubomirskiego w Krakowie w roku 1868. Cennym, źródłowym przyczynkiem do życiorysu jest

po nim zabytki rękopiśmienne oczekują na wydawnictwo zbiorowe[1]). Ogromna to dla piśmiennictwa ojczystego strata, bo ten wielki bohater władał równie świetnie piórem, jak mieczem, a dzieła jego pióra zawierają przepiękne perły literackie, bezcenne klejnoty uczuć i myśli, pozwalające wniknąć w głąb duszy i serca jednego z największych bohaterów Polski.

Ale Żółkiewskiemu należy się od potomnych coś więcej!

W Warszawie, na placu przed zamkiem królewskim widnieje wyniosły pomnik Zygmunta III. Ale w murach Warszawy niema pomnika Żółkiewskiego, któremu i król Zygmunt i stolica Polski zawdzięcza

---

praca Bielowskiego p. t. „Niektóre rysy z życia Stanisława Żółkiewskiego", zamieszczona w wydanych przez Bielowskiego „Pismach". Pozatem istnieją tylko niewielkie rozmiarami broszurki o Żółkiewskim, jako to Fryderyka Pape'ego: „O hetmanie Żółkiewskim" (Lwów, 1908, str. 55), prof. d-ra Stanisława Kozłowskiego: „Stanisław Żółkiewski, kanclerz koronny i hetman" (Kraków, 1904, str. 126), J. L. Popławskiego i inne.

[1]) Oprócz „Pism" i „Listów" w wydawnictwie należałoby uwzględnić mowy i listy, których rękopisy znajdują się w bibljotekach Kórnika, Poznania, Krakowa. Wspomina o nich Bielowski. Specjalnych zabiegów wymagać będzie odszukanie zbioru, o którym w pracy swojej mówi Seweryn Gałęzowski, a który składał się ze 130 listów. Skrzętne poszukiwania w archiwach krajowych i zagranicznych niewątpliwie spadek piśmienniczy po Żółkiewskim znakomicie pomnożą. Początek w wydawaniu rękopisów Żółkiewskiego dał Moskal, Paweł Muchanow i, rzecz ciekawa! w Moskwie w r. 1835 wydany został po raz pierwszy: „Początek i progres wojny moskiewskiej". Poza tem wydawnictwem należałoby koniecznie wydać w popularnem wydaniu wybór pism Żółkiewskiego, by szerszy ogół mógł poznać hetmana, bezpośrednio obcując z jego myślami i jego niepożytym duchem.

jeden z największych triumfów, jakie kiedykolwiek stolice innych państw przeżywały: uroczysty wjazd śmiertelnych wrogów Rzeczypospolitej, cara Wasyla i dwóch jego braci, których Żółkiewski wziął do niewoli i przyprowadził do podnóża tronu królewskiego.

Niepodobna wątpić, że w stolicy wolnej Rzeczypospolitej Polskiej, gdy tylko warunki na to pozwolą, stanie ze śpiżu pomnik bohatera, że wydane zostaną wszystkie jego pisma i że dziejopisarstwo polskie wystawi mu drugi pomnik w postaci wielkiej monografji, na którą Żółkiewski oczekuje lat trzysta!

Praca niniejsza nie rości sobie najmniejszej pretensji do wyczerpania niezwykle ponętnego tematu i bynajmniej nie wypełnia dotkliwej luki w historjografji polskiej. Zaczęta przed laty, ma jedynie przypomnieć szerszemu ogółowi świetlaną postać wielkiego męża stanu i wielkiego wodza, co jeszcze w ostatniej godzinie pragnął swym trupem zawalić nieprzyjacielowi drogę do ojczyzny i, zgodnie z tem pragnieniem, purpurą swej bezcennej krwi zapisał ostatnią kartę w wiekopomnej księdze swego żywota.

Skromnym wyrazem hołdu dla tego żywota i dla tej krwi jest zarazem praca niniejsza.

I.

MŁODOŚĆ HETMANA.

Ruś Czerwona, strony rodzinne Stanisława Żółkiewskiego, należała do najpiękniejszych części Rzeczypospolitej. Wysławiali ją dawnych czasów pisarze, a już Długosz nazywał ziemią obiecaną, miodem i mlekiem płynącą. Urodzajna i żyzna kraina, obfitująca w wyniosłe lasy, w rozległe pola, błonia i wody, była zarazem wysoce malownicza. Łagodne wzgórza, poprzecinane wstęgami strumieni, płynących ku błękitnym taflom jezior i obszernych stawów, złociły się latem bujnemi łanami pszenicy, połyskiwały srebrem żyta, pieściły oko zielenią łąk puszystych, bogato obsypanych kwieciem. Pełno słońca i woni, śpiewu ptactwa i złotego brzęku owadów unosiło się wszędzie w przestworzach. Do siedzib ludzkich przylegały błyszczące owocami sady, po stokach większych wyniosłości pięły się tu i owdzie winnice, a piękne stadniny i liczne trzody, zalegające wesołe pastwiska, świadczyły o zamożności i dobrobycie mieszkańców. Cała kraina, pławiąca się w potokach słonecznych, sprawiała wrażenie błogosławionego zakątka, w którym gości promienna pogoda i spokój, a praca rolnika zbiera najobfitsze plony.

Ale ten spokój był tylko pozorny.

Nad tą ziemią uroczą, ziemią obiecaną, często gromadziły się chmury i w ciągu długich stuleci strasznem groziły jej niebezpieczeństwem. Raz wraz burza wojenna szalała na tych jasnych, słonecznych przestrzeniach i niszcząca fala tatarska płynęła poprzez złote obszary łanów pszenicznych. Wtedy ta cudna kraina stawała w kurzawie dymów i płomieni, trzęsła się od gromów armatnich, szumiała szczękiem oręża, huczała odgłosami harców i walk, które rycerstwo polskie staczało z dziczą tatarską. Niezawsze przecież miecz polski zdołał w porę wstrzymać zapędy Tatarów. W takich wypadkach okrutny najeźdźca hulał po swojemu, łupił, palił, mordował i zabierał jasyr. Ziemia błogosławiona zamieniała się wtedy w krainę najstraszniejszych okrucieństw, w krainę największej nędzy i rozpaczy. Ludność przerażona uciekała w lasy, kryła się w głębokich jarach, szukała schronu w niedostępnych bagnach, lecz pomimo wszystko wielu mieszkańców, wytropionych przez dzikie oczy Tatarzyna, ginęło od strzał i nożów, wielu, spętanych łykiem, a przywiązanych barbarzyńsko do ogonów końskich, szło na daleki wschód, by resztę życia spędzić w haniebnej niewoli. Cały dobytek wpadał w ręce dziczy, a siedziby ludzkie stawały się najczęściej pastwą pożarów, których olbrzymie łuny, krwawo świecące po nocach na niebie, ostrzegały dalsze okolice, by miały się na baczności. A gdy cofnęła się fala tatarska, gdy przeminęło niebezpieczeństwo, a ocalona ludność wracała na dawne siedliska, to na ich miejscu zastawała jeno rumowiska i gruzy, jeno tlejące popioły i zgliszcza.

Najazdy tatarskie powtarzały się tak często, że hetman Żółkiewski wyliczył ich za swojej pamięci trzydzieści i to wielką ordą, nie biorąc w rachubę zagonów pomniejszych.

Napaści takie nieraz srogo odpokutowywali drapieżni barbarzyńcy, bo ziemia ta nieustraszonych miała obrońców. A jeśli nawet udało się im rozpalić płomienie zniszczenia, to kraj szybko przychodził do siebie. Po pewnym czasie dźwigały się z popiołów chaty i dwory, odbudowywały się spalone miasteczka, a pracowity lud wychodził w pole i niezmordowanie uprawiał życiodajną glebę. Zroszona krwią ziemia zakwitała nanowo zbożem i kwiatami — i w pięknej, słonecznej krainie znowu gościł spokój. Tylko nowe mogiły i kości, rozsiane po polach, świadczyły, że życie ludzkie nie jest w tych stronach bezpieczne.

Najwidoczniej jednak te niebezpieczeństwa miały swój urok, albowiem najazdy tatarskie nigdy nie zdołały wyludnić Rusi Czerwonej i powstrzymać napływu przychodźców. Z północnych stron Rzeczypospolitej ochoczo ciągnął tu lud rycerski, rozkochany w przygodach, spragniony harców z Tatarem, a znęcony bogactwem i żyznością ziemi. Rad osiedlał się tutaj wojowniczy chłop Mazur, chętnie zakładał folwark szlachcic z piaszczystego Mazowsza i obejmował w swoje posiadanie włości możny magnat, obdarowany tu ziemią przez króla.

Przodkowie hetmana Żółkiewskiego również z Mazowsza przybyli w te strony.

Bartosz Paprocki wymienia dwie rodziny tego nazwiska. Jedna, herbu Bończa, już w początkach XV stulecia zamieszkiwała ziemię chełmską, druga,

herbu Lubicz, z której pochodził hetman, spotykamy w wieku XVI w okolicach Lwowa. Była to szlachta niezbyt jeszcze można, ale piastująca wysokie godności i głośna czynami rycerskiemi.

„Był wieku mego — powiada Paprocki — Mikołaj Żółkiewski wojewodą bełskim, ten się z młodych lat swych na chlebie rycerskim w znacznych posługach Rzeczypospolitej i królów polskich, panów swych bawił, roty wodził znaczne i w potrzebach z nimi bywał, z Tatary i Wołochy i tam, gdzie potrzebowała Rzeczpospolita obrony, znacznym się pokazywał".

A Niesiecki dodaje:

„Ten Mikołaj z Tatarami częste utarczki miewał, kędy odważne serce jego i za ojczyznę na śmierć gotowe wszyscy mu przyznawali".

Mikołaj Żółkiewski pozostawił po sobie czterech synów, z których Stanisław, ojciec hetmana, dorobił się wielkiej fortuny i dostąpił nielada zaszczytów. Służąc wojskowo, odznaczył się w walkach z Tatarami, zdobył, jako doświadczony wojownik, uznanie hetmana Sieniawskiego, a później wraz z dorosłym już synem uczestniczył w świetnych wyprawach króla Batorego przeciw Iwanowi Groźnemu. Rzemiosło rycerskie nie przeszkadzało mu brać najżywszego udziału w życiu publicznem. Nie tylko szablę, ale i głowę musiał mieć nie od parady, bo kilkakrotnie posłował, a na pamiętnym sejmie lubelskim podpisał akt unji Litwy z Koroną. Z czasem został starostą, później wojewodą bełskim, później jeszcze król Stefan Batory, na krótko przed swą śmiercią, mianował go wojewodą ruskim.

Wraz z zaszczytami rosła i fortuna.

Dzierżawił on w ziemi lwowskiej wieś królewską Turynkę, a szczęście chciało, że sąsiadował i przyjaźnił się serdecznie z bogatym posiadaczem rozległych włości, wojskim buskim, Andrzejem Wysockim, który, będąc w podeszłym wieku, zapisał przyjacielowi tytułem darowizny obszerne swe dobra: Winniki, Sopuszyn, Macoszyn, Glińsko, Myśmienicę. Te dobra w gospodarnych rękach Żółkiewskich stały się podwaliną olbrzymiej fortuny i potęgi ich rodu. Zamożna szlachta, dzięki bogactwu i piastowanym godnościom, podnosiła się coraz wyżej i stawała w rzędzie najpierwszych magnatów Rzeczypospolitej.

We wsi Winnikach zamieszkała rodzina Żółkiewskich, a wieś ta, przepysznie później przez hetmana zabudowana, przemieniła się w siedzibę magnacką i jako miasto Żółkiew zasłynęła po świecie.

Wojewoda Żółkiewski żonaty był kilkakrotnie. Z potomstwa jego wspominają heraldycy o synu Mikołaju, podkomorzym lwowskim, głośnym niepospolitą wymową, o córce Annie, wydanej za mąż za Józefa Miękickiego, wreszcie o najmłodszym synu, imienniku ojca, Stanisławie, przyszłym hetmanie i kanclerzu, który imię Żółkiewskich miał okryć nieśmiertelną sławą.

Stanisław Żółkiewski urodził się w r. 1547 we wsi Turynce pod Lwowem, z matki Zofji, z domu Lipskiej z Goraja, herbu Korczak.

Chłopięce lata bohatera upłynęły śród wrażeń i przygód, jakie na Rusi Czerwonej przeżywała każda rodzina szlachecka. I Turynki nie omijały napady tatarskie. Przechowała się wiadomość, że w pewien letni dzień, kiedy Żółkiewski małem był jeszcze dziecięciem, piastunka wyprowadziła go na łąkę.

Słoneczna cisza panowała dokoła i nic nie zapowiadało zbliżania się burzy. Nagle cała wieś zawrzała niezwykłem życiem, rozległy się przerażające okrzyki i w ciche przestrzenie, jak grom gruchnęła wieść o nadciąganiu hordy tatarskiej. Dziki popłoch opanował spokojną wioszczynę. Przerażona piastunka, gnana śmiertelnym lękiem, zapomniała o powierzonem opiece jej dziecku i wraz z innymi rzuciła się do ucieczki. Opuszczony chłopczyna pozostał sam na łasce losu. Szczęściem, w ostatniej chwili spostrzeżono jego nieobecność. Rzucono się więc na poszukiwania, odnaleziono chłopca i ledwie zdołano z nim uciec przed wtargnięciem nieoczekiwanych a straszliwych gości.

Śród takich przygód i wrażeń upływały lata chłopięce hetmana. Wielki wojownik wyrastał w atmosferze niebezpieczeństw, w domu rycerskim, pod okiem ojca, który nieraz zbrojno wyruszał w pole i miecz swój szczerbił na karkach Tatarów. W domu rodzinnym zaszczepiono w chłopcu głęboką pobożność, którą odznaczał się w dalszem swem życiu. W tej pobożności nie było przecież nic z fanatyzmu religijnego owej epoki. Inne wyznania Żółkiewski również w głębokiem miał poważaniu: z czasem, budując w Żółkwi kościół katolicki, zbudował i cerkiew dla ruskiego ludu. Zycie w rodzinnej Turynce, mimo niebezpieczeństw i wrzawy wojennej, nie przeszkadzało nauce. Ojciec pamiętał, aby kształcić dzieci. Przyszły hetman, odebrawszy staranne wychowanie w domu, oddany został do szkół we Lwowie. Tu rad przykładał się do książki i uczył się pilnie.

Umysł miał bystry, pojętny, ciekawy. Pamięć posiadał wręcz nadzwyczajną. Chciwy wiedzy, z włas-

nego popędu czytał bardzo dużo, a cokolwiek przeczytał, to pamiętał nazawsze. Z dzieł przeczytanych mógł na pamięć przytaczać całe ustępy, a jeśli się zdarzyło, że w jego obecności powtórzył ktoś niedokładnie zdanie którego z bardziej znanych autorów starożytnych, poprawiał go zaraz i ku podziwieniu słuchaczów, nie zajrzawszy do książki, wymieniał nawet stronicę, na której się owa cytata znajduje. Z poetów starożytnych znał wszystkich, a najbardziej lubował się w Horacjuszu. Poza tem miał wielki pociąg do historji i w dziełach historycznych najpilniej się rozczytywał. Zasłynął też z czasem, jako niepospolity znawca dziejów ludzkich. O jego wiedzy historycznej z uznaniem pisał mądry biskup Piasecki i z podziwem wspominali inni pisarze współcześni. Sam Żółkiewski widział w historji mistrzynię życia, ze zdarzeń dziejowych umiał wysnuwać prawdę, czerpać korzyści praktyczne i w trudnych okolicznościach życia szukać wskazówek w przeszłości.

Wielki wódz niejednokrotnie w swych pismach wyrażał cześć dla nauki i wiedzy. Z czasem, gdy był już w wieku sędziwym, w takich słowach odezwał się w jednym ze swych testamentów do syna-jedynaka:

„—Młodsze lata swe naukami poleruj, nie daj się nikomu w młodości twojej od tego odwodzić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę i wielki ratunek do godności, do służby Rzeczypospolitej, do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich: nie mam chęci do nauki. W twojej mocy ta chęć, każdy, kto chce, może ją mieć”.

Miłośnik i znawca historji, na znajomość dziejów ludzkich szczególny kładł nacisk. Więc w tymże testamencie zalecał synowi:

„Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam niemałą wiadomość historji i w biegu spraw siłam się tem ratował, żem przeszłych wieków sprawy wiedział”...

Rozkochany w książkach wojownik sam pisał pięknie, a choć za życia tylko jedną swą pracę ogłosił drukiem, to pozostawiony przez niego opis wojny moskiewskiej, jego testamenty, listy i mowy, stawiają go obok przedniejszych swego czasu pisarzy.

Wogóle natura hojnie uposażyła go swymi darami: niepospolity umysł i wielka dusza w pięknem mieściły się ciele. Zółkiewski słynął z urody, a choć, jak sam powiada o sobie, był „kompleksji słabej”, to przecież postać miał kształtną i wdzięczną. Życie wojenne zahartowało z czasem słaby organizm. Pomimo pociągu do książek, temperament miał żywy, ognisty, a jeszcze w ostatniej wyprawie zadziwiał rycerstwo prawdziwie młodzieńczą „gorącością”...

Po opuszczeniu szkół we Lwowie, Żółkiewski, jakto było w obyczaju zamożnej szlachty ówczesnej, wyjechał na pewien czas zagranicę, ale z pobytu w obcych krajach nie wyniósł dodatniego wspomnienia: z czasem wyraził życzenie, aby syn jego nie zagranicą, lecz w Polsce się kształcił.

„Nierówno większa liczba jest tych — pisał — którzy do cudzych ziem dla ćwiczenia jeżdżą, co więcej złych, niźli dobrych obyczajów przynoszą, a zgoła rzadki z czem dobrem przyjedzie”.

A oto droga, którą hetman zalecał swemu synowi:

„Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, rycerskie ćwiczenie jest szlachcicowi najprzystojniejsze. Tem się paraj, próżnowania, jako powietrza się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził. Przy hetmanie się pierwej baw, rzeczom się przypatrzywszy, dopiero też rotę możesz wieść”...

A droga, którą Żółkiewski wskazywał jedynakowi, była własną hetmana drogą. Szukając „rycerskiego ćwiczenia”, jako według pojęć ówczesnych „najprzystojniejszego” szlachcicowi, udał się na dwór, spokrewnionego z rodziną Żółkiewskich, Jana Zamoyskiego, i zaciągnął się pod jego chorągiew. „Ćwiczył się” niechybnie na wyprawach przeciw Tatarom, a odznaczyć się musiał i spore zdobyć doświadczenie, bo już w wojnie Batorego przeciw Gdańszczanom prowadzi znaczne roty do ataku. Nietylko przecież w rzemiośle rycerskim się kształcił. Pod okiem Zamoyskiego sposobił się jeszcze do życia publicznego, a że cieszył się względami możnego opiekuna, więc dopuszczany bywał do różnych spraw, które zajmowały wielki umysł jego protektora.

Zamoyski, zaledwie o sześć lat starszy od Żółkiewskiego, szybko stał się olbrzymią w Rzeczypospolitej powagą, a z roku na rok rosnąc w zaszczyty i dostojeństwa, mocno dzierżył w swych żelaznych rękach ster nawy państwowej i jako wielki kanclerz kierował nią po mistrzowsku. Potężny umysłem i groźny swą niezłomną wolą, statysta genjalny, człek uczony o niezwykle żywym i wszechstronnym umyśle, wielki mówca a zarazem pełen zmysłu praktycznego działacz, mąż, z którego imieniem zrósł się jeden z wielkich w dziejach Polski przewrotów, wynoszący szlachtę na sterownicze w państwie stanowisko,

Zamoyski od wczesnej młodości szedł przez życie krokiem zdobywcy i jak w słońcu chodził w blaskach swego genjuszu.

Pod kierunkiem takiego mistrza wtajemniczał się Żółkiewski w sprawy publiczne, jego oczyma uczył się patrzeć na wypadki, wstrząsające życiem Rzeczypospolitej, jego polityce służył i dla niej pracował. Poznawszy genjusz Zamoyskiego, szczerze przywiązał się do jego osoby i wraz z ojcem należał do najgorętszych zwolenników i obrońców potężnego pana na Zamościu. Ze swej strony i Zamoyski otaczał Żółkiewskich swoją możną opieką, a z bawiącym na dworze jego młodym Stanisławem, wszedł z czasem w bliskie i zażyłe stosunki. Genjalny mąż przeniknął niepospolite zdolności Żółkiewskiego, ocenił jego tęgą głowę i niezawodną szablę. Więc wprzągł go w złoty rydwan swych wielkich przedsięwzięć i wprowadził na drogę błyszczącej karjery.

Żółkiewski w przeciwstawieniu do Zamoyskiego był skromny, cichy, nie piął się ku górze, nie umiał roztaczać wkoło siebie blasku, jaki bił od osoby kanclerza. To też zaćmiony jego sławą i znaczeniem, długi czas pozostawał w cieniu. I długi czas wszystkie jego czyny, o których wspominają kronikarze, związane są z imieniem Zamoyskiego.

Rajnold Heidenstein, sekretarz króla Stefana i rzetelny panowania Batorego dziejopis, opisując wyprawę króla przeciw zbuntowanym Gdańszczanom, wspomina o młodym Żółkiewskim, jako o poruczniku w chorągwi Zamoyskiego. W bitwie pod Tczewem wraz ze Spytkiem Jordanem stał Żółkiewski na czele jazdy królewskiej: tak węgierskiej, jak polskiej. Jazda ta w decydującej chwili uderzyła na jazdę niemiecką,



JAN ZAMOYSKI

złamała jego szyki i, zmusiwszy Niemców do ucieczki, przyczyniła się do świetnego zwycięstwa.

Od tej chwili współcześni kronikarze coraz częściej wspominają nazwisko Żółkiewskiego.

Widzimy go później wraz z ojcem w zwycięskich hufcach Batorego, idących wypłacać się Iwanowi Groźnemu za jego zbójecką napaść na Inflanty i przewrotny do Polski stosunek. W tych wyprawach uzupełnia i gruntuje Żółkiewski swoje doświadczenie wojenne, odznacza się w bitwach pod Toropcem, Wieliżem, Wielkimi Łukami, daje się bliżej poznać królowi i, acz bez hałasu, odgrywa coraz wybitniejszą rolę. Obok kanclerza i król zaczyna go darzyć swem zaufaniem: obaj posługują się nim, jako pośrednikiem, gdy są ze sobą rozdzieleni, a chcą zakomunikować sobie o swych poufnych zamiarach, tak w sprawach toczącej się wojny, jako i w rzeczach politycznych. Żółkiewski sekretarzuje królowi i ma zaszczyt coraz częściej obcować z niezwykłym umysłem Batorego. Nie piastuje jeszcze senatorskiej godności, ale już zwraca na siebie uwagę współczesnych i zaczyna słynąć zaletami umysłu i serca.

A rozgłos, otaczający imię Żółkiewskiego, omal nie staje się przyczyną jego zguby.

Było to w styczniu 1582 roku podczas oblężenia Pskowa.

Po jednej z klęskowych wycieczek Moskali, Zamoyski, kierujący oblężeniem, zawiadomił dowódcę twierdzy, kniazia Iwana Szujskiego, że pozwala na pochowanie trupów poległych w wycieczce żołnierzy moskiewskich. Aby zaś wroga upewnić, że nie knuje podstępu, słowem honoru zaręczył za bezpieczeństwo tych, co wyjdą z twierdzy i pogrzebem się zajmą,

Krok ten z uznaniem powitany został przez Moskali, a Szujski podziękował Zamoyskiemu za ludzkość i prosił go, aby przysłał do miasta pełnomocników dla omówienia sprawy. Zgodnie z tem życzeniem pełnomocnicy udali się do twierdzy, a Żółkiewski, pewien bezpieczeństwa, siadł na koń i z gronem towarzyszy zbliżył się do murów fortecznych, aby być świadkiem pogrzebu. Spostrzegli Moskale świetny orszak jeźdźców, a jakiś zbieg z obozu polskiego poznał Żółkiewskiego i wskazał go Szujskiemu, jako powiernika króla i kanclerza. Wiarołomny Moskal natychmiast uknuł zdradę. Polecił swoim przewlekać rozpoczęte z wysłańcami polskimi układy, a jednocześnie rozkazał zatoczyć na mury kilka wielkich armat i paruset strzelców z nabitą bronią ustawić w miejscu, skąd grupa jeźdźców najlepszym była celem.

Polacy, nie przeczuwając zdrady, stali bezpiecznie pod murami. Nagle padł strzał i kula odbiła się o zbroję stojącego przy Żółkiewskim Melchiora Zawiszy. Po tym strzale jakby na umówiony sygnał, huknęła salwa muszkietów i ryknęły ciężkie armaty. Rzęsisty grad kul posypał się ku garstce rycerzy, z wyciem i świstem przeleciały ponad ich głowami pociski armatnie, lecz szczęściem nie raniły nikogo. Jeźdźcy zawrócili konie i, jakby cudem ocaleni, cało wrócili do obozu.

Ale zdrada Szujskiego do żywego oburzyła rycerstwo polskie. Postanowiono zemścić się na nim, a Jan Ostromęcki, dowódca artylerji polskiej, na podstęp wiarołomcy podstępem odpowiedział. Przez jeńca Moskala posłał on Szujskiemu piekielną machinę własnego wynalazku. Machina ukryta była w skrzyni, mającej zawierać jakoby wielkie kosztowności, a pochodzić od znajdującego się w obozie polskim cudzoziemca,

oddanego carowi. Szujski dał się podejść. Gdy wniesiono mu do izby pakę, zaraz otworzyć ją kazał. Zbiegło się wielu ciekawych, a jeden z najniecierpliwszych bojarów stanął na skrzyni i rękoma usiłował oderwać jej wieko. Lecz w tej chwili straszliwy huk wstrząsnął izbą, zadrżały mury, prysnęły na wszystkie strony odłamki żelaza, posypały się gruzy i na głowy obecnych runęła część dachu. Kilku obecnych życiem, kilkunastu ranami przypłaciło wybuch. Szujski szczęśliwym trafem ocalał, ale pono oberwał coś przy eksplozji, bo przez kilka dni nie widać go było na murach. To pewna, że okrutnie wziął ten podstęp do serca, gdyż napisał do Zamoyskiego list, pełen pretensyj i obelg. Zamoyski nie pozostał dłużnym w odpowiedzi, a że pióro miał niezwykle ostre, musiał potężnie dogodzić Moskalowi, bo do żywego poruszony Szujski na pojedynek go wyzwał. Ale w oznaczonym terminie tylko Zamoyski stawił się na miejscu spotkania: Szujski stchórzył i nie stanął do walki.

Tak skończyło się zdarzenie, które Żółkiewskiego omal nie pozbawiło życia, a Polski jednego z największych jej mężów.

Skończyła się wreszcie krwawa wojna z Moskwą, a choć nie doprowadziła do podbicia carstwa, zapewniła Rzeczpospolitej przewagę nad chytrym i zaborczym sąsiadem, okryła wielką sławą i króla, i kanclerza, i Rzeczpospolitą. Oręż polski, o którym już zapomniano w Europie, rozbłysnął znowu blaskiem świetnych zwycięstw i odzyskał dawną powagę.

Żółkiewski, acz odznaczył się w tej wojnie i posiadł zaufanie króla, stawał dopiero na progu świetnej przyszłości. Kończył już trzydzieści pięć lat życia, a więc dosięgnął wieku, w którym Zamoyski wielkie piasto-

wał dostojeństwa. Żółkiewski posuwał się naprzód powoli, a chociaż już zwrócił na siebie uwagę współczesnych, zaćmiony był sławą kanclerza, którego fortuna wynosiła coraz wyżej. Wybraniec losu, otrzymawszy w czasie wojny buławę hetmańską, zjednoczył w swych rękach przeogromną władzę i stawał u szczytu swojej potęgi.

Żółkiewski był tylko świadkiem i uczestnikiem wielkich powodzeń swego protektora.

Wkrótce po ukończeniu wojny moskiewskiej Zamoyski miał podnieść jeszcze swoje znaczenie przez małżeństwo z synowicą króla, Gryzeldą Batorówną, córką księcia siedmiogrodzkiego Krysztofa. Król Stefan, chcąc nowym dowodem swej życzliwości zaszczycić Zamoyskiego, sam pragnął tego małżeństwa. Jakoż po zwycięstwach nad Moskwą, w czerwcu 1583 roku odbyła się w Krakowie wspaniała uroczystość weselna. Znamienitsze rycerstwo, chcąc uczcić swego hetmana, zjechało tłumnie na gody i wzięło udział w turnieju, a następnie w świetnych igrzyskach, jakich Kraków nigdy przedtem i nigdy już potem nie widział. Król z królową, niemal wszyscy senatorowie, posłowie państw cudzoziemskich, najmożniejsi magnaci polscy i litewscy, słowem, wszystko, co Rzeczpospolita miała najświetniejszego, zebrało się w stolicy, by uczestniczyć w uroczystości. W wielkiem widowisku na rynku krakowskim, które rozpoczął turniej, a zakończyły żywe, ruchome obrazy i Żółkiewski wziął udział. Wystąpił on, jako bogini łowów, Diana. Przybranego we wspaniałą, zieloną szatę otaczał orszak nimf, a poprzedzała para jeleni, tropiona przez sforę ogarów.

Wielka uroczystość w stolicy zdawała się świadczyć, że cała Polska z królem na czele oddaje cześć

pierwszemu dostojnikowi Rzeczpospolitej i jednoczy się w składanym mu hołdzie.

Ale tak nie było.

Szlachcic polski, piastujący dostojeństwo kanclerza i hetmana, a stający się przez żonę powinowatym króla, musiał obudzić niezadowolenie w swej braci' która czujnie stała na straży równości szlacheckiej i zazdrośnie jej strzegła. Zamoyski obok przyjaciół miał wielu niechętnych i niemało wrogów, którym jego potęga nie dawała spokoju. Wspaniała uroczystość weselna pogłębiła niechęć, przysporzyła kanclerzowi nieprzyjaciół i poruszyła żmiję syczącej zawiści, która wyżej podniosła swój łeb jadowity. Pomiędzy Zamoyskim a nieprzyjaznym mu obozem dojść miało niebawem do walki. A walka ta w całej Polsce rozpętała burzę.

I nad głową Żółkiewskiego zawisły pioruny.

II.

ZA GWIAZDĄ ZAMOYSKIEGO.

Duszą przeciwnego Zamoyskiemu stronnictwa byli potężni panowie Zborowscy, ludzie wpływowi, szeroko ustosunkowani i mający śród szlachty wiele zagorzałych stronników. Niegdyś usilnie pomagający Batoremu do uzyskania korony polskiej, później zawiedzeni w swoich osobistych rachubach, z gorących przyjaciół króla, najzawziętszymi stali się wrogami. Magnaci, pełni pychy, pragnący w swych rękach skupić największe dostojeństwa, nie mogli przebaczyć królowi, że godność kanclerską, o którą zabiegali dla jednego z członków swej rodziny, król, znawca ludzi i charakterów, powierzył Zamoyskiemu. Obrażeni w swej dumie, zapłonęli gniewem, a że nowy kanclerz nie myślał popierać ich ciągłych pretensyj do wakujących godności i uposażeń, więc i w kanclerza zaczęli godzić strzałami swej nienawiści.

Ważący się na wszystko, a zaślepieni uczuciami gniewu i zemsty, powzięli zuchwałą myśl, by obalić króla i zdeptać jego pierwszego ministra. Knując spiski, nie zawahali się nawet wejść w stosunki z wrogami Rzeczpospolitej.

Pomiędzy braćmi Zborowskimi największą zuchwałością odznaczał się Samuel, skazany jeszcze przez Henryka Walezjusza na wygnanie z kraju za zabójstwo kasztelana Wapowskiego. Banita znalazł gościnę w Siedmiogrodzie na dworze Batorego, gdy więc Batory za przyczynieniem się Zborowskich, został królem polskim, Samuel powrócił do kraju i ufny w opiekę króla, otoczył się hulaszczą kompanją i wałęsał się po całej Polsce, drwiąc z ciążącego na nim wyroku.

Ostrzegał go król, doradzając, by cicho na pograniczu czas jakiś przesiedział, dopóki ów wyrok prawnie nie zostanie zniesiony, pisał do niego Zamoyski i prosił, by nie pokazywał się nigdzie publicznie, a, broń Boże, nie zjawiał się w krakowskiem, gdyż jako starosta krakowski musiałby go wedle prawa uwięzić i postąpić, jak wymaga prawo.

Ale butny magnat, przekonany, że w Polsce nikt nie ośmieli się na niego targnąć, lekceważył ostrzeżenia, rady, prośby i nie zmieniał postępowania. Jakoż istotnie przez długi czas nikt nie ośmielił się podnieść ręki na otoczonego zbrojną kupą zuchwalca. Gdy jednak Zamoyski wpadł na ślady spisków, przebrała się miara cierpliwości. Oburzony kanclerz, zebrawszy dowody winy, po raz ostatni postanowił przestrzec spiskujących braci. W tym celu polecił Żółkiewskiemu pojechać do Andrzeja Opalińskiego, który był marszałkiem wielkim koronnym, a zarazem powinowatym Zborowskich. Żółkiewski przedstawił marszałkowi zebrane materjały i oświadczył, że kanclerz uroczyście zrywa z przestępcami.

Ale i ten krok nie odniósł skutku. Bracia nie zaprzestali knowań, a Samuel Zborowski odgrażając się

Zamoyskiemu, publicznie zapowiadał, że zbrojną ręką ścigać go będzie. I planować zaczął zamach na kanclerza. Gdy w maju 1584 r. Zamoyski podążał z rezydencji swojej w Knyszynie do Krakowa, Samuel, niepomny na co się waży, z kompanją swoją trzymał się w pobliżu kanclerza i, niejako razem z nim odbywając drogę, odgrażał się nieustannie. Pogróżki Samuela stały się głośne. Życzliwa kanclerzowi szlachta ostrzegała go przed Zborowskim. I Żółkiewski pisał do kanclerza, by miał się na baczności, gdyż Samuel powiększa swój hufiec zbrojny i złe knuje zamysły. Nie poprzestał przecież na ostrzeżeniu listownem, lecz sam ruszył na spotkanie Zamoyskiego, i nad osobą jego osobiście rozciągnął opiekę.

A Zamoyski, do żywego oburzony zamiarami Zborowskiego, śmiało podjął rzuconą mu rękawicę i, wyzwany do walki, postanowił skończyć z przebierającym wszelką miarę banitą. Okoliczności sprzyjały zamiarom kanclerza, który czekał tylko, by Samuel stanął na obszarze, podległym jego władzy starościńskiej. Czekał niedługo. W Proszowicach otrzymał wiadomość, że Zborowski, pozostawił swój zbrojny orszak w Podolanach, a sam udał się na noc do Piekar, majątku siostrzenicy swojej, Włodkowej. Skorzystał z tego Zamoyski i natychmiast przystąpił do dzieła. Na rozkaz jego Zółkiewski wyruszył z oddziałem piechoty do Piekar, otoczył dwór, pochwycił Samuela i jako więźnia przywiózł do Proszowic. Kanclerz wraz z więźniem wyruszył do Krakowa i porozumiawszy się z królem, oddał nieszczęsnego Samuela katu na ścięcie.

Wyrok wykonany został 26 Maja 1584 roku.

Teraz w całej Polsce podniósł się krzyk oburzenia i grozy. Przyjazna Zborowskim szlachta piorunowała

na Zamoyskiego, krzycząc w niebogłosy, że popełnił zbrodnię, gdyż Samuel nie był pozbawiony czci i w żadnym razie nie mógł odpowiadać gardłem. A Zamoyski, również opierając się na prawie, dowodził, że nie wolno mu było postąpić inaczej, gdyż w przeciwnym razie każdy banita mógłby swobodnie powrócić do kraju i drwić sobie z ciążącego na nim wyroku. Cała szlachta podzieliła się na dwa stronnictwa, a jedno i drugie przygotowywało się do wielkiej rozprawy podczas obrad nadchodzącego sejmu. Więc poprzedzające sejm walny sejmiki obradowały z niezwykłą zaciętością. Przeciwnicy palili do siebie z rusznic, rąbali się szablami. Rozruchy dochodziły do takich rozmiarów, że nie wszędzie zdołano dokonać wyboru posłów.

Na sejmiku jeneralnym w Wiśni oba stronnictwa podniosły taki gwałt, że sejmik spełzł na niczem. Zwołany po raz drugi, obradował śród ciągłych grzmotów oburzenia. Gdy spokrewnieni ze Zborowskimi Stadniccy, zaczęli oskarżać króla i kanclerza, śmiało wystąpił przeciw nim Żółkiewski i domagał się, by prywatą nie zatruwali rozpraw publicznych. Wsparł go swym poważnym głosem ojciec, wojewoda bełski, przemawiali w obronie napastowanych inni, ale wzburzone namiętności nie pozwalały na spokojne rozważanie sprawy. Jan Herburt, chorąży lwowski, człek gwałtowny i namiętny, acz spokrewniony z kanclerzem, wystąpił z piorunującą mową i gradem obelg miotał w Zamoyskiego. Żółkiewski, wiedząc, że osobistą obrazą powoduje się Herburt, postanowił zdemaskować zapaleńca. Zabrał tedy głos i, mocno bijąc na prywatę, powiedział Herburtowi w oczy, że nie co innego, jeno nieotrzymanie starostwa jaworowskiego, o które

starał się za pośrednictwem kanclerza, jest powodem gniewu, nienawiści i obelg. Zdemaskowany chorąży wybuchnął, jak rozsadzona mina, a że i w Żółkiewskim krew wrzała, więc obaj przeciwnicy porwali się do szabel. Wszczął się tumult powszechny. Nazajutrz dopiero namiętności uspokoiły się o tyle, że zdołano uskutecznić wybory.

Przebieg sejmu, wyznaczonego na styczeń 1585 r., zapowiadał się niezwykle burzliwie.

Stronnictwo Zborowskich miało się upomnieć u króla i kanclerza o „krew niewinnie przelaną”, a król i kanclerz zapozwali braci Samuela przed sąd sejmowy za knowane zdrady. Obie strony wystąpiły zbrojno. Śród wielkiego naprężenia rozpoczęły się czynności sejmu, a pełne napięcia dramatyczne sceny nieustannie groziły rozpętaniem się burzy. Lecz o skałę niewzruszonej powagi króla rozbijały się wysiłki potężnego stronnictwa. Blisko miesiąc trwały obrady sądu sejmowego, trzymając umysły w stanie najwyższego podniecenia. Zapadł wreszcie straszny dla Zborowskich wyrok. Sąd skazał Krzysztofa Zborowskiego na utratę czci i wygnanie z kraju, sprawę Andrzeja odłożył do następnego zebrania, a uniewinnił jedynie Jana, najstarszego z braci.

Krzysztof, nie czekając wyroku, uciekł do Morawji.

W ten sposób król wyszedł z zapasów zwycięsko, a Zamoyski mógł triumfować. Ale Zborowscy ani myśleli dać za wygraną. Raz jeszcze, już w innych okolicznościach mieli się zmierzyć w walce z nienawistnym kanclerzem, a od tej walki zadrżała Rzeczpospolita. Narazie przycichli, a król i kanclerz, wpatrzeni w dalekie horyzonty dziejowe, wrócili do pracy nad planami, mającemi zmienić postać Europy.

Potężny umysł Batorego zajęty był właśnie ideą połączenia carstwa moskiewskiego z Rzecząpospolitą polską i wytworzenia z dwu złączonych państw jednej olbrzymiej potęgi na północy i wschodzie. W roku 1584 zmarł Iwan Groźny. Na tronie carskim zasiadł syn jego, Fiedor, młody człowiek niespełna rozumu, opanowany całkowicie przez swego wielkorządcę, Borysa Godunowa, okrutnika i tyrana, marzącego o tem, by samemu zasiąść na tronie moskiewskim. Godunow był to człek straszny, a nie przebierał w środkach. Najpierw rozkazał zamordować młodszego brata Fiedora, carewicza Dymitra, a następnie rozmyślał o zgładzeniu samego cara, który jako bezdzietny, nie pozostawiał po sobie następcy. Znienawidzony przez bojarów morderca, wywoływał swemi rządami coraz większe niezadowolenie. Carstwo, wycieńczone ostatnią wojną z Rzeczpospolitą, zagrożone nową wojną przez Szwecję, a wstrząsane niepokojem wewnętrznym, przedstawiało w owej chwili bardzo łatwą zdobycz. Lew Sapieha, późniejszy kanclerz, wyprawiony do stolicy carów, donosił królowi, że podbicie Moskwy nie przedstawia wielkich trudności, że sami Moskale oczekują wkroczenia wojsk polskich i gotowi są poddać się opiece Batorego. Dla idei połączenia dwu państw szerokie otwierało się pole. Król postanowił działać, lecz w związku z planami swymi na Moskwę, snuł jeszcze olbrzymi zamiar wydania śmiertelnej wojny Turcji i wyzwolenia wszystkich ludów chrześcijańskich, jęczących pod jarzmem sułtana. Dla przedsięwzięcia tego zaczął jednać papieża Sykstusa V, króla hiszpańskiego, Filipa II oraz innych monarchów. Batory pragnął osaczyć Turcję od lądu i morza, a wystąpić z takiemi siłami, by dzieło jego miało

wszelkie widoki powodzenia. Mocarze Europy, olśnieni wielką ideą króla polskiego, przychylali się do olbrzymich planów i ofiarowywali swą pomoc. Szczególniej papież popierał Batorego. W samej Moskwie miał król Stefan ludzi, którzy mu sprzyjali, a kniaź Iwan Szujski, obrońca Pskowa, dla widoków królewskich ostrożnie był jednany.

Zamiary swoje umiał Batory otaczać taką tajemnicą, że nikt niepowołany nie dowiedział się o nich. Z Polaków czterej tylko mężowie znali plany króla i wzywani byli do rady. A między tymi czterema, prócz Zamoyskiego, znalazł się i Stanisław Żółkiewski.

Był to ogromny zaszczyt, rzucający wiele światła na charakter i zalety umysłu Żółkiewskiego. Wielki król, znający się na ludziach, dopuszczając do najskrytszych swych planów rycerza, nie piastującego nawet godności senatorskiej, samym dowodem swego zaufania wystawiał mu najchlubniejsze świadectwo. A obcowanie z genjalnym królem, wnikanie w jego olbrzymie zamysły nie mogło pozostać bez wpływu na Żółkiewskiego. Późniejsze jego czyny świadczą, że głęboko się przejął myślą połączenia Rzeczpospolitej z Moskwą pod berłem polskiem oraz poglądem na Turcję, której potęgę Batory szacował tak wysoko, że pół Europy rzucić przeciw sułtanowi pragnął. Zaważyły idee i poglądy króla Stefana na późniejszych czynach Żółkiewskiego.

Niestety, wielki król w Grudniu 1586 roku zmarł niespodzianie, a wraz z nim zamarły i olbrzymie plany. W kilkanaście lat później wskrzesił je częściowo Żółkiewski, ale następca Stefana Batorego nie miał w sobie nic z orlego lotu i orlich dążeń poprzednika.

Smierć króla pobudziła Zborowskich do podjęcia nowej wojny z Zamoyskim. W ten sposób i Żółkiewski, który złączył się z kanclerzem i szedł za jego gwiazdą, narażony został na nowe przykrości i nowe niebezpieczeństwa. Zborowscy nie mogli mu zapomnieć, że on uwięził Samuela, że później wraz z ojcem gorąco występował w obronie Zamoyskiego. Przyszła kolej na odwet i zemstę, a niedługo czekał na nią Żółkiewski.

Zborowscy bowiem postanowili wykorzystać bezkrólewie, unieważnić wyroki sądu sejmowego, odebrać Zamoyskiemu hetmaństwo i pod sąd go oddać, a nadto zapewnić sobie wybór króla, którýby dogadzał ich osobistym widokom. Na sejm konwokacyjny stawili się w otoczeniu poważnej siły zbrojnej, jak na bitwę, którą gotowi byli stoczyć, jeśliby inaczej nie mogli pognębić Zamoyskiego. Ale Zamoyski nie wziął udziału w konwokacji. Heidenstein powiada, że „nie chciał przedwcześnie sił swoich pokazywać", lecz czekał na elekcję i na nią zachowywał swe siły.

Nieobecność kanclerza rozzuchwaliła jego wrogów. Stał się on przedmiotem najostrzejszej krytyki i najpotworniejszych potwarzy.

A w wytaczaniu zarzutów przeciw Zamoyskiemu szczególną zawziętością odznaczył się poseł wielkopolski, Stanisław Czarnkowski. Zgrzybiały starzec, ślepy, zaledwie ruszający się o własnych siłach, ale zawzięty, namiętny, mający mnóstwo osobistych pretensyj do Zamoyskiego, złorzeczył nieobecnemu hetmanowi, oczerniał go, sypał kamieniami oszczerstw i potwarzy. Starając się przedstawić wielkiego męża, jako wroga swobód szlacheckich, wołał, że Zamoyski, spokrewniwszy się z królem, pogwałcił równość braterską

szlachty, że piastując urzędy kanclerza i hetmana, tyranizuje Rzeczpospolitą, którą z pod tej tyranji co prędzej należy wyzwolić. Czarnkowski nie wahał się grozić wojną domową. Zapowiadał nawet, że gdy do tej wojny przyjdzie i on, nie bacząc na podeszły wiek i ślepotę, skoczy na koń ze swoim kosturem i stanie w walczących przeciw tyranowi szeregach.

Inni posłowie również obrzucali kanclerza najpotworniejszemi zarzutami, nie wahając się nawet twierdzić, że Zamoyski „rozdrapał skarby", pozostawione przez zmarłego króla. Potwarzom tym towarzyszyły groźby i wymowny szczęk broni.

Pomimo to przyjaciele kanclerza śmiało stanęli w jego obronie. Wymagało to niepospolitej odwagi, gdyż Zborowscy tysiące szabel mieli na zawołanie, a wytworzyli taką atmosferę, że „każde umiarkowańsze zdanie", jak pisze uczestnik owej konwokacji, arcybiskup Solikowski, „przyjmowane było wrzaskiem".

Pierwszy ujął się za oczernianym kanclerzem kasztelan podlaski, Marcin Leśniowolski. Ale zaledwie rozpoczął przemówienie, zerwała się okropna wrzawa, a jeden z zapamiętałych stronników Zborowskich, porwał rusznicę i, wziąwszy mówcę na cel, zapytał na cały głos, czy ma dać ognia. Ulękli się rozważniejsi wrogowie Zamoyskiego gwałtu i następstw, jakie zabójstwo senatora mogłoby ściągnąć na całe stronnictwo. Uspokoili więc zapaleńca. A Leśniowolski, niezmieszany wydarzeniem, z wielką godnością ukończył swą mowę.

Na sejmie owym posłował z ziemi bełskiej Stanisław Żółkiewski.

I on stanął energicznie w obronie przyjaciela, a silny i rozważny głos zwrócił na siebie powszechną

uwagę. Żółkiewski, ujął się za Zamoyskim, a chcąc na właściwe tory sprowadzić obrady, przypomniał w mowie swej posłom, że podług obowiązującej konstytucji Zygmunta I, zadaniem konwokacji jest tylko wybranie miejsca i oznaczenie terminu elekcji. Taką instrukcję otrzymali posłowie i ściśle do niej stosować się powinni.

Ten rozważny głos wywołał najokropniejsze oburzenie. Wystarczyło, że mówił przyjaciel Zamoyskiego, że ujmował się za nim, że wskazywał sejmującym ich właściwe zadanie, aby obruszyć na siebie obóz, co na konwokacji przedewszystkiem z Zamoyskim pragnął załatwić porachunki. Stronnicy Zborowskich postanowili dać śmiałkowi nauczkę i przynajmniej na przyjacielu kanclerza wywrzeć swą zemstę. I oto, gdy Żółkiewski w gronie swych przyjaciół opuszczał izbę, jeden z domowników Jana Zborowskiego starał się doskoczyć do niego i rozpocząć zwadę. Lecz nie mogąc przedrzeć się przez zwarty tłum, poradził sobie inaczej. Nie spuszczając z oka swojej ofiary, zaczaił się na placu i w chwili, gdy Żółkiewski siadł na koń, by odjechać do gospody, z tyłu cisnął za nim czekanem. Szczęściem, pocisk chybił. Niecny czyn oburzył uczciwych świadków, ale sprawca nieudanego zamachu, pewien bezkarności, nie tylko nie umknął, lecz jeszcze głośno wyrażał żal, że niema przy sobie broni palnej, i że nie może posłać za Żółkiewskim kuli. Wielki gwałt powstał. Przeciwnicy Zborowskich natychmiast otoczyli Żółkiewskiego kołem i, dobywszy rusznic, poczęli wołać, by ujął się za swą krzywdę i pomścił zniewagę. Wystarczyło jedno skinienie, by krew się polała. Lecz Żółkiewski opanował siebie i wstrzymał rwącą się do walki szlachtę.

„Co mnię powściągnęło, — pisał później,— łacno to widzieć”.

A powściągnęło go tylko poczucie, że poryw słusznego gniewu musi ustąpić przed wymaganiami dobra publicznego, powściągnęła go obawa, że rozpoczęta walka wywołać może pożar, w którego płomieniach stanie Rzeczpospolita.

Wobec podnieconych namiętności trzeba było mieć nielada siłę woli, by gniew swój zdusić i nielada charakter, by tak niezgodnie z usposobieniem i pojęciami szlachty, puścić płazem swą krzywdę.

Nie ocenili tego przeciwnicy i nie wyrzekli się zemsty. Ostrzeżono z wielu stron Żółkiewskiego, by miał się na baczności, gdyż Zborowscy nowy knują zamach. Jednocześnie zaś prymas i inni dostojnicy, obawiając się krwawego starcia, mogącego wywołać nieobliczalne następstwa, zaczęli nalegać na posła bełskiego, by zaniechał dochodzenia swej krzywdy, i mając na względzie ciężkie położenie kraju, opuścił Warszawę.

Było to żądanie, wymagające wielkiego poświęcenia. Toż żądano od posła, by wyrzekł się swego mandatu, domagano się od żołnierza, by ustąpił z placu i cofnął się przed wrogiem. A jednak i w tym wypadku pięknie zarysowała się wielka dusza i jasny charakter Żółkiewskiego. Poświęcił znowu siebie, usłuchał nalegań i natychmiast zaczął czynić przygotowania do podróży.

Dowiedzieli się o tem Zborowscy i w dzień zamierzonego wyjazdu postanowili wywrzeć na nim swą zemstę.

Gdy Żółkiewski, przodem wysławszy swe wozy, ruszył w szczupłem gronie przyjaciół przez most, by

dostać się na drugi brzeg Wisły, wybiegła za nim uzbrojona zgraja zborowczyków i zaczęła szykować się do natarcia. Całe zajście doskonale widać było z okien sali sejmowej i z tarasów zamku, skąd roztaczał się daleki widok na Wisłę i pola. Patrzyli na to zajście senatorowie, przyglądała mu się gromada posłów, a niepokój ogarnął widzów, bo zbrojna napaść, dokonywana w obliczu całego sejmu i to napaść na posła, który, powodując się wyższymi względami, opuszczał obrady, niesłychanem była zuchwalstwem. Ale Żółkiewski nie zważał na postępującą za nim zgraję i szedł spokojnie dalej, a napastnicy nie śpieszyli się z rozpoczęciem bójki. Dopiero, gdy Żółkiewski przeszedł most i zbliżył się do swych wozów, prześladowcy jego ruszyli do ataku. Lecz wtedy stało się coś całkiem nieoczekiwanego. Poruszyły się wozy i, zatoczywszy koło, w jednej chwili utworzyły czworobok, w pośrodku którego znalazł się Żółkiewski wraz ze swoim orszakiem. A w tej zaimprowizowanej naprędce fortecy, w groźnej żołnierskiej postawie Żółkiewskiego, w szyku wojennym, jaki na poczekaniu sprawił, musiało być coś uderzającego, coś, co napastników przygwoździło do ziemi. Spojrzeli wahająco po sobie, a choć byli w przeważającej liczbie, stracili ochotę do walki i co prędzej rozpoczęli odwrót.

Żółkiewski, dzięki przytomności umysłu, spokojnie oddalił się z Warszawy.

Nie pozostawił przecież niecnej napaści bez odpowiedzi. Z drogi wystosował „list do panów posłów". A list to był pełen godności. Swoją krzywdę prywatną zostawiał Żółkiewski na stronie, przemawiał tylko, jako obywatel, zatrwożony o losy kraju, w którym

nikt i nic nie ma powagi, w którym każdy na wszystko ważyć się może.

„Za mowy swoje — pisał — którem miał w kole waszmościów, jako przed sądem bożym, tak i na każdem miejscu nie będę się sromał”...

Jako poseł, spełnił swój obowiązek. A nie nowina to, że między ludźmi sprzeczne bywają zdania, że posłowie różnią się w swoich opinjach. Skutek dopiero pokazuje, czyje rady były zbawienne. Do czegoż więc dojdzie, jeżeli samo wyrażenie opinji może pociągnąć za sobą czyny zagrażające powadze i podstawom bytu Rzeczpospolitej.

„Co mnie teraz potkało — przestrzegał Żółkiewski w swym liście—może niedługoż kogo innego potkać”...

I, starając się otworzyć oczy posłom, utrzymywał, że tolerowanie takich czynów może najstraszniejsze wywołać następstwa, może „albo nam samym, albo potomstwu być przyczyną niewoli”...

Niestety, przebrzmiały te słowa bez echa. Wprawdzie uczciwi posłowie domagali się ukarania winnych, ale Zborowscy taką stanowili potęgę, że nie ośmielono się stanąć z nimi do walki.

A Żółkiewskiego wkrótce nowa spotkała przykrość.

Ojca jego król Batory na krótko przed swą śmiercią, mianował wojewodą ruskim. Już na zjeździe generalnym we Lwowie, w styczniu 1587 r., nowomianowany wojewoda, zaatakowany przez przeciwników swoich, musiał wykazywać się z nowonabytej godności. Uspokoiła się szlachta i przedstawione dowody uznała wówczas za wystarczające. Ale gdy w maju tegoż roku, już po konwokacji, wojewoda zwołał pod Wisnię zjazd ziem: lwowskiej, przemyskiej i sanockiej, większość podburzonej przeciw Żółkiewskim szlachty

nie chciała uznać swego wojewody i obradować pod jego przewodnictwem. Dla większego upokorzenia Żółkiewskich, malkontenci przenieśli się na drugi brzeg rzeczki i tam osobno rozpoczęli obrady.

Opuszczony wojewoda pozostał sam z synami i z nielicznem gronem przyjaciół. Nie pozostało im nic innego, jak znieść obelgę i spisać protestację. Tak też uczynili. A w protestacji odezwała się ta sama nuta trwogi i obaw, które Żółkiewski wyraził w swym liście do posłów:

„Dosyć ci się już praw łamać poczęło, dosyć się już na złe zaniosło. Jużby czas dać temu pokój, a nikogo w jego dostojeństwie nie ruszać. Ale tak oni błąd raz pojęli, że nigdy po jednokroć nie wykroczyli, ale coraz to dalej, jako pożarem idzie. Złamane hetmańskie prawo, już chcą i wojewodzie swojemu złamać. Jeśli złamią wojewodzie, popsują i nasze wszystkie tak publiczne, jak i prywatne".

Żółkiewski, który podpisał się pod tą protestacją, a może nawet sam był jej autorem, z największą troską spoglądał na krnąbrność masy szlacheckiej, na nieustanne łamanie praw obowiązujących, na triumf prywaty nad dobrem publicznem. Z jego przemówień i listów coraz częściej zaczyna przezierać smutek i coraz widoczniejszem staje się przekonanie, że triumfujące bezprawie ciągnie Ojczyznę w przepaść zginienia. Żółkiewski jasno widzi zło i serce jego przeszywa trwoga. Coraz częściej mówi o niewoli, ku której popycha naród niesforność szlachecka i coraz smutniejszemi oczyma spogląda w przyszłość.

A rozgrywające się w Rzeczypospolitej wypadki usprawiedliwiają posępne myśli Żółkiewskiego.

Zaledwie skończyła się burzliwa konwokacja, wyznaczeniem sejmu elekcyjnego na ostatni dzień czerwca 1587 roku, gdy oba wrogie obozy rozpoczęły olbrzymie przygotowania do nowych zapasów. Zborowscy, poczyniwszy zaciągi za granicą, przywiedli ze sobą na pole elekcji pod Warszawą pułki niemieckie, czeskie, włoskie i francuskie. Na 10.000 głów obliczano te hufce. Zamoyski również wystąpił zbrojno, a 4,000 jazdy i 1.000 piechoty przyprowadził ze sobą. Oba stronnictwa, utworzywszy dwa koła, stały w pogotowiu bojowem, a ciągłe zwady, starcia, bójki, zamachy, skutkiem których sam Zamoyski omal nie postradał życia, nakazywały spodziewać się najgroźniejszych wstrząśnień. Wojna domowa wisiała na włosku. Widział to prymas Karnkowski i starał się pogodzić wrogów, ale usiłowania te spełzły na niczem. O zgodzeniu się stron obu na jednego z pretendentów do korony polskiej nie mogło być mowy. A sprawa zaostrzyła się szczególniej, gdy po odpadnięciu różnych kandydatów pozostali dwaj najpoważniejsi: młodziutki, bo zaledwie dwadzieścia lat liczący królewicz Zygmunt, syn' króla szwedzkiego Jana i żony jego, Katarzyny Jagiellonki, córki Zygmunta I, oraz Maksymiljan, arcyksiążę austrjacki.

Za wyborem pierwszego z nich, siostrzeńca królowej po zmarłym królu Stefanie, był Jan Zamoyski, za Maksymiljanem wypowiadało się wspierane przez cesarza stronnictwo Zborowskich.

Prymas Karnkowski przechylił się ostatecznie na stronę Zamoyskiego, mającego za sobą olbrzymią większość senatorów i niemal wszystkich biskupów. A widząc, że Zborowscy nie wyrzekną się swego kandydata, sam swoją powagą mianował króla ze krwi „pa-

nów narodu i ojców Ojczyzny", potomka Jagiellonów, Zygmunta, królewicza szwedzkiego. Posłowie szwedzcy podpisali pacta conventa i natychmiast wyruszyli do Szwecji, by czemprędzej Zygmunt stanąć mógł w Polsce.

Osłupieli Zborowscy, nie przewidując takiego kroku ze strony swych wrogów.

Zmieszali się i nie wiedzieli, co przedsięwziąć, ale posłowie cesarscy dodali im ducha zapewnieniem, że cesarz nie przestanie wspierać Maksymiljana. Wtedy stronnictwo Zborowskich postanowiło skorzystać z przykładu, który dał Zamoyski i w trzy dni po mianowaniu królem Zygmunta, ogłosiło ze swej strony królem polskim arcyksięcia Maksymiljana.

Dwóch królów miała tedy Rzeczpospolita, a żaden z nich nie był prawnie obrany.

Obie strony wytężyły teraz siły, by sprowadzić jak najprędzej do Polski swego kandydata, koronować go uroczyście w Krakowie, jako prawnem miejscu koronacji i osadzić na tronie królewskim.

Maksymiljan, mający krótszą drogę, pierwszy zawitał do kraju. Ale Zamoyski utwierdził się w Krakowie i ani myślał wpuszczać go do stolicy. Arcyksiążę, otoczony siłą zbrojną, poprzysiągł w Ołomuńcu pacta conventa i rozpoczął rokowania z Zamoyskim. Lecz widząc, że tą drogą nic nie wskóra, podstąpił z wojskami swemi pod Kraków i przez trębacza do poddania się wezwał stolicę.

Otrzymawszy odpowiedź odmowną, szturm przypuścił do miasta.

Obroną kierował Zamoyski. Wódz mądry, wytrwały, był kanclerz większym mężem stanu i dyplomatą, niż wojownikiem. Kunktatorem nazywa go Żół-

kiewski, a to z powodu, że na polu walki brakło mu stanowczej a szybkiej decyzji i tej niezachwianej pewności siebie, jaką się odznaczał w działalności publicznej. Wojna nie była żywiołem Zamoyskiego. Ale przy jego boku znajdował się Żółkiewski, który był żołnierzem z krwi i kości. On to wspierał kanclerza swemi radami i przygotowywał obronę stolicy, a że w ogniu bitwy orjentował się szybko, więc i teraz o stanowczej chwili musiał niewątpliwie wspomagać Zamoyskiego.

Szturm, śmiało przypuszczony, mężnie został odparty. Arcyksiążę, odpędzony sromotnie od murów Krakowa, rozpoczął odwrót ku Krzepicom. Tu zapadł obozem, ale niebawem ruszył dalej i zatrzymał się dopiero w Wieluniu.

A dnia 8 grudnia (1587 r.) bramy Krakowa rozwarły się gościnnie przed wjeżdżającym w jego mury Zygmuntem. Kandydat Zamoyskiego, wspaniale przyjęty, obdarzony trofeami, zdobytemi na Maksymiljanie, dnia 28 grudnia został uroczyście przez prymasa ukoronowany i jako król polski zasiadł na tronie Jagiellonów.

Lecz Maksymiljan trzymał się ze swem wojskiem w granicach Rzeczpospolitej i, nie zrzekając się pretensyj do korony polskiej, gromadził siły i do nowej szykował się walki.

Wyruszył więc przeciw niemu Zamoyski, prowadząc 7.000 wojska, a przy boku swoim mając Żółkiewskiego. Na wiadomość o zbliżaniu się tych wojsk Maksymiljan umknął z Wielunia i cofnął się na Śląsk, przypuszczając, że kanclerz nie ośmieli się granic cesarskich naruszyć. Omylił się jednak. Zamoyski śmiało

przekroczył granicę i dnia 24 stycznia 1588 roku dopadł Maksymiljana pod Byczyną.

Siły wojsk obu równe były liczebnie, a oprócz pułków niemieckich arcyksięcia po obu stronach stali Polacy i Węgrzy. Wojskiem Maksymiljana dowodził Andrzej Zborowski.

Musiał więc nastąpić rozlew krwi bratniej.

Zamoyski, stanąwszy w obliczu wroga, zaczął sprawiać swe szyki do bitwy, lecz że dzień za parę godzin się kończył, w otoczeniu hetmana zaczęto się naradzać, czy nie wstrzymać się z wydaniem boju. Dwaj doświadczeni wojownicy, Farensbach i Pękosławski, wyrazili opinję, że wobec spóźnionej pory bitwę należy odłożyć, lecz przeciw temu wypowiedział się Żółkiewski, a za zdaniem jego poszedł Zamoyski i dał hasło do boju.

Rozpoczęła się walka i toczyła się ze zmiennem szczęściem, a uporczywa i krwawa była nad wyraz, tam zwłaszcza, gdzie z obu stron występowali przeciw sobie Polacy. W decydującej chwili Żółkiewski poprowadził do ataku jazdę polską na pancerne pułki niemieckie, rozbił je i zadecydował o świetnem zwycięstwie. W bitwie tej zdobył wielką żółtą chorągiew z czarnym orłem Habsburgów. Niestety, odniósł ciężką ranę w prawe kolano. Skutkiem tej rany chorował długo i do końca życia już chromał. Rana ta nie pozwoliła mu brać udziału w dalszych triumfach Zamoyskiego.

A wielkie to były triumfy. Maksymiljan, po przegranej bitwie, zamknął się w Byczynie, lecz zwątpiwszy o wyniku obrony, na wezwanie Zamoyskiego oddał się w jego ręce i jako jeniec hetmański odwieziony został do Krasnegostawu.

Zwycięstwo pod Byczyną utrwaliło na tronie polskim Zygmunta, zakończyło walkę dwu potężnych stronnictw stanowczą przewagą kanclerza i sławne jego imię nowym okryło blaskiem.

Żółkiewski, acz słynne zwycięstwo w dużej mierze było jego zasługą, nie dzielił triumfów. Król skromnie go nagrodził starostwem hrubieszowskiem. Ale Zamoyski pamiętał o najwierniejszym ze swoich przyjaciół i o wielkich jego usługach. Poparł go tedy u młodego króla i przyczynił się, że Zygmunt mianował Żółkiewskiego hetmanem polnym koronnym. Wkrótce potem został Żółkiewski kasztelanem lwowskim.

Do godności tych doszedł w pełni sił męskich. A zawdzięczał je świetnym zaletom umysłu i serca oraz krwawej w służbie Ojczyzny wysłudze.

III.

W OBRONIE KRESÓW.

Nowy król nie posiadał nic z wielkich zalet Stefana Batorego i osobą swoją nie przynosił Rzeczypospolitej spodziewanych korzyści. Miano nadzieję, że dzięki Zygmuntowi między Polską a Szwecją dojdzie do sojuszu, który oba państwa zabezpieczy przed Moskwą. Ale zamiast sojuszu, król ściągnął na Rzeczpospolitą długą i krwawą wojnę ze Szwedami, a postępowaniem swojem naraził kraj na rozdarcie wewnętrzne i na wielkie niebezpieczeństwa ze strony Turcji. Żarliwy katolik, poddany najzupełniej wpływowi Jezuitów, Zygmunt III marzył o wytępieniu protestantyzmu zarówno w Polsce, jak i w Szwecji i do tego marzenia przystosowywał swą politykę. Pomimo dwulicowej, chytrej i podstępnej gry Austrji, pragnącej z Rzeczypospolitej uczynić ślepe narzędzie swych planów, pomimo, że arcyksiążę Maksymiljan, odzyskawszy wolność, zaczął używać tytułu króla polskiego i jak król polski traktowany był przez cesarza, przymierze z katolicką monarchją Habsburgów, było nieustannem Zygmunta dążeniem. Przymierze to narażało Polskę

Turcji, nieprzyjaźnie usposabiało dla Rzeczypospolitej Francję, Anglję, Holandję, wywoływało głuchy bunt różnowierców polskich i przyczyniało się do głębokich wstrząśnień wewnętrznych.

Więc ówcześni mężowie stanu z Zamoyskim na czele powściągali króla i starali się zmienić kierunek jego polityki. Ale niełatwa była to sprawa. Zygmunt III był człowiekiem upartym, zawziętym. Wyniosły, skryty, zimny, odpychający ludzi, pozbawiony odwagi, by jawnie stanąć w obronie swych planów, postępował dwuznacznie. Nie mogąc uzyskać zgody na swe przedsięwzięcia, starał się postawić naród wobec faktów dokonanych. W ten sposób wywoływał coraz większe niezadowolenie i w oczach tłumu szlacheckiego coraz bardziej tracił swą królewską powagę.

Zamoyski, gdy po raz pierwszy ujrzał Zygmunta, gdy zmierzył oczyma jego niepozorną postać, a w pierwszej zaraz rozmowie usłyszał mrukliwe odpowiedzi nowego króla, przeraził się nie na żarty. Zawiedziony w nadziejach na swego kandydata, zwrócił się do towarzyszącego królowi Leśniowolskiego:

— A jakieżeście to nieme djable nam przywieźli! — zawołał ze złością.

Kanclerz, przyzwyczajony do obcowania z potężnym umysłem Batorego, szanujący jego rozum, odwagę i bystrość, nie mógł pogodzić się z nowym monarchą. Widząc nieudolność młodego Zygmunta, chciał nim kierować i rządzić. Ale „nieme djable" było zawistne, skryte, nieufne. Nie miało potężnej woli Batorego, ale miało swój upór, a czuło się królem. Zygmunt niedługo dał sobą powodować. Kanclerza, który go przytłaczał pewnością siebie i wielkiem doświadczeniem, nie lubił, lecz lękał się zarazem. Ze swej strony i kanc-

lerz nie darzył króla sympatją, a obaj nie ufali sobie. Nieporozumienia pomiędzy panującym a jego pierwszym ministrem nie zwiastowały nic dobrego.

Tymczasem nad granicami Polski zbierały się chmury.

W sierpniu 1589 r. hordy tatarskie zalały Ukrainę. Niszcząca burza przeciągnęła przez olbrzymie połacie kraju, posunęła się aż pod Lwów i Tarnopol, nim wstrzymana została przez rycerstwo polskie. W roku następnym zagroziła Rzeczypospolitej wojna już nie tylko z Tatarami, ale z całą potęgą sułtana, który, rozgniewany za napady Kozaków na swe posiadłości, mieczem chciał zmusić Polskę do szanowania swych granic.

Niepokój wielki ogarnął kraj cały.

W lutym tego roku Żółkiewski z garścią wojska znajdował się w Barze. Stał na czatach, pilnie nadsłuchując wieści z nad Bosforu i Krymu. Wobec braku wojska i nieprzygotowania Polski do mierzenia się z Turcją, niepokoił się wielce o losy wojny.

„Życzyłbym, — pisał do Zamoyskiego, — żebyśmy byli mogli więcej czasu mieć, lecz i kilka lat gotując się, siłaby nam nie dostawało do porównania siłom tak potężnego tyrana".

Pocieszał się jednak, że aczkolwiek wielka jest moc nieprzyjaciela, to przecież „mocniejszy jest na niebie Bóg, który osobliwie w wojnach cudowną moc swoją zwykł przy sprawiedliwości okazować". Pomimo przeświadczenia o słabości Polski, odważnie patrzył w przyszłość. „Teraz — zwierzał się Zamoyskiemu — już nie czas się bać, już mię ten strach ominął".

Wraz ze zbliżającem się niebezpieczeństwem rosła w Żółkiewskim odwaga i męstwo.

„Nie trzeba, ani się godzi desperować o Rzeczypospolitej, ale czynić, co mężom przystoi"—oto w jakich słowach określił swe stanowisko.

Na szczęście, i Zamoyski podzielał ten pogląd i śmiałym krokiem zażegnał tym razem niebezpieczeństwo. Oto, nie czekając wtargnięcia Turków w granice polskie, zebrał tyle wojska, ile się dało i sam wyruszył na spotkanie burzy, rozpuszczając fałszywe wieści o olbrzymich siłach, które prowadzi ze sobą. Jakoż Turcja, widząc gotowość Rzeczypospolitej do walki, pierwsza rozpoczęła układy. Wykorzystał to Zamoyski i zażegnał wojnę zobowiązaniem się do powściągnięcia napaści kozackich na kraje sułtana.

Ale zawarte przez króla małżeństwo z arcyksiężniczką Anną i knowane plany, by wyjechać do Szwecji, a koronę polską oddać jednemu z arcyksiążąt austrjackich, wywołały w kraju wzburzenie i zbudziły czujność Turcji, która wszelkie zbliżenie się Polski do Austrji za wyzwanie do wojny zwykła uważać. Tymczasem Austrja stale dążyła do pokłócenia Rzeczypospolitej z Turcją, a król nie myślał się temu przeciwstawiać. To też cesarz Rudolf w myśl polityki swojej wspierał Kozaków pieniędzmi, podburzał ich przeciw Turkom i zachęcał do nowych wypraw na posiadłości tureckie. Jakoż z poduszczeń cesarskich Kozacy w roku 1594 znowu zaczęli pustoszyć ziemie sułtana. W odpowiedzi na to Tatarzy wpadli na Ruś i Pokucie. Powtarzał się niemal coroczny dramat, który ku wygodzie swej zapoczątkowywała Austrja, a za który Rzeczpospolita płaciła krwią i ruiną tysięcy rodzin.

Ale cesarz Rudolf nie poprzestawał na tem. Zmierzając do rzucenia Turcji przeciw Polsce, dążył jeszcze do tego, by hołdujące Polsce Multany i Wołosz-

czyznę wyrwać z pod wpływów polskich i uczynić podległemi sobie. Ciemne te intrygi przeciął miecz Zamoyskiego. W roku 1595 kanclerz wyruszył zbrojno na Wołoszczyznę i wprowadził do Jass Jeremiego Mohiłę, jako wojewodę z ramienia Rzeczypospolitej. Wtedy Turcja, również roszcząca sobie pretensje do panowania nad tymi krajami, mieczem postanowiła poprzeć swe pretensje. Wojnę na rozkaz sułtana rozpoczęli Tatarzy. Na rozległych błoniach cecorskich, przylegających do Prutu, stoczył kanclerz zwycięski bój z Tatarami, a później w układach z Turcją wstrzymał dalszą wojnę zapewnieniem, że osadzenie w Jassach przyjaciela Polaków, Jeremiego Mohiły nie przeciw Turcji, lecz przeciw Austrji jest skierowane.

W tej słynnej wyprawie brał udział i Żółkiewski, a pola cecorskie, na które po upływie lat 25 miał wkroczyć, nazawsze zrosły się z jego imieniem.

A jeszcze nie wypoczął po ciężkich trudach wyprawy wołoskiej, gdy otrzymał rozkaz od króla, by wyruszył przeciw rozzuchwalonym Kozakom, którzy tatarskim sposobem pustoszyli Ukrainę, Podole i Wołyń, zapuszczali się aż na Litwę i olbrzymie przestrzenie kraju obracali w popioły i zgliszcza.

Był to dalszy ciąg strasznych walk pomiędzy wolnem Kozactwem a magnatami, posiadającymi niezwykle rozległe i bogate dobra na kresach. Od krwawych nieporozumień i zatargów przyszło do otwartej wojny. Panowie Wiśniowieccy, Ostrogscy, Kalinowscy nieraz rozbijali zbrojne watahy i za rabunki a grabieże krwawą odpłacali się zemstą. Lecz pobici Kozacy podnosili po pewnym czasie głowę i z bronią w ręku występowali przeciw swoim pogromcom. W ten sposób rozszerzał się płomień wojny domowej.

Rzeczpospolita, nie mająca sił wystarczających, by strzec swych rozległych granic, musiała jeszcze gasić pożar wewnętrzny.

Kiedy rycerstwo polskie zajęte było wojną wołoską, na czele kozaków stał ataman Łoboda, a władzę z rąk jego próbował wyrwać rozhukany mołojec, Nalewajko, człek okrutny, zuchwały, ważący się na każde szaleństwo. Pod swymi rozkazami miał on zgraję hultajstwa, które, jak wódz gotowe było na wszystko. Zaniechawszy sporów z Łobodą, Nalewajko ruszył z tysiącem ludzi nad granicę multańską, potem wkroczył do Austrji, skąd zamierzał dokonać napadu na kraje tureckie. Ale wkrótce przekroczył znowu granicę Rzeczypospolitej, a korzystając z nieobecności wojska polskiego, zrabował Sambor, później Łuck, wreszcie zapędził się aż na Litwę, wpadł do Mohilowa, złupił to miasto, a w marszu powrotnym dobywał zamki, zabierał z nich amunicję i działa, palił wsie, miasteczka, bezbronną ludność wycinał w pień, nie oszczędzając starców, kobiet, ni dzieci. Łoboda pustoszył w tym samym czasie majętności Ostrogskich i Wiśniowieckich, a jeden z jego oddziałów pod wodzą Sawuły również zapędził się aż na Litwę i na swoją rękę rozpalał w tym kraju pożar zniszczenia.

Pod rozkazy okrutnych watażków, bezkarnie prowadzących krwawy rabunek, garnął się ochoczo lud ruski, wojowniczy, zapalny, a wrogo względem miejscowych panów usposobiony. Niebezpieczeństwo stawało się coraz groźniejszem, bo ludność na Wołyniu, Podolu i Ukrainie pomagała Kozakom i coraz częściej rwała się do broni.

W to zbuntowane, płomieniste morze wkroczył Żółkiewski w lutym r. 1596, prowadząc z sobą zaledwie tysiąc jazdy.

Hetman oddawna już pilnie śledził wydarzenia, wstrząsające życiem Ukrainy. Starał się on wszelkiemi siłami łagodzić niesnaski, wynikające pomiędzy oddziałami wojsk polskich a ludnością miejscową. Pisał również do możnych panów, aby szukali zgody z Kozakami i nie doprowadzali ich do ostateczności. Lecz głos ten nie trafiał do przekonania butnych magnatów kresowych. Ciągłe zatargi przy zaciętości stron obu przemieniły się w końcu w krwawą zawieruchę.

Kiedy Żółkiewski znalazł się na polu walki, Nalewajko w powrocie z Litwy zdążał pod Bracław. Hetman zabiegł mu drogę. Pod Macewiczami dognał kilkuset Kozaków, lecz nie kwapił się z odniesieniem łatwego zwycięstwa. Starając się łagodnymi środkami przywrócić spokój, wezwał do poddania się napotkany oddział. Ale Kozacy, rozzuchwaleni dotychczasowem powodzeniem, nie tylko nie chcieli słyszeć o złożeniu broni, lecz targnęli się na wysłańca hetmańskiego i omal nie pozbawili go życia. Wtedy dopiero Żółkiewski rozkazał podpalić wieś i, uderzywszy na Kozaków, straszliwie ich rozgromił.

Nalewajko, powiadomiony o klęsce, rozpoczął gwałtowną ucieczkę.

Żółkiewski wyruszył w pogoń. Pod Ostropolem znowu poraził kupę Kozactwa i szedł tropami uciekających Kozaków. Ale Nalewajko gnał, jak wicher. Nie dając odpoczynku ni ludziom, ni koniom, skierował się na Pików, a później pociągnął w kierunku Bracławia, gdzie miał zapewnioną pomoc miejscowej ludności. W drodze zmienił plan i, drżąc na myśl

o bitwie z hetmanem, przeprawił się przez Czarne Wody, ruszył na Humańszczyznę i tu, kryjąc się w głębokich borach, zapadł obozem „żywiąc konie trawą, a siebie i swoich końmi”.

Hetman, mając zmęczonych ludzi i okaleczałe konie, zatrzymał się w Pikowie, lecz puścił wieść, że wkrótce wyruszy przeciw Nalewajce.

Przestraszył się tej wieści okrutny watażka, uderzył w pokorę i przez starostę bracławskiego Strusia, prosił hetmana o łaskę. Obiecywał rozpuścić swe wojsko i oddać Polakom zrabowane w zamkach królewskich armaty.

Żółkiewski nie łaknął triumfów wojennych w walce z Kozactwem. Straszny w bitwie, z wziętymi do niewoli Kozakami obchodził się łaskawie. Więc, aczkolwiek nie dowierzał Nalewajce, odpowiedział mu zaraz, że nie pragnie krwi jego, ani jego towarzyszy, a na dowód swego usposobienia powołał się na fakt, że mając wielu jeńców kozackich, nie myśli wywierać na nich swej zemsty. I zgodnie z prośbą Nalewajki, obiecywał wspaniałomyślnie wstawić się za nim do króla, byle tylko wódz kozacki spełnił swe przyrzeczenia.

Na tle strasznych okrucieństw, jakich dopuszczali się miejscowi magnaci, od postępowania Żółkiewskiego bije blask wielkiego serca, niedostępnego uczuciom nienawiści i zemsty. Rycerski hetman rad miecz chował do pochwy, gdy tylko zajaśniała możność pokojowego zakończenia sprawy.

Pisząc z pod Pikowa do Zamoyskiego, donosił mu, że książę Różyński, ku któremu Kozacy pałali straszną nienawiścią, a który zbrojnie przeciw nim

wystąpił, wziąwszy do niewoli kupę hultajstwa, pięćdziesięciu jeńców ściąć kazał.

Żółkiewski ubolewał nad takiem okrucieństwem. „Ja — pisał — do tego czasu oprócz tych, co w potrzebie legli, zachowałem ręce swe od ich krwie”...

I dodawał, że wolałby, aby chore członki można było nie odcinać, lecz leczyć.

Jakoż ze swej strony czynił wszystko, aby do pokoju nakłonić Kozaków. Nie mogąc dojść do ładu z Nalewajką, szukającym tylko wybiegów, napisał do stojącego pod Białą Cerkwią na czele 4000 ludzi Łobody i wezwał atamana do zaprzestania kroków wojennych, obiecując mu przebaczenie króla i Rzeczypospolitej, byle tylko wrócił do posłuszeństwa i zerwał z Nalewajką. Ale Kozacy, nie zaznawszy wspaniałomyślności polskiej, nie wierzyli Żółkiewskiemu. Hardy Łoboda, nawymyślawszy wysłańcowi hetmańskiemu, odprawił go z niczem.

Żółkiewski, wyczerpawszy środki pokojowe, miecza się chwycił.

Położenie jego było ciężkie. Znajdował się w kraju wzburzonym, z garstką jazdy. Przyobiecane posiłki nie przybywały, pieniędzy nie przysyłano, a miejscowi panowie, acz głównie o nich chodziło, ani myśleli go wspierać. Żółkiewski sam łożył na opłacenie kosztów wyprawy.

„Ale — pisał — to już mniejsze rzeczy, daj tylko, Panie Boże, J. K. mości i Rzeczypospolitej w uprzątnieniu tej swawoli posłużyć. Jakoż nie wątpię o tem, że to Pan Bóg zdarzy, tylkoż potrzeba statecznego na to sposobienia”.

Lecz zamiast stateczności ze strony magnatów, zamiast pomocy w przedsięwzięciu, z prywatą spotykał

się Żółkiewski. Oto książę Michał Wiśniowiecki, jeden z najmożniejszych panów, posiadacz niezliczonych włości po obu stronach Dniepru, rozporządzający sam poważną siłą zbrojną, zamiast wspomagać hetmana, uparł się koniecznie jechać na sejm do Warszawy, by dochodzić swych pretensyj pieniężnych. Potężnego księcia zaledwie zdołał Żółkiewski wstrzymać od wyjazdu przyrzeczeniem, że sprawę jego poprze u kanclerza i króla.

A tymczasem Kozacy nie zasypiali sprawy. Nalewajko i Sawuła, połączywszy swe siły, skorzystali z zuchwałej pewności siebie księcia Różyńskiego i w 8,000 ludzi napadli go pod Białą Cerkwią. Na szczęście Żółkiewski, stojący podówczas w Trzylesiu, słysząc gromy armatnie, pośpieszył księciu z odsieczą i wyzwolił go od niechybnej zguby, gdyż Kozacy, na samą wieść o zbliżaniu się hetmana, rozpoczęli odwrót. Żółkiewski w nocy przybył na pobojowisko, a dowiedziawszy się, że nieprzyjaciel zatrzymał się w pobliżu, postanowił pociągnąć za nim i stoczyć walną bitwę.

Pod swemi rozkazami miał hetman wraz z posiłkowemi hufcami zaledwie 2,000 ludzi, a choć Kozacy czterykroć byli liczniejsi, nie zważał na nierówność sił, lecz ruszył naprzód i pod Ostrym Kamieniem uderzył na tabor kozacki. Nieprzyjaciel bronił się z niezwykłą zaciętością, ale straciwszy mnóstwo zabitych i rannych, opuścił w nocy plac boju, przeprawił się przez Dniepr i ruszył do Perejasławia.

W tej bitwie rany odnieśli Nalewajko i Sawuła, a zabity został głośny przewódca kozacki, Sasko.

Po tem zwycięstwie Żółkiewski udał się pod Białą Cerkiew i czekał tutaj na przyobiecane posiłki. Wyru-

zył później do Kijowa, obronił to miasto przed napadem
.ozaków, a następnie przeprawił się przez Dniepr,
ypłoszył nieprzyjaciół z Perejasławia i dnia 25 maja
596 r. obległ ich pod Łubniami. Czternaście dni
wały krwawe boje. Kozacy stawali do walki z roz-
aczliwem męstwem, ale cierpieli głód straszny, a nie-
owodzenia wywołały w ich obozie straszliwe nie-
naski.

Hetman rozpoczął układy z Łobodą.

Kozacy, podejrzewając swego wodza o zdradę,
amordowali go w obozie, lecz, po dwóch tygodniach
eznadziejnej walki, sami uderzyli w pokorę i zwró-
ili się do Żółkiewskiego z prośbą o przebaczenie
łaskę.

Zatriumfowało rycerstwo polskie, a zawziętość
rzeciw Kozakom była tak wielka, że w otoczeniu
ółkiewskiego zaczęto się domagać, aby dla postra-
nu i przykładu na przyszłość, bez litości mieczem
ytępić wszystkich oblężonych. Lecz uczucia niena-
iści i zemsty obce były wielkiej duszy hetmana.
zczęśliwy zwycięsca nie myślał znęcać się nad zwy-
ężonymi. Żółkiewski zażądał tylko, aby Kozacy,
ydawszy działa, amunicję i sprzęty wojenne, roze-
li się spokojnie do domów. Wybranego na miejsce
obody Krępskiego darował zdrowiem, tylko Nale-
ajkę oraz garść innych morderców, co ręce swoje
lamili krwią niewinnych i mimo napomnień, oraz
rzebaczenia, w dalszym ciągu krwawe prowadzili
zieło, zabrał ze sobą, jako jeńców wojennych.

W ten sposób główne siły Kozaków zostały zła-
ane.

Pozostał jeszcze z silnym oddziałem Kacper Pod-
ysocki, który przez cały czas walki pod Łubniami

szalał w okolicy, wzniecał w przyległych wsiach i miasiach pożary, w nadziei, że choć część wojsk polskich ściągnie na siebie i ulży oblężonym. Podwysocki również prosił Żółkiewskiego o przebaczenie, a hetman przychylił się do tej prośby, puścił go wolno do domu i wojsku jego również rozejść się dozwolił.

Bunt kozacki został poskromiony.

A wieść o tem po całej Polsce rozeszła się radosnem echem. Imię Żółkiewskiego rozebrzmiało sławą wojenną. Podziwiano bohatera, co z garścią jazdy przetrwał w zbuntowanym kraju ciężką zimę, odniósł szereg świetnych zwycięstw, a zgniótłszy ostatecznie nieprzyjaciół pod Łubniami, wspaniałomyślnością ugasił straszliwy pożar niezadowolenia i gniewu Kozaków.

Nic dziwnego, że jako triumfator wjeżdżał Żółkiewski do Lwowa.

Powitał go tutaj uroczyście kanclerz Zamoyski, odebrał od zwycięzcy trofea wojenne, które wraz z Nalewajką odesłał królowi do Warszawy.

Stracenie nieszczęsnego herszta i przywódcy buntu zakończyło ponury dramat.

Kozacy, acz pobici i mieczem przywiedzeni do posłuszeństwa Rzeczypospolitej, nieprędko porwali się do nowej walki. Najwidoczniej ujęła ich szlachetność Żółkiewskiego, gdyż w wojnach, które musiała niebawem prowadzić Polska, żywy brali udział i męstwem swem nieraz jeszcze przyczynili się do świetnych zwycięstw nad wrogami Rzeczypospolitej.

Ale panowie ukrainni nie mieli rozumu i serca Żółkiewskiego.

Dążąc do schłopienia Kozaków, podsycali tlejące iskry niezadowolenia, od których omal nie zginęła Polska.

Żółkiewski, śród wodzów, prowadzących później wojnę z kozakami, nie znalazł godnego siebie następcy. Wprawdzie i później śród pogromców kozackich były najświetniejsze szable, ale nie było wodza, któryby w tym straszliwym dramacie dziejowym podobnie, jak Żółkiewski, umiał skojarzyć męstwo wojenne z rozumem i sercem. To też na smutnych dramatu tego kartach, szlachetne czyny Żółkiewskiego jaśnieją niewygasłym blaskiem.

* * *

Po ukończeniu wojny z Kozakami Żółkiewski wrócił do Winnik, które przepysznie się zabudowały. Wspaniały zamek górował nad wznoszonemi gmachami, a miał być miejscem schronienia dla ludności przed napadami Tatarów. Ale okoliczności nie pozwalały hetmanowi przebywać dłużej w kole rodzinnem i osobiście kierować robotami przy rozszerzaniu się nowej a wspaniałej siedziby. Nad granicami raz wraz zbierały się wrogie siły i nowemi wojnami zagrażały Polsce. Więc hetman śpieszył w pole i, nie puszczając miecza ze starzejącej się dłoni, stał czujnie na straży granic ojczystych.

Nie zaznała Polska pokoju za panowania Zygmunta III.

Król ku oburzeniu całej szlachty nie przestawał ciążyć ku Austrji. Z domu Habsburgów wybrał sobie małżonkę i zabiegał o przyjaźń cesarza. Tymczasem cesarz Rudolf odpłacał mu się czarną niewdzięcznością. Z jego poduszczeń i za jego pieniądze czynili Kozacy wyprawy na Turcję i z jego zapoczątkowania rozpoczęła się na Wołoszczyźnie nowa zawierucha.

W roku 1600 wojewoda wołoski, Michał Bessaraba, w porozumieniu z cesarzem zgromadził liczne wojska pod pozorem wyprawy przeciw Turkom. Z temi wojskami wpadł niespodzianie do Siedmiogrodu, wygnał oddanego Polsce księcia Zygmunta Batorego, a następnie napadł lennika polskiego, Jeremjasza Mohiłę i z wyjątkiem Chocimia, w którym się zamknął zwyciężony hospodar, opanował całą ziemię wołoską. Chytry Michał wszedł w porozumienie z Turcją, a ufając w pomoc cesarza, marzył o stworzeniu wielkiego państwa pod własnem swem berłem. Mając na zawołanie kilkadziesiąt tysięcy szabel, stanowił siłę poważną, a tem groźniejszy był dla Polski, że rozzuchwalony powodzeniem wojennem, porównywany przez pochlebców do Aleksandra Macedońskiego, zaczął się porozumiewać z wrogami Rzeczypospolitej i myśleć o jej rozszarpaniu.

Nie doceniano w kraju niebezpieczeństwa, jakiem groziły zamysły Michała. Sejm 1600 roku przeszedł do porządku dziennego nad upokorzeniem hołdownika Polski i nie myślał go bronić.

— Cóż to nas obchodzi — mówili posłowie — kto panuje nad Dniestrem? Niechże Jeremjasza bronią ci, co go do Jass wprowadzili!

Ślepota polityczna wraz z głuchą zawiścią ku Zamoyskiemu sprawiły, że posłowie, dworując sobie z mniemanych niebezpieczeństw, nie powzięli żadnej uchwały i żadnemi środkami nie zabezpieczyli granic przed awanturniczym Michałem.

Wykorzystał chytry Wołoszyn beztroskliwość polską i wodzowi swemu, Babie-Nowakowi rozkazał wkroczyć w granice Rzeczypospolitej. Dopiero gdy Pokucie stanęło w ogniu, gdy tłumy bezbronnych

mieszkańców zapędzili Wołosi do niewoli, przekonała się szlachta, że to nie wszystko jedno, kto panuje nad Dniestrem.

A Michał z potężnem wojskiem rozłożył się pod Chocimiem.

Żółkiewski na rozkaz Zamoyskiego z garstką rycerzy wyruszył pod Chocim, by śledzić obroty wojenne Michała, a Zamoyski nagwałt zaczął czynić zaciągi, by wesprzeć hetmana polnego i połączonemi siłami rozprawić się z wrogiem. Lecz Żółkiewski, nie czekając przybycia kanclerza, uderzył w porozumieniu z załogą Chocimia na Wołochów, wyparł ich z własnych okopów i zmusił do cofnięcia się o milę. Wtedy Michał, ufny w swój talent dyplomatyczny, listownie zapytał hetmana, w jakim celu przechodzi Dniestr i co przynosi: wojnę, czy pokój?

Odpowiedział na to Żółkiewski, że wojna lub pokój od króla zależy, jeśli tedy Michał ukorzyć się pragnie, pozostawia mu trzydzieści dni czasu na porozumienie się z Zygmuntem.

Michał, poznawszy na sobie siłę oręża polskiego, poczuł się zagrożonym w swoich zdobyczach, wyprawił więc posła do Zygmunta, a Żółkiewski, mając zbyt mało wojska, by mierzyć się z przebiegłym Wołochem, nie przeszkadzał układom, licząc, że tymczasem nadciągnie Zamoyski. Jakoż kanclerz, zasilony przez hufce możnych panów, połączył się z Żółkiewskim pod Filipinami, a dnia 19 października 1600 r. po długich i męczących pochodach stanął pod miastem Płoweszti naprzeciw wszystkich wojsk Michała.

Według Heidensteina siły polskie wraz z Kozakami wynosiły 20,000 ludzi, gdy Wołosi w 50,000 stali w bojowym ordynku.

Zamoyski, rozglądając się ze wzgórza w obozie nieprzyjacielskim, ociągał się z wydaniem bitwy. Ale Żółkiewski wraz z wojewodą lubelskim, Sobieskim, udał się do kanclerza i, widząc wahanie się naczelnego wodza, jak ongi pod Byczyną, dodał mu ducha i, przedstawiając swe racje, zachęcał do niezwłocznego wydania boju. Usłuchał hetman wielki hetmana polnego i wydał hasło do bitwy. Ruszyło więc naprzód rycerstwo. Rozgorzała walka zaciekła. Chwiało się zwycięstwo na obie strony, gdy nagłe ukazanie się Kozaków, wypadających z gęstwin leśnych z przeraźliwym wrzaskiem na tyły i lewe skrzydło Wołochów, zmieszały nieprzyjaciela i strasznym przejęły go popłochem. Wszystkie góry i wąwozy rozebrzmiały okrzykiem przerażenia. Wojska Michała rzuciły się do ucieczki. Rozpoczął się pogrom, z którego Michał zaledwie 4.000 ludzi uprowadzić zdołał.

Cały obóz, wszystkie działa, 95 chorągwi dostało się zwycięzcom.

Zamoyski znowu uroczyście osadził w Jassach Jeremjasza Mohiłę, a na dalszej Wołoszczyźnie brata jego, Symeona. Obaj zobowiązali się płacić corocznie 40,000 czerwonych złotych i 3,000 załogi polskiej utrzymywać w swych zamkach.

Świetne zwycięstwo nad Michałem uratowało powagę Rzeczypospolitej. Pragnął Zamoyski wyzyskać owoce tego zwycięstwa i uczynić porządek w Siedmiogrodzie, ale burza, idąca z przeciwległych kresów, bo od Inflant, zagrożonych przez Szwecję, odciągnęła obu hetmanów ku innym krańcom Rzeczypospolitej.

Winowajcą tej nowej wojny był Zygmunt III, który, objąwszy tron szwedzki po śmierci swego ojca, nie

umiał zjednać nowych poddanych, a polityką dwuznaczną naraził sobie przywiązanych do protestantyzmu Szwedów. Gdy po odbytej w roku 1594 koronacji, powrócił do Polski, stryj jego, Karol, książę Sudermanji, mając powierzoną sobie władzę nad krajem, jawnie zbuntował się przeciw Zygmuntowi i sam dążył do owładnięcia tronem. W roku 1598 król znowu zawitał do Szwecji, ale nie ugasiwszy wzburzenia, niepewny życia w swem królestwie, rozgoryczony i zawiedziony w nadziejach, powrócił z niczem do Polski. W rok później sejm zebrany w Sztokholmie, wypowiedział posłuszeństwo Zygmuntowi. A książę Sudermanji, Karol, chcąc do reszty pognębić Zygmunta i powiększeniem posiadłości szwedzkich utorować sobie drogę do tronu, wkroczył na początku r. 1601 do niezabezpieczonych Inflant i w krótkim czasie niemal cały kraj opanował.

Szwecja, w której Polacy, wprowadzając na tron polski Zygmunta, widzieli przyszłą sojusznicę, stawała w szeregu groźnych wrogów Rzeczypospolitej.

Zaczęła się wojna, mająca trwać lat kilkadziesiąt, wojna, do której Polska nie dawała powodu, a do której naprzekór swym interesom przez Zygmunta III została wciągnięta.

Nim król z Zamoyskim i Żółkiewskim zjawił się się na placu boju, wielkie zwycięstwo odniósł nad Szwedami pod Karkhuzem hetman wielki litewski Krzysztof Radziwiłł, a później hetman polny litewski, Karol Chodkiewicz, jeden z najdzielniejszych wodzów polskich, w straszliwy sposób rozgromił najezdników pod Kokenhauzem. Przybycie hetmanów koronnych pomnożyło niebawem klęski Szwedów. Żółkiewski, zwolennik szybkiego działania, natychmiast po wkro-

czeniu na plac boju, radził iść przeciw Karolowi, który schronił się do Rygi, by w razie niepowodzenia móc w każdej chwili odpłynąć do Szwecji. Hetman polny sam ofiarowywał się ścigać Karola. Ale ostrożny Zamoyski, czekał aż więcej wojska się zgromadzi. Niespokojny o losy projektowanej wyprawy, zezwolić na nią nie chciał.

Rozpoczęła się długa i nużąca wojna, szczególniej męcząca dla żołnierza polskiego, który tęsknił do bitwy w otwartem polu, a musiał przedewszystkiem zdobywać zamki, opanowane przez Szwedów.

Żółkiewski brał udział w sławnem oblężeniu Wolmaru, który poddał się po długich i zaciętych szturmach. W ręce polskie wpadli dowódcy twierdzy: Carlson i generał Pontus de la Gardie. Pierwszego, jako jeńca odesłał Zamoyski do Rawy, drugiego, który słynął z dzieł rycerskich, gdy zobowiązał się nie podnosić już więcej oręża przeciw Zygmuntowi wymienił na jeńca polskiego. Żółkiewski, chcąc ze swej strony okazać cześć Pontusowi, obdarzył go piękną szubą z rysi, co Pontus, jak się okaże, głęboko zachował w pamięci.

Po zdobyciu Wolmaru wzięty został Felin, poddały się inne zamki i oręż polski ciągłe święcił triumfy. Wreszcie pociągnął Zamoyski pod Biały Kamień (Weissenstein), potężną twierdzę, osaczoną trzęsawiskami i wielce do zdobycia trudną. Już cały miesiąc trwało oblężenie, gdy w obozie polskim otrzymano wiadomość, że generał szwedzki Arnep gromadzi wojska pod Rewlem i oblężonej fortecy zamierza iść z odsieczą.

Przeciw Arnepowi wyruszył Żółkiewski.

O pochodzie jego dowiedział się wódz szwedzki, bo czekał na wojska polskie w szyku bojowym, ubezpieczywszy się od natarcia jazdy długą linją ostrokołów. Widział Żółkiewski, że nie łatwą będzie miał sprawę, ale niezrażony przeszkodami, natychmiast sprawił swe hufce i, nie dając im chwili wytchnienia, rozpoczął bitwę. Stefan Potocki i Zygmunt Kazanowski poprowadzili ciężkie pułki do ataku, ale nie mogli rozerwać przeszkody z ostrokołów i pod gradem kul zmuszeni byli się cofnąć. Nie dali przecież za wygraną i po raz drugi pomknęli do boju. Nadaremnie przecież usiłowali wedrzeć się do obozu. Dwie godziny trwała zażarta walka, nie dając żadnego rezultatu. Hetman, widząc niemożność złamania nieprzyjaciela od czoła, wysłał na jego tyły lekką jazdę i ta dopiero uderzeniem swojem zmusiła Szwedów do zmiany pozycji. Skorzystał z chwilowego zamieszania Żółkiewski i odrazu wszystkie chorągwie rzucił na wroga. Nie wytrzymali Szwedzi strasznego natarcia i poszli w rozsypkę. Bitwa skończyła się rzezią. Poległ Arnep, przebity kopją husarza, trupem zasłała ziemię piechota szwedzka, a uciekające szczątki jazdy aż do Rewla gonili Polacy.

Wszystkie działa i cały obóz nieprzyjacielski stał się łupem zwycięskiego hetmana. Na 5,000 obliczali współcześni poległych w tej potrzebie Szwedów.

Świetne zwycięstwo złamało ducha załogi w oblężonej twierdzy. Poddał się Biały Kamień i już tylko Rawa, Parnawa, Rewel i Dorpat pozostawały do zdobycia.

Ale jak niemal w każdej kampanji, prowadzonej przez Polaków, a przeciągającej się dłużej, i tym razem zniechęcenie ogarnęło rycerstwo. Panowie, co

własne hufce przyprowadzili, zaczęli wymykać się do domów. Radziwiłł, aby nie podlegać władzy Zamoyskiego, usunął się z placu boju, a za jego przykładem szli inni. Nadomiar nieszczęścia wojsko, nie otrzymując żołdu, zaczęło szemrać, a gdy kanclerz chciał je prowadzić pod Dorpat, nie posłuchało rozkazów. Nieszczęśliwy wódz słał do króla listy błagalne, prosił o posiłki i pieniądze, sam, co tylko mógł, zastawiał i rozdawał wojsku, ale nie zdołał już powstrzymać rozprzężenia.

Rzeczpospolita coraz częściej zapominała o swoim żołnierzu.

I coraz częściej zwycięski wódz stawał się przedmiotem obmowisk i zawiści. Nie ominął tego losu Zamoyski. Zaczęto go oskarżać, że sam podnieca niezadowolenie wojska, że wojnę chce przegrać. Za świetne zwycięstwa płacono mu najczarniejszem oszczerstwem.

Kanclerz, liczący podówczas sześćdziesiąt trzy lata, czuł się starym, schorzałym. Niechętnie ruszał na wyprawę do Inflant. Wcześniej, gdy jeszcze kampanja zapowiadała się dobrze, prosił króla, by mianował na jego miejsce następcę. Wreszcie w grudniu 1602 roku, targany zgryzotą, złożył dowództwo.

Król powierzył wielkorządztwo Inflant Chodkiewiczowi, który, z garstką pozostałego wojska, w dalszym ciągu odnosił wręcz nieprawdopodobne zwycięstwa. Ale świetnie rozpoczęta kampanja pomimo nowych cudów męstwa, jakiemi zajaśniał Chodkiewicz, zaczęła się przedłużać: samo męstwo nie mogło zastąpić sił niezbędnych do szczęśliwego ukończenia wojny. Wytrwałość i przewaga liczebna Szwedów

sprawiały, że nieprzyjaciel coraz mocniej czuł się w Inflantach.

W samej Szwecji upadła powaga Zygmunta.

Widział to Karol sudermański [illegible] na krok stanowczy: dnia 22 marca 1604 r. [illegible] królem Szwecji. Było to nowe wyzwanie, [illegible] Zygmuntowi i nowa zapowiedź nieubłaganej wojny z Rzecząpospolitą.

Prowadził ją tymczasem Chodkiewicz.

Zamoyski powrócił do Polski, a Żółkiewski wyruszył nad Dniepr, by mieczem swym zasłonić Ojczyznę przed spodziewanym napadem Tatarów.

IV.

KRÓL I HETMAN.

Tymczasem polityka Zygmunta wywoływała w kraju coraz głębsze niezadowolenie. Szukanie oparcia w Austrji i konszachty ze zdradliwym domem Habsburgów oburzały przeciw królowi opinję, a Zamoyskiego popchnęły do gwałtownej opozycji. Rozgniewany kanclerz niebezpiecznym był przeciwnikiem. Już w roku 1592, podczas obrad sejmu inkwizycyjnego, pokazał królowi, co może. Gdy na sejmie tym ujawniło się, że król żywi zamiar opuszczenia Polski, a koronę polską pragnie oddać dynastji Habsburgów, zerwała się istna burza i pioruny gniewu zwaliły się na głowę królewską. Na sejmie tym Zamoyski przymusił ostatecznie króla do wyrzeczenia się knowanych na szkodę Rzeczypospolitej układów, poniżył go i upokorzył. Pomimo to Zygmunt trwał uparcie w zamiarach swoich szukania sojuszu z Austrją. Więc niechęć wzajemna pomiędzy kanclerzem a królem powiększała się nieustannie.

Z biegiem czasu mnożyły się tej niechęci przyczyny.

Zaraz w początkach panowania Zygmunta, Zamoyski starał się zapalić go do olbrzymich planów, które

snuł przed śmiercią Batory. Okoliczności sprzyjały wielkiemu przedsięwzięciu, ale król nie ważył się na nie. Obawiał się otwartej wojny z Moskwą, lecz nie wahał się później, w warunkach mniej przyjaznych, okazać poparcia awanturniczej przeciw Moskwie wyprawie, której skutków niepodobna było przewidzieć.

A stało się to w okolicznościach następujących.

W roku 1598 na tronie carskim zasiadł morderca carewicza Dymitra, Borys Godunow. W pięć lat później na dworze księcia Adama Wiśniowieckiego zjawił się młody włóczęga i przedstawił się, jako carewicz Dymitr, syn Iwana Groźnego i jedyny prawy jego następca. Był to zbiegły z klasztoru mnich, a nazywał się Grzegorz Otrepiew. Zręczny oszust opowiadał o cudownem swem ocaleniu, o zamordowaniu przed laty innego chłopca, którego rzekomo podsunięto siepaczom Godunowa, o swoich dziwnych przygodach i tułaczce, a skarżył się na straszny los i prosił księcia o pomoc w odzyskaniu należnej mu korony carskiej. Magnat, którego próżności dogadzała opieka nad kandydatem do tronu moskiewskiego, zajął się losem oszusta. Za przykładem Wiśniowieckiego poszli inni panowie, a wojewoda sandomierski, Jerzy Mniszech obiecał szalbierzowi oddać za żonę swą córkę Marynę, gdy ten na tronie carskim zasiądzie.

W prawdziwość mniemanego Dymitra nie wierzył na jedną chwilę Zamoyski, widząc w jego opowieściach raczej scenę z komedji, niż prawdziwe zdarzenie. Nie ufali oszustowi Żółkiewski i Chodkiewicz. Ale król zainteresował się młodym włóczęgą, bo Otrepiew nie tylko wyrzekł się schizmy i uznał się za syna kościoła katolickiego, ale całe carstwo moskiewskie obiecywał skłonić do przyjęcia religji katolickiej. Po-

parli oszusta Jezuici, a Zygmunt, będący pod wpływem potężnego zakonu, otoczył go też swą można protekcją.

Mniemany Dymitr, wspomagany przez zbrojne hufce kilku panów polskich, ruszył na podbicie carstwa.

Wobec wojny ze Szwecją, intryg Austrji, niepokojów na Wołoszczyźnie, wobec konieczności ochraniania granic od napadów tatarskich i groźnej postawy Turcji, wystawianie Rzeczypospolitej na zatargi z Moskwą, w celu nieprawdopodobnego nawrócenia jej na katolicyzm, nawet w wypadku powodzenia wyprawy, było krokiem niebezpiecznym. To też nieopatrzne postępowanie króla budziło niezadowolenie śród poważniejszych senatorów, a w Zamoyskim stanowczego miało przeciwnika.

Ale Zygmunt nie liczył się z opinją i niedwuznacznie wyzywał ją do boju.

Po śmierci żony swej, Anny, król po raz drugi postanowił wejść w związki małżeńskie, a znowu szukał żony na dworze Habsburgów. Potężna dynastja panująca w Austrji, Hiszpanji, Włoszech, Niderlandach, w Czechach i na Węgrzech, a rozszerzająca swe wpływy zapomocą związków małżeńskich oddawna zarzucała swe sieci na Rzeczpospolitą, nad którą również pragnęła rozciągnąć swe władztwo. Nie brak było jaskrawych dowodów, że Austrja zdradziecko postępuje z Polską. Wiedział o tem Zygmunt, ale nie wahał się szukać z nią nowych związków, bo Habsburgowie dążenie do opanowania świata prowadzili pod hasłem przywrócenia katolicyzmu we wszystkich krajach, które od Rzymu odpadły. A hasło to było decydujące dla polityki Zygmunta.



KRÓL ZYGMUNT III.

Wprawdzie król wyrzekł się już planów odstąpienia korony polskiej Habsburgom, ale powziął myśl, by jeszcze za swego życia zapewnić tron polski królewiczowi Władysławowi. W ten sposób chciał pozbawić szlachtę prawa wolnego obioru króla, a więc jednego z najważniejszych jej przywilejów. Wprawdzie nikt nie wypowiadał się wówczas przeciw Władysławowi, owszem, w nim widziała szlachta następcę Zygmunta, ale chciała, aby królewicz przez wolny wybór na tronie osadzony został. Z tego powodu interesowano się nawet wychowaniem młodziutkiego Władysława, a zarzucano królowi, że oddał syna pod opiekę niewiast i otoczył go cudzoziemcami.

Na sejmie w roku 1605 postępowanie króla znowu poddane zostało najostrzejszej krytyce.

A śród tych, którzy wystąpili przeciw królowi, na czoło wysunęli się Żółkiewski i Zamoyski.

Pierwszy z nich wyraził przedewszystkiem żal z powodu wypadków w Inflantach, które zlała obficie krew całych pokoleń, a które dotychczas nie zostały uspokojone. Nie winił z tego powodu króla, widząc przyczynę niepowodzeń w niezgodzie szlachty i rozerwaniu ostatniego sejmu. W sprawach moskiewskich radził czekać cierpliwie na wynik podjętej przez Dymitra wyprawy. Przechodząc do kwestyj, najżywiej sejm obchodzących, zastrzegł się, że nie chce poniżać dostojeństwa królewskiego, lecz spełnić swój obowiązek.

„Zawsze ten cny naród polski — mówił hetman — wiary panom swym dotrzymywać i onych miłować zwykł. W inszych narodach pany swe kozikami kolą, a u nas z łaski bożej nic takowego nie było zamyślono. Ale z wolności praw i swobód swoich napom-

nieć pana, zawsze było i jest wolno z ochronieniem dostojeństwa waszej królewskiej mości".

W myśl tego napominał króla, by wyrzekł się zamiarów koronowania jeszcze za swego życia królewicza Władysława, zaręczając, że nie kto inny, jeno Władysław po ojcu swoim tron polski posiędzie, lecz przez wolny wybór szlachty, a nie przez narzucenie Polakom panującego. Przestrzegał tylko, by królewicz wyjęty był „z opieki i konserwacji białogłowskiej" i by wychowaniem przyszłego króla nie zajmowali się cudzoziemcy.

„Niech ten zacny potomek waszej królewskiej mości obcych narodów ludzi sobie nie smakuje, lud polski miłować niech się uczy"—domagał się hetman, twierdząc, że właśnie nieodpowiednie wychowanie stać się może przeszkodą do objęcia tronu. Wskazywał Żółkiewski inną jeszcze przeszkodę, którą również król stwarzał, a to przez swój zamiar ponownego spowinowacenia się z domem rakuskim. W zamiarze tym widział hetman kopanie dołków pod „królewiczem jegomością".

„Kto, — twierdził Żółkiewski, — w postępki i w historje domu rakuskiego wejrzeć chce, ten jaśnie obaczy, że do wszystkich państw, które jedno na ten czas trzymają, przez białogłowy domu swego przyszli".

Z wielką powagą i godnością napominał króla Żółkiewski, nie unosząc się i zachowując miarę w wyrażeniach. Nie tak przemawiał Zamoyski. Mowa tego ostatniego była namiętna i bezwzględna. Surowo ocenił on wyprawę Dymitra i rolę, jaką król odegrał w tej sprawie.

„Słyszeliśmy, że ten Dymitr był zadłabiony, dziś znowu żyje! Cóż to? czy jaką komedję Plauta lub Te-

rencjusza grają przed nami! Wszystko to ciężkie kłopoty na Rzeczpospolitą sprowadzić może"!

Gniewał się na króla i za nieszczęśliwy przebieg wojny w Inflantach.

„Wstyd jest, miłościwy panie, dla tej korony polskiej z tak małym nieprzyjacielem lat kilkanaście nieużyteczne, nigdy nieukończone prowadzić boje".

Zarzut ostatni nie był słuszny. Zamoyskiego zaślepiał gniew. Nie król był winien, że sejm poprzedni rozszedł się, nic nie zdziaławszy, że niezgoda szlachecka, o której mówił Żółkiewski, nie dozwoliła zadać Szwedom stanowczego ciosu. Słusznie natomiast gromił Zamoyski króla z powodu zamierzonego małżeństwa, ale niepotrzebnie dotykał go osobiście.

„Zamysł waszej kr. mości żenienia się z siostrą nieboszczki, ś. p. królowej polskiej, wcale mi się nie zda: przez ożenienia dom rakuski poujarzmiał królestw tyle, nadto jest to obrzydliwe, zakazane od Boga, a wiesz, wasza król. mość, że Pan Bóg za grzechy królów zwykł lud wszystek karać. Z miejsca więc mego i sumieniem senatorskiem nie pozwalam na to i przeczę"...

I poddając najostrzejszej krytyce całe postępowanie i wszystkie tajne zamysły króla, mówca nie cofnął się przed groźbą, jakiej w Rzeczypospolitej żaden król nie usłyszał jeszcze od swego urzędnika.

„Nie nowinać to Polakom, gdy im królowie przysięgi nie dotrzymywali, że ich wygnano z korony, a obierano innych. Jeżeli więc i wasza król. mość nie obaczysz się, ani poprawisz, nam nielza, jak idąc torem przodków naszych, waszą król. miłość, pana naszego miłościwego za morze odwieźć, gdy się już

sam wasza król. miłość z królowania swego wyzuwać raczysz"...

Dwie te mowy doskonale malują charakter i usposobienie obu hetmanów. Zamoyski występował wobec Zygmunta, jak oskarżyciel i pogromca, w mowie jego grzmiał gniew, słowa były ostre, jak strzały, a ciężkie, jak kamienie. Gniewał się, jak lew, co uderzeniem ciężkiej łapy w każdej chwili zmiażdżyć może swoją ofiarę. Pokazując Zygmuntowi drapieżne pazury, dawał mu odczuć swoją potęgę, poniżał go i upokarzał, lecz, zostawiając na tronie, nie doprowadzając rzeczy do ostateczności, pogłębiał tylko ku królowi niechęć i odbierał mu resztkę powagi. Stanowisko Zamoyskiego ośmielało niezadowolonych z króla magnatów i zachęcało ich do zrzucenia z tronu Zygmunta. Ale Zamoyski był jedynym w Rzeczypospolitej mężem, który bez głębszych wstrząśnień mógł dzieła tego dokonać. Tymczasem nie miał on tego zamiaru. W ten sposób stanowiskiem swojem wnosił w umysły ferment, przygotowywał burzę, której nie danem mu było już opanować.

Żółkiewski, którego nigdy nie zaślepiała namiętność, nie szedł śladami swego mistrza. Głęboko lojalny, mający zawsze w wielkiem poszanowaniu prawo, szczery i prosty, widzący w osobie króla majestat Rzeczypospolitej, wskazywał błędy Zygmunta, „napominał" go, lecz nie poniżał samej władzy, którą król wyobrażał. Wiedział, że się naraża, lecz spełniał swój obowiązek obywatelski, spełniał uczciwie i poważnie.

Król oburzony był na Zamoyskiego do tego stopnia, że podczas jego mowy miał porwać za rękojeść szabli. Ale niezdolny nawet do wybuchów wielkiego gniewu, pomiarkował się szybko: nie wyjął miecza,

zapłakał tylko, nie myśląc zresztą o wyrzeczeniu się swoich zamysłów.

Sejm znowu się rozszedł, nic nie zdziaławszy dla kraju. W gadulstwie polskiem utonęły najważniejsze zagadnienia państwowe, nie doczekawszy się rozwiązania. Jedna tylko sprawa pomyślnie została w tym czasie załatwiona. Oto król, idąc za życzeniem powszechnem, oddał wielką buławę litewską po zmarłym Radziwille, słynnemu pogromcy Szwedów, Chodkiewiczowi.

Buława ta nie mogła dostać się w ręce godniejsze. Chodkiewicz, prowadząc wojnę w Inflantach z garstką żołnierzy, a odniósłszy mnóstwo świetnych zwycięstw, wkrótce po otrzymaniu wielkiej buławy, zadał Szwedom nową, a tak straszną klęskę, że zaćmił nią wszystkie poprzednio odniesione zwycięstwa. Oto dnia 27 września 1605 roku, mając niespełna 4,000 jazdy zmierzył się pod Kircholmem z 17-tysięczną armją Karola Sudermańskiego. W czterogodzinnym boju, hetman z szablą w ręku, sam prowadząc do ataków swą straszliwą jazdę, dziewięcioma tysiącami trupów nieprzyjacielskich zasłał pole walki, zdobył cały obóz szwedzki, 11 dział, 60 chorągwi. Karol zaledwie z życiem zdążył uciec z placu bitwy.

To nieprawdopodobne, a głośne na cały świat zwycięstwo, dawało doskonałą sposobność do zawarcia pokoju ze Szwecją i utrzymania przy Polsce zarówno Inflant, jak Estonji. Lecz trwałość pokoju wymagała, aby król zrzekł się korony szwedzkiej. Niestety, do takiej ofiary Zygmunt nie był zdolny. A że zwycięski żołnierz Chodkiewicza, nie otrzymawszy zaległego żołdu, opuszczał samowolnie szeregi i złorzeczył het-

manowi, iż wplątał go w ogromną nędzę, więc poprzestano na zawieszeniu broni ze Szwedami.

Wojna miała się wkrótce rozpocząć na nowo: Szwedzi wykorzystali wewnętrzne rozruchy w Polsce, które wywołało znowu postępowanie Zygmunta.

Bo pomimo wszystkich ostrzeżeń król nie wyrzekł się zamiaru poślubienia arcyksiężniczki Konstancji. Wywołało to nowe oburzenie. Na wiadomość, że Konstancja ma przyjechać do Krakowa, książę Ostrogski, kasztelan krakowski, donosił Zamoyskiemu, iż zamierza zwołać szlachtę i zbrojną siłą zagrodzić narzeczonej królewskiej drogę do Polski. Zamoyski powściągnął kasztelana. Stary hetman obawiał się wojny domowej, utrzymując, że łatwo ją rozpętać, lecz stokroć trudniej uśmierzyć. Jakoż tylko swoją powagą powstrzymywał rosnące przeciw królowi oburzenie.

Ale na nieszczęście dla króla dnia 3 czerwca 1605 roku Zamoyski umarł.

Nieocenioną stratą był dla Rzeczypospolitej zgon znakomitego męża. A śmierć jego szczególniej boleśnie odczuć musiał Żółkiewski, który wyszedł ze świetnej szkoły kanclerza i losy swoje z jego losami i jego działalnością związał. W Żółkiewskim widział Zamoyski swego następcę. Istotnie on najbardziej był wskazany, by zająć miejsce zmarłego kanclerza. Zalecał go na miejsce po Zamoyskim rozum i doświadczenie, niepospolite zdolności i prawy charakter. Ale Żółkiewski swoją prawością i napominaniem króla naraził się Zygmuntowi, a nie miał w sobie, jak zmarły przyjaciel owej natury zdobywczej, która narzuca się sama przez się i szturmem zdobywa należne sobie stanowisko. Na dworze królewskim ścierały się próżności i ambicje, wielką rolę odgrywały intrygi, a łaską pań-

ską cieszyli się pozbawieni własnego zdania pochlebcy. W atmosferze dworskiej nie było miejsca dla takiego męża, jak Żółkiewski.

Nie lubił król hetmana i nie myślał wyróżniać go swą łaską.

Więc kto inny wyciągnął ręce po spadek moralny po zmarłym dostojniku.

Wolą Zamoyskiego nad nieletnim synem jego Tomaszem ustanowieni zostali, jako opiekunowie: Żółkiewski, biskup chełmski Zamoyski i wojewoda krakowski, Mikołaj Zebrzydowski.

Ten ostatni należał do najmożniejszych w Koronie magnatów. Spokrewniony z domem Zamoyskich i Żółkiewskich, miał szeroko rozgałęzione stosunki i duże zachowanie u szlachty. Niegdyś cieszył się względami króla, lecz później doznał jego niełaski. A gdy Zygmunt odmówił mu oddania paru wakujących po Zamoyskim starostw, obrażony wojewoda uniósłszy się nienawiścią, rozpoczął knuć zemstę przeciw królowi.

W murach zamku królewskiego znajdował się dom, przeznaczony na przyjęcie gości zagranicznych. Ten dom za zezwoleniem Batorego zamieszkiwał dożywotnio Zamoyski, lecz że w ostatnich latach swego życia rzadko przebywał w Krakowie, więc Zebrzydowskiemu odstąpił mieszkanie. Król, oczekując przyjazdu licznych gości na swe gody weselne z arcyksiężniczką Konstancją, polecił Zebrzydowskiemu zajmowane mieszkanie opuścić. Żądanie króla uznał wojewoda za osobistą obelgę. Czas jakiś ociągał się z wypełnieniem objawionej mu woli, a gdy król nie przestał nalegać, Zebrzydowski zapowiedział groźnie:

— Wyniosę się z domu, ale ręczę, że król wyniesie się z królestwa!...

I w myśl tej zapowiedzi rozpoczął walkę z Zygmuntem. Jako wykonawca ostatniej woli Zamoyskiego i opiekun jego syna, występował odtąd, jako spadkobierca jego testamentu politycznego. Potężnego sojusznika znalazł Zebrzydowski w podczaszym litewskim, księciu Januszu Radziwille, widomej głowie i protektorze kalwinów na Litwie. Młody magnat, podobnie, jak Zebrzydowski obrażony na króla, połączył swe siły z wojewodą i stanął w szeregu najgroźniejszych wrogów Zygmunta. Do tych dwóch potentatów przyłączyli się panowie Stadniccy, Herburtowie oraz liczny tłum szlachecki, widzący teraz swego wodza w Zebrzydowskim, jak ongi widział go w Zamoyskim.

Polityka króla dawała liczne powody niezadowolenia. Małżeństwo z arycyksiężniczką Konstancją, chęć ukoronowania następcy za swego życia, zamiar ograniczenia władzy sejmów i podniesienie władzy królewskiej, tajne konszachty ze zdradziecką Austrją, wojna ze Szwecją, faworyzowanie jezuitów, wreszcie postępowanie skryte, dwuznaczne, pomiatające opinją kraju, czyniło Zygmunta coraz niepopularniejszym w Polsce i pozwalało bez trudności podnieść przeciw niemu szlachtę.

Na sejmie 1606 roku przeciwnicy króla, kierowani przez księcia Radziwiłła, wystosowali do tronu pismo z ciężkiemi oskarżeniami. Król na uczynione mu zarzuty piśmiennie odpowiedzieć kazał, ale szlachta nie zadowoliła się odpowiedzią i nie chciała pozwolić na żadną uchwałę, dopóki król nie naprawi swych błędów. A jeszcze sejm się nie skończył, gdy Zebrzydowski nadciągnął ze swymi stronnikami i zapadł obozem w Stężycy. Poważne siły, skupiające się przy woje-

wodzie, zaniepokoiły króla. Więc wysłał do Zebrzydowskiego księdza Skargę, ale mądry, złotousty kaznodzieja, mający pogodzić z królem jego przeciwników, nic poselstwem swojem nie wskórał. Zebrzydowski rósł w siły i stawał się coraz groźniejszym, gdyż Radziwiłł z gromadą swoich stronników opuścił obrady sejmowe i stanął w Stężycy.

Sejm rozszedł się, nie zdoławszy nawet wypowiedzieć opinji o czynionych królowi zarzutach, a przywódcy zjazdu stężyckiego wydali manifest, w którym wzywali całą szlachtę, by dla obrony swych swobód i odwrócenia klęsk, grożących ojczyźnie ze strony króla, stawiła się zbrojno na dzień 4 czerwca w Lublinie.

Jakoż w oznaczonym terminie licznie, ze wszystkich okolic kraju zjechała się szlachta i pod laską Janusza Radziwiłła rozpoczęła burzliwe obrady.

Zanosiło się na jawną wojnę z królem.

Przy Zygmuncie stał niepopularny śród szlachty, marszałek wielki koronny, Zygmunt Myszkowski, trzymali stronę króla rosnący w znaczenie i wpływy panowie Potoccy, oraz tłum dworaków, nie mających popularności i uznania w kraju. Król nie miał oprzeć się na kim. Wtedy to przypomniał sobie o Żółkiewskim. Wobec widma wojny domowej zrozumiał, czem stać się może dla niego hetman. Więc listownie zawezwał go do siebie.

Żółkiewski, zdala od wrzawy, huczącej w kraju, stał na straży kresów.

Latem, 1605 r. Tatarzy, odpowiadając za napad Kozaków na Warnę, najechali znowu pograniczne ziemie polskie i pod wodzą strasznego Polakom Murzy Kantymira zapędzili się pod Niemirów i Winnicę.

Rzeczpospolita, zajęta wewnętrznemi niesnaskami, nie zwracała uwagi na kresy. Jak niedawno opuściła zwycięskiego Chodkiewicza w Inflantach, tak i teraz z tą samą lekkomyślnością pozostawiała bogate krainy nadgraniczne na opiece boskiej. Jeden Żółkiewski z garstką żołnierzy pośpieszył na ratunek ojczyźnie. Hetman pobił Kantymira u Korowajny, a potem zadał Tatarom nowy cios pod Udyczą, odebrał im zrabowane łupy i jeńców, stoczył szereg zwycięskich bojów i wyparł dziką hordę z granic Rzeczypospolitej. Ta wojna na kresach przeciągnęła się aż do zimy. Dzięki Żółkiewskiemu spokój zapanował w spustoszonych krajach. Ale należało obawiać się nowego najazdu dziczy tatarskiej, a nawet wojny z Turcją, która groźnie potrząsała mieczem i za ciągłe napady Kozaków zapowiadała zemstę Rzeczypospolitej.

Więc hetman stał czujnie na straży granic ojczystych, stał jak samotna wieża wartownicza śród zagrożonych pożarami stepów. On jeden za całą Polskę czuwał nad jej całością i spokojem. Dopiero niebezpieczeństwo wewnętrzne przypomniało Żółkiewskiego królowi.

Hetman posłuszny rozkazom, przybył do Warszawy.

Król przyjął Żółkiewskiego z największemi względami. Znając jego charakter, zwierzył się, że wzburzenie pragnie uspokoić łagodnemi środkami, prosił hetmana o pomoc i radę. Poza temi względami nic więcej nie znalazł dla Żółkiewskiego. Szafował dostojeństwami. rozdawał innym urzędy i starostwa, ale wiernemu stróżowi granic ojczystych żadnej nie obmyślił nagrody. Wakowała po Zamoyskim buława wielka koronna, a należała się Żółkiewskiemu z prawa i zasług. Lecz nieufny król nie myślał powierzać jej

mężowi, któremu opinja publiczna zgodnie buławę tę przeznaczała.

A Żółkiewski nie napraszał się o nic.

W owych czasach odmowa jednego starostwa przyczyniała królowi śmiertelnych wrogów. W owych czasach tak często interes prywatny wpływał na stosunek możnych panów do króla, że samo pominięcie Żółkiewskiego, gdyby owiany był duchem czasu, musiałoby go popchnąć do obozu wrogów królewskich.

Ale Żółkiewski charakterem swoim wyrósł ponad współczesnych.

Do Zygmunta nie miał osobistych pretensyj. Znał go i wiedział dobrze, ile złego przyczynia swą polityką Rzeczypospolitej, zawczasu przewidywał złe tej polityki skutki i wcześnie je opłakiwał. Uznawał przecież w królu najwyższą władzę, rozumiał, że przeciwnicy królewscy, stając do walki, nie wolni są od powodowania się prywatą. Więc postanowił uczynić wysiłek, by uciszyć namiętności i zażegnać burzę. Ale że był spokrewniony z Zebrzydowskim, że niedawno godził w swej Żółkwi Herburtów ze Stadnickimi, więc złe języki przestrzegały króla, by niedowierzał zbytnio hetmanowi. A Zygmunt, z natury podejrzliwy i chwiejny, rad dawał ucho podszeptom.

Pomimo to Żółkiewski szczerze przystąpił do dzieła.

Porozumiawszy się z królem, wyjechał do Lublina, by spróbować własnym swym wpływem odwrócić grożące Rzeczypospolitej nieszczęście. Przekonał się na miejscu, że nic zdziałać nie może. Król miał wrogów nieprzejednanych, a namiętności tak się już rozpętały, że niepodobna było opanować wzburzenia. Nasłuchał się hetman najstraszniejszych zarzutów

i obelg, któremi podczas obrad godzono w Zygmunta. Stanisław Stadnicki z Łańcuta, przezywany przez współczesnych Djabłem, nazwał króla w swej mowie sodomczykiem i krzywoprzysiężcą, przypisywał mu haniebne zbrodnie i zdrady, a domagał się natarczywie, by uczestnicy zjazdu zbrojną kupą wyruszyli przeciw królowi, siłą strącili go z tronu i ogłosili nową elekcję.

A słuchacze przytakiwali tym wywodom.

Z podnieconym tłumem niepodobna było dyskutować. Spróbował więc Żółkiewski porozumieć się bezpośrednio z Zebrzydowskim, ale przekonał się, że wojewoda gotów jest na wojnę domową, że zbrojną siłą pragnie zająć Kraków. O pogodzeniu się z królem nikt słyszeć nie chciał.

Żółkiewski, pełen zgryzoty, z niczem powrócił do Warszawy.

W otoczeniu króla panowało wielkie zaniepokojenie. Wyzywająca postawa Zebrzydowskiego pozwalała spodziewać się z jego strony kroków zaczepnych, a król nie miał dość sił, aby stawić czoło zbuntowanej szlachcie. Więc rada senatorów doradzała Zygmuntowi, aby schronił się do Prus i w jednym z warownych zamków tamtejszych czekał na zebranie się wojska. Przeciw tej radzie stanowczo wypowiedział się Żółkiewski. Dążył on wszelkiemi siłami do zapobieżenia zbrojnemu starciu, rozumiał przecież, że ubliżająca powadze króla ucieczka ośmieli tylko jego przeciwników, doda im sił i zachęci do zajęcia Krakowa, a tem samem uczyni walkę nieuniknioną. Jako żołnierz i statysta radził ze swej strony Zygmuntowi, by śmiałym krokiem uprzedził zamiary swych wro-

gów i, nie bacząc na słabe siły, wyruszył natychmiast do Krakowa.

Król przychylił się tym razem do zdania Żółkiewskiego i, rozpuściwszy wieść o wyjeździe swoim do Gdańska, rozpoczął niezwłocznie podróż do stolicy.

Krok ten ocalił królowi koronę, a że był w ówczesnem położeniu jedynem wyjściem z sytuacji, przekonano się wkrótce. Podczas podróży przyłączył się do króla ze zbrojnym orszakiem starosta feliński, Stefan Potocki, przyprowadził królowi 800 zbrojnych ludzi marszałek wielki koronny, Myszkowski — i Zygmunt wzmożony na siłach, a nie zaczepiany przez wprowadzonych w błąd wieścią o podróży do Gdańska rokoszan, bez przeszkód i szwanku wjechał w mury Krakowa.

Przybyło tu w ślad za królem poselstwo z Lublina, a domagało się od Zygmunta, by stawił się na zjazd, przyznał się tam do gwałcenia praw i przywilejów, a następnie przeprosił Rzeczpospolitą za swe winy i błędy. Rokoszanie grozili, że w razie odmowy, będą się uważali za uwolnionych od posłuszeństwa królowi. A że król nie myślał usłuchać żądania, więc przywódcy rokoszu, spełniając swą groźbę, zwołali nowy zjazd pod Sandomierz. Na zjeździe tym, jak niosła wieść, Zebrzydowski miał wyjawić ważne tajemnice, świadczące o zdradach i frymarkach króla.

Nowy zjazd zgromadził z górą 50,000 zbrojnej szlachty.

Lecz król, idąc tą samą drogą, co rokoszanie, zwołał ze swej strony zjazd do Wiślicy, a przyprowadził ze sobą 11,000 jazdy i 6,000 piechoty, w tej liczbie 7,000 kwarcianego wojska, które z nad Dniepru przy-

wiódł mu Żółkiewski. Bez pomocy hetmana nie mógłby król myśleć o wystąpieniu zbrojnem.

A rokoszanie zdawali sobie sprawę, że główną siłą króla jest Żółkiewski. Próbowali więc przeciągnąć go na swą stronę. Janusz Radziwiłł wzywał hetmana, by, pomnąc na obowiązek szlachecki i powinność urzędu hetmańskiego, odesłał wojsko nad granice, by stało na straży bezpieczeństwa kraju. Do wezwania tego dołączył wiele słów słodkich i pochlebstw, wysoko podnosząc bezinteresowną miłość i świetne dzieła hetmana ku zadowoleniu współbraci i chwale Rzeczypospolitej dokonywane.

Na wezwanie Radziwiłła odpowiedział Żółkiewski znamiennym listem, pisanym z Opatowa dnia 19 sierpnia 1606 roku.

„Na list ten, jako najkróciej waszmościom moim, miłościwym panom i braci odpisuję. W którym przyznawać mi to waszmoście raczycie, żem zawżdy, jakom począł w ojczyźnie naszej spólnej służyć, powinnościm swej tak przestrzegał, jako się dobremu Rzeczypospolitej słudze godziło. I teraz niechaj mię nikt do waszmości nie podaje, gdyż rzeczą samą ze mnie nic inszego nie poznacie, jeno szczerą i uprzejmą miłość ku Rzeczypospolitej, ojczyźnie naszej spólnej, dla której jako wiele razów na szańc zasadzałem zdrowie swe, i tenże teraz jest mój umysł, i daj to Boże, żebym się tak fortunnie urodził, żebym położeniem żywota mógł posłużyć Rzeczypospolitej i zacnej sławie naszego narodu”...

Pisał dalej Żółkiewski, że do wszystkiego, „co należy do zatrzymania praw i wolności szlacheckich” gotów jest pomóc, tylko, żeby spokojnie „w zgodzie, w miłości braterskiej, o tem się radziło i umawiało”.

Za wyrzuty, które mu czyniono, nie gniewał się, owszem, przyjmował je, błagał tylko, by przeciwnicy postępowali rozważnie i nie doprowadzali rzeczy do ostateczności.

„Napominanie waszmościów braterskie przyjmuję, także bratersko waszmościów mych, miłościwych panów i braci prosząc, żebyście waszmoście dyrygowali rady swoje do dobrego i spokojnego Rzeczypospolitej, ojczyzny naszej, iżby zatrząśniona Rzeczpospolita szturmem jakim popędliwym do ostatniego, strzeż Boże, niebezpieczeństwa nie przyszła”...

Nadaremnie przecież dokładał sił Żółkiewski, by zażegnać niebezpieczeństwo. Rokoszem wstrząsały niezgody, szlachta zaczęła się rozjeżdżać, ale przywódcy ruchu ciągle stawiali warunki, których Zygmunt bez ubliżenia sobie przyjąć nie mógł. Gdy więc układy nie doprowadziły do celu, wojska królewskie ruszyły pod Sandomierz. Rokoszanie, nie oczekujący stanowczych kroków ze strony króla, nieprzygotowani do walki, cofnęli się do Ożarowa. Król z całem wojskiem posunął się naprzód, lecz dopiero pod Janowcem dopadł swych nieprzyjaciół.

Teraz dopiero przyszło do ugody. Zebrzydowski i Radziwiłł, widząc nierówne siły, przeprosili króla, zobowiązali się rozpuścić swe hufce, nie zwoływać więcej zjazdów, a na sejm najbliższy, mający ostatecznie zatarg ułagodzić, stawić się bez siły zbrojnej. Żółkiewski nie brał udziału w wyprawie pod Janowiec. Biskup Łubieński świadczy, że złożony był chorobą. Nie wpływał więc na układy i wzajemne zobowiązania. A nieobecność hetmana wielką była dla sprawy publicznej szkodą, gdyż Zebrzydowski i Radziwiłł postępowali nieszczerze, a przy królu nie

było nikogo, ktoby swą powagą zdołał ugodzie nadać siłę i trwałość.

To też wkrótce zaczęła się nowa zawierucha. Tym razem sygnał dała szlachta wielkopolska w Kole, wydając uniwersał, zwołujący ogół szlachecki na zjazd do Jędrzejowa. Zebrali się więc rokoszanie, a Zebrzydowski i Radziwiłł cisnęli wyzwanie królowi, gdy ten z Żółkiewskim i Potockimi zjechał na sejm do Warszawy. Tym razem wrogowie króla wystąpili zaczepnie: z Jędrzejowa przenieśli się do Czerska, a następnie do Jeziorny. Dnia 24 czerwca wydali manifest, wypowiadający królowi posłuszeństwo, a wzywający senatorów i wojsko do połączenia się z rokoszem. Manifest nawoływał nadto urzędników państwowych, aby Zygmuntowi, jako złożonemu z tronu, żadnych więcej nie świadczyli usług.

Manifest ten wywołał w otoczeniu króla ogromne wrażenie.

Znajdowało się przy nim 40 senatorów, a między nimi dwaj hetmani, gdyż i Chodkiewicz w 1600 jazdy przyciągnął z Inflant i stanął przy królu. Dla wszystkich widocznem się stało, że rzecz poszła za daleko, by można ją było załatwić pokojowo. Ale Żółkiewski nie dawał za wygraną. Myślał on z rozpaczą o wojnie Polaków z Polakami, a przekonywał się, że i wojsko jego szemrze i nie ma ochoty toczyć wojny z braćmi. Raz jeszcze spróbował układów. W nadziei, że rycerstwo stron obu najłatwiej dojdzie ze sobą do porozumienia, wysłał do obozu nieprzyjacielskiego kilku wojskowych, by czynili zgodę. Ale wzmożeni na siłach rokoszanie wysłańców hetmana odprawili z niczem.

Wojna domowa stała się nieunikniona.

Gdy więc w Warszawie otrzymano wiadomość, że rokoszanie odstąpili ku Warce i zamierzają ciągnąć na Kraków, wojsko królewskie z Zygmuntem i hetmanami na czele wyruszyło w pogoń. Na rozległych polach między Orońskiem a Guzowem dnia 6 lipca 1607 roku stanęły naprzeciw siebie dwie bratnie armie i uszykowały się do boju. Po raz ostatni spróbował Żółkiewski opamiętać przywódców rokoszu. W tym celu wysłał posłów do Zebrzydowskiego i wzywał go do rozpoczęcia układów, przekładając, że wybiła ostatnia godzina, w której można jeszcze zapobiec rozlewowi krwi bratniej. Ale butny wojewoda, uniesiony pychą, a ufny w przewagę liczebną swego wojska, nie chciał już o układach słyszeć: zamiast odpowiedzi rozkazał uwięzić posłów Żółkiewskiego.

Więc w obozie królewskim wydano rozkazy do bitwy.

Niepokój musiał ogarnąć Zygmunta, bo rokoszanie przewyższali go liczbą, a wojsko królewskie niechętnie stawało do sprawy. Nadto wojsko nie miało jednolitego dowództwa. Panowie Potoccy, stojący na czele nadwornych szyków królewskich i hufców własnych, nie chcieli słuchać hetmanów. Żółkiewski uważał, że jemu, jako hetmanowi koronnemu należy się dowództwo naczelne, a ze swej strony tę samą pretensję miał Chodkiewicz, jako hetman wielki litewski. Porozumiano się ostatecznie w ten sposób, że Jan Potocki, starosta kamieniecki, jeden z ulubieńców króla, stanął na czele środkowej kolumny, Chodkiewicz na prawem skrzydle, a na lewem Żółkiewski.

Bitwę rozpoczął Radziwiłł, uderzywszy przeważającemi siłami na hufce Chodkiewicza. Zwycięzca z pod Kircholmu odparł natarcie, ale gdy część jego

jazdy, czy to nie chcąc walczyć ze swoimi, czy też pod wpływem silnego uderzenia, rzuciła się do ucieczki, Radziwiłł, widząc zamieszanie, poprawił natarcie, rzuciwszy do ataku najmężniejszą swą jazdę. tak zwanych z węgierska eljerów, potężnych jeźdźców, przepasanych przez ramię czerwoną szarfą. Jazda ta, obalając wszystko po drodze, przedarła się aż do wozów królewskich i w otoczeniu samego króla niemało uczyniła popłochu. Już jeden z eljerów przypadł do orszaku Zygmunta i, wznosząc do góry szablę, zapytał groźnie:

— A gdzież ten Szwed?

Straż przyboczna króla rozsiekała śmiałka, ale chwila była krytyczna. Już radzono królowi, żeby się schronił w miejsce bezpieczniejsze, już zdawało się otoczeniu królewskiemu, że rokoszanie biorą górę, że sprawa króla przegrana. Ale Chodkiewicz szybko opanował popłoch w swych szeregach i na nowo powiódł je do walki, Potocki łamał się zwycięsko z hufcami Zebrzydowskiego, a Żółkiewski,mając przeciw sobie krewniaka Herburta, stojącego na czele lekkiej jazdy polskiej i piechoty węgierskiej, stanowczym atakiem przełamał prawe skrzydło nieprzyjacielskie i zmusił je do ucieczki.

Szala zwycięstwa przechyliła się na stronę królewską.

Trwała jeszcze bitwa, ale Żółkiewski, okiem biegłego wojownika oceniwszy położenie, dostrzegł klęskę nieprzyjaciół. Zbliżył się więc do króla i pierwszy zwiastował mu zwycięstwo.

Jakoż istotnie, rokoszanie, zasławszy pole walki setkami trupów, poszli w rozsypkę.

Król triumfował.

Zwycięstwo było zupełne.

Z papierów Herburta, znalezionych na placu boju, okazało się, że rokoszanie traktowali już z księciem siedmiogrodzkim, Gabrjelem Batorym, którego chcieli osadzić na tronie polskim po zwyciężeniu Zygmunta. Król, odniósłszy zwycięstwo, a mając nowe dowody winy, z całą bezwzględnością chciał ścigać swych wrogów. Żółkiewski radził postępować oględnie i wspaniałomyślność okazać zwyciężonym. Więc król z nieufnością spoglądał na hetmana, a niechętni mu dworacy starali się nieufność królewską pogłębić.

Tymczasem wygrana bitwa nie była jeszcze wygraną sprawą.

Zebrzydowski nie myślał ukorzyć się przed królem i, aczkolwiek zniknął z widowni, z ukrycia czynił przygotowania do rozpoczęcia nowych kroków przeciw Zygmuntowi. Radziwiłł i Herburt pociągnęli do Lublina i, nowemi uniwersałami podburzając szlachtę, wzywali ją tym razem na dzień 5 sierpnia do Warszawy w celu dokonania wyboru nowego króla.

Lecz szczęście przestało sprzyjać rokoszanom.

Herburta pojmał Żółkiewski i jako więźnia odstawił do Krakowa. Radziwiłł, nie czując się pewnym w Koronie, pociągnął na Litwę, lecz tu, mając na karku Chodkiewicza, wichrzyć dalej nie mógł. Jeden Zebrzydowski z garścią stronników ruszył pod Warszawę i na zjazd, wyznaczony przez Radziwiłła, usiłował zwołać szlachtę. Widząc przecież, że nie znajduje śród ogółu posłuchu, rozpisał listy do senatorów i proponował, by spór między nim a królem rozstrzygnęli wyznaczeni przez obie strony sędziowie. Żółkiewski nakłaniał króla, by przystał na tę propozycję. Ale Zygmunt, w którym nieufność rosła, zgromił su-

rowo hetmana. Niedawno sam słał posłów i próbował z rokoszanami układów. Lecz po odniesionem zwycięstwie uniósł się pychą i nie chciał słyszeć o zgodzie. Żółkiewskiego podejrzewał, że przez wzgląd na pokrewieństwo z Zebrzydowskim, nakłania do przyjęcia propozycji wojewody. Tymczasem Żółkiewski innemi względami się powodował. Widział w rokoszanach straszliwą namiętność i obrażone ambicje, rozumiał, że w osądzaniu „praktyk" Zygmunta nie mają miary, że zbyt często powodują się interesem osobistym, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że i król nie jest bez winy, że jego działalność jest źródłem istotnego niezadowolenia kraju. Nie był to król, na którym możnaby polegać. Rokosz został uśmierzony, ale iskry rokoszu tlały jeszcze, a niewiele było potrzeba, by pożar zaczął się na nowo.

Żółkiewski, podejrzewany przez króla, obarczany był jednocześnie podejrzeniami tych, co w królu widzieli główną przyczynę wstrząsającej krajem zawieruchy. I rokoszanie mieli potężnych stronników pomiędzy panami, co nie zerwali ostatecznie z królem. Do takich należał kasztelan krakowski, książę Ostrogski, jeden z najpierwszych magnatów i senatorów Rzeczypospolitej. I ten domagał się od Żółkiewskiego, by złamał opór króla.

„Był czas,— odpowiedział Ostrogskiemu hetman,— i nieraz tego było, że jego królewska mość i my też niektórzy wzywaliśmy ichmość daremnie do tych deputacyj, do braterskiej umowy. Pełni się w nas owa przypowieść: po szkodzie Polak mądr. Lecz kiedy to nie mogło być przed szkodą, lepiej wzdy kiedy mieć rozum, niż nigdy".

I upewniał, że ze swej strony gotów jest chwytać się wszelkich środków, byle uspokoić zawichrzoną ojczyznę.

„Ja z osoby swej nie jestem przeciwko temu, żeby wszystkich środków, któreby do uspokojenia mogły służyć, macać, sposób tego trudny jest, bo a kto (będzie) sędzią tych traktatów?"...

Jedną radę i jedyny autorytet znajdował, a był nim sejm.

„I teraz cokolwiek jest obłądzenia, stąd najbardziej poszło, żeśmy zwyczajnego toru, odprawowania się spraw w Rzeczypospolitej ustąpili, to jest, żechmy chcieli leczyć urazy w Rzeczypospolitej inakszym sposobem, niźli sejmem i dokąd się na ten gościniec nie wrócim, temi ścieżkami pożądanego celu uspokojenia Rzeczypospolitej nie dojdziem".

Widział przecież bezowocność i jałowość sejmów, żywo miał w pamięci krzywdy, które sejmy nieraz wyrządzały sprawie publicznej.

„Nadprzykrzyły się nam te sejmy, wyzuły nas z dostatków, ale cóż rzec, kiedy inszego sposobu, którymby się Rzeczpospolita gruntownie uspokoić mogła, niemasz".

Powoli przecież wygrywał Żółkiewski w opinji: na niego zwrócone były oczy kraju, po nim jedynie spodziewano się, że potrafi zażegnać burzę i spokój wewnętrzny przywrócić Polsce. Senatorowie radzili Zebrzydowskiemu, by całkowicie powierzył swą sprawę Żółkiewskiemu, a wkońcu ugiął się i król. Gdy więc wojewoda zgodził się, że nie może żywić „w tumulciech nadziei żadnej, chyba upadku i zginienia pewnego" — łatwo doszło do zgody.

Dnia 16 maja 1608 roku Zebrzydowski, prowadzony przez Żółkiewskiego, wjechał w mury Krakowa. Na ulicach stały tłumy ludu i w ponurem milczeniu spoglądały na wojewodę oraz skromny orszak, który mu towarzyszył. Nawet trąby na wieżach, jako było we zwyczaju, nie odezwały się na powitanie senatora. Cicho wjechano w mury zamku, gdzie król i senatorowie oczekiwali na przybycie wojewody. Gdy Żółkiewski wprowadził Zebrzydowskiego do sali, przeznaczonej na ceremonję przeprosin, nikt na widok przywódcy rokoszu nie powstał, nikt nie skinął mu głową na powitanie. Król chory, wniesiony w lektyce na posiedzenie, milczący i trupio blady zasiadł na tronie. Chwila posępnej ciszy zaległa salę. Zmieszany wojewoda, pokłoniwszy się nisko królowi, wypowiedział niepewnym głosem przepisaną mowę, w której prosił Zygmunta, by, „wszystkie rzeczy przeszłe” puścił miłościwie w niepamięć, poczem, przyznając się do naruszenia należnej panującemu wiary, ponowił przysięgę na wierność i posłuszeństwo królowi.

Od tronu przemówił kanclerz, zwiastując wojewodzie łaskę i przebaczenie króla.

Z kolei Zebrzydowski zwrócił się do senatorów i prosił ich, aby mu po bratersku odpuścili popełnione błędy. Rzekłszy to, zbliżał się kolejno do obecnych i każdego zosobna witał uściśnieniem. Ale Gadomski, wojewoda poznański i kilku innych, bardziej zawziętych, widząc, że i do nich zbliża się Zebrzydowski, powstało z miejsc i skierowało się do wyjścia. Żółkiewski, pragnący zgody zupełnej, zaszedł uchodzącym drogę i słowami perswazji skłonił do pozostania w sali. Pod wpływem tych słów prysła za-

wziętość i ci, co chcieli obrazić upokorzonego wojewodę, wyciągnęli ku niemu ręce.

Tak skończył się pamiętny w dziejach Polski rokosz. Ujawnił on słaby charakter króla, nieokiełzaną namiętność magnatów, niemoc sejmu i rozkład Rzeczypospolitej. A na posępnem tle wydarzeń, co podzieliły kraj na wrogie obozy i spowodowały rozlew krwi bratniej, jasno zarysowała się znowu piękna dusza Żółkiewskiego. Stanął on po stronie króla, nie bacząc na to, że król nie darzył go zaufaniem, że temu królowi sam wiele miał do zarzucenia. Ale ten mały, niedołężny król wyobrażał najwyższą władzę Rzeczypospolitej, a mimo wszystkie swe wady, błędy i winy, zaraz w początkach rokoszu dążył do porozumienia się i zgody, gdy rokoszanie nieubłaganą ujawniali zawziętość. Po odniesionem zwycięstwie król stał się zawziętym, a rokoszanie szukali sposobów, by pogodzić się z królem. Dzięki Żółkiewskiemu zawarty został pokój, dzięki jego pracy Polska ku innym zadaniom mogła wytężyć swe siły. Lecz król nie ocenił zasług Żółkiewskiego: za wierną służbę Ojczyźnie płacił mu podejrzeniem. Gdy niebezpieczeństwo zagroziło tronowi, wezwał go do siebie i jemu się oddał w opiekę, gdy niebezpieczeństwo przeminęło, nie poczuwał się do żadnych obowiązków względem swego zbawcy. Nie oddał mu i teraz wielkiej buławy, nie zbliżył do siebie i nie przypuścił do większego wpływu na bieg spraw państwowych.

Wielki Żółkiewski nie był mężem na miarę małego Zygmunta. Król myślał przedewszystkiem o sobie, hetman o Rzeczypospolitej.

V.

WOJNA Z CARSTWEM MOSKIEWSKIEM.

Wewnętrzne zaburzenia Rzeczypospolitej wykorzystali Szwedzi. Karol Sudermański, gdy Chodkiewicz wyruszył przeciw rokoszanom, zerwał zdradziecko zawieszenie broni, wkroczył do Inflant, odebrał Biały Kamień, a następnie inne opanował twierdze. Ponowne ukazanie się Chodkiewicza w Inflantach zmieniło sytuację, gdyż śladami znakomitego wodza znowu szły świetne zwycięstwa. Ale i tym razem niewypłacenie żołdu rycerstwu pokrzyżowało plany Chodkiewicza. Uwolniwszy od wrogów Inflanty, pragnął on przenieść wojnę do Estonji, lecz nieopłaceni żołnierze utworzywszy zbrojny związek, porzucili plac boju. Na szczęście, wojna, wypowiedziana Szwecji przez Danję, a później śmierć Karola pozwoliła Rzeczypospolitej zawrzeć dłuższy ze Szwedami rozejm.

W Inflantach zapanował na pewien czas spokój, lecz świetne zwycięstwa polskie i tym razem nie przyniosły zwycięzcom spodziewanych korzyści.

Żółkiewski po pogodzeniu Zebrzydowskiego z królem powrócił do strzeżenia kresów, nieustannie za-



HETMAN CHODKIEWICZ

grożonych przez hordy tatarskie, ale wypadki miały go wkrótce przerzucić na szersze pole działań.

Oto sąsiednie carstwo moskiewskie już od śmierci Iwana Groźnego było nieustannie widownią krwawych zaburzeń i przewrotów. Morderca carewicza Dymitra, Borys Godunow, zmarł tajemniczą śmiercią, podczas wyprawy oszusta, który się za Dymitra podawał, a którego wspierały hufce kilku panów polskich. Awanturniczy szalbierz wjechał triumfalnie do Moskwy i jako prawy syn Iwana Groźnego zasiadł na tronie carskim. Wojewoda sandomierski, Mniszech, oddał mu za żonę swą córkę, Marynę — i Polacy, których pełno było w otoczeniu mniemanego Dymitra, na dobre rozgospodarowali się w Moskwie. Ale nowy car, acz wykazywał nielada zręczność w rozstrzyganiu zawiłych spraw państwowych, acz umiał zdobyć popularność śród prostego ludu, nie potrafił zaskarbić sobie zaufania bojarów, a buta panów polskich do żywego dokuczała Moskalom. Niezadowoleni z nowych rządów bojarowie uknuli spisek przeciw carowi. Na czele tego spisku stanął książę Wasyl Szujski, człek przebiegły, chytry, sam marzący o pochwyceniu władzy i koronie carskiej. Z jego poduszczeń wybuchł bunt w Moskwie. W nocy 27 maja 1606 roku podburzony motłoch moskiewski wyległ na ulice i przy dźwięku dzwonów cerkiewnych rzucił się na siedzibę carską i kwatery przebywających w Moskwie Polaków. Dymitr, nie przeczuwając zdrady, został zabity, Maryna i jej ojciec dostali się w ręce Szujskiego, a wielu panów polskich wraz z dworzanami poniosło najstraszniejszą śmierć z rąk rozjuszonego tłumu.

Wieść o okropnej rzezi moskiewskiej wywołała wielkie wzburzenie w Rzeczypospolitej.

Duma polska została obrażona i domagała się odwetu.

Nieoczekiwane wypadki dały niebawem awaturniczej szlachcie sposobność do uczynienia nowej zawieruchy w carstwie. W dwa dni po zabiciu fałszywego Dymitra na tronie moskiewskim zasiadł Wasyl Szujski, ale powodzenie pierwszego oszusta znalazło naśladowców, i nowy car, otoczony siecią intryg, niepewny jutra, znalazł się w wielkiem niebezpieczeństwie. Najsłynniejszy z nowych oszustów zjawił się w roku 1607-ym w Starodubie. Podawał się on za cara Dymitra, a opowiadał, że cudownym sposobem uniknął śmierci, którą podstępnie przygotowywał mu Szujski. Nowy oszust, według opinji Żółkiewskiego, tak był podobny do zabitego, jak człowiek do człowieka, gdyż poza tem niczem nie przypominał swego poprzednika. Ale ciemny lud moskiewski, chciwy nowości, a niezadowolony z rządów Szujskiego, uwierzył rozpowszechnionym wieściom i czekał na zjawienie się w stolicy młodego cara, który w przeciwieństwie do skąpego Wasyla. rękę miał hojną i budził już żal śród ciemnego pospólstwa. Szujski, nie mogąc dosięgnąć rosnącego w siłę szalbierza, uwolnił Marynę i jej ojca, wojewodę sandomierskiego oraz innych jeńców polskich, którzy z pierwszym Dymitrem przybyli do Moskwy. Sądził, że w ten sposób najlepiej przyczyni się do zdemaskowania niebezpiecznego awanturnika. Ale czekała go niespodzianka. Chciwy zemsty i bogactw Mniszech namówił córkę, by w owym łotrze uznała swego męża. Tak się też stało. Nieszczęsna Maryna połączyła się z udającym jej małżonka oszustem i odrazu podniosła jego znaczenie.

Nowemu samozwańcowi pośpieszyli z pomocą Polacy.

W owym czasie nie brak było w Rzeczypospolitej ludu zbrojnego, pozbawionego mienia i domów, a żyjącego lat kilka bądź wojną, bądź ciągnącego korzyści z zawieruchy wewnętrznej, rozpętanej w kraju. W Brześciu rezydował związek żołnierski, utworzony z nieopłaconych hufców Chodkiewicza, a składający się z najmężniejszego w Polsce rycerstwa. Sławny z męstwa partyzant, Aleksander Lissowski, słynący szeroko z szalonych czynów wojennych, utworzył w tym czasie głośny później w całej Europie hufiec straceńców, złożony z takich samych jak on zabijaków, gotowych na największy hazard i największe szaleństwo. Książę Roman Różyński, Jan Piotr Sapieha, panowie Wiśniowieccy również zaczęli gromadzić zastępy zbrojne i około 8,000 dzielnego wojska przyprowadzili pod rozkazy nowego samozwańca. To samo uczynił Zarucki, szlachcic polski z pod Tarnopola. Ten ostatni zbiegł z niewoli tatarskiej, uciekł nad Don, pokumał się z Kozakami dońskimi, a zostawszy ich atamanem, wypłynął na widownię i z kilkoma tysiącami Kozaków, tak dońskich, jak zaporoskich, również stawił się do rozporządzenia oszusta.

Samozwaniec, odniósłszy kilka zwycięstw nad Moskalami, pociągnął ku Moskwie i, grożąc Szujskiemu złożeniem z tronu, okopał się w Tuszynie, w pobliżu samej stolicy.

Polacy wszędzie zwyciężali wojska Wasyla, a dzięki tym zwycięstwom władzy mniemanego Dymitra zaczęły poddawać się miasta, twierdze, a nawet całe prowincje. Rosła sława oszusta i coraz więcej ludu moskiewskiego zaczęło skupiać się przy nim i stawać

zbrojno w obronie rzekomych praw jego do korony carskiej.

Wypadki te obudziły najwyższą czujność opinji w Polsce. Stefan Batory, mimo świetnych zwycięstw nie zdążył urzeczywistnić swych wielkich w stosunku do carstwa zamiarów, nie odebrał nawet Smoleńska, którego stratę głęboko odczuwano przez długie lata w Rzeczypospolitej. Okoliczności sprzyjały teraz wykonaniu zamysłów wielkiego króla. Więc o wyprawie przeciw Moskwie zaczął rozmyślać Zygmunt III. Nie miał on tak rozległych planów, jak król Stefan, ale nie przestawał marzyć o nawróceniu Moskwy na katolicyzm. Nadto pobudkę do wojny czerpał z wieści, które głosiły, że znaczniejsi bojarowie moskiewscy, niezadowoleni z rządów Szujskiego, a przestraszeni powodzeniem nowego samozwańca, radziby osadzić na tronie moskiewskim królewicza Władysława, w przekonaniu, że car z panującego rodu, wsparty siłami Rzeczypospolitej, uspokoi zamieszki i ginące carstwo wydźwignie z nad przepaści.

Do wypowiedzenia wojny Moskwie skłaniała Zygmunta ta jeszcze okoliczność, że Wasyl, obawiając się Polaków, zawarł przymierze ze Szwecją, która 5.000 zaciężnych cudzoziemskich żołnierzy pod wodzą Pontusa de la Gardie zobowiązała się dostarczyć Szujskiemu.

Królowi wydawało się, że carstwo łatwe jest do opanowania, a szlachta, pomna na zwycięstwa Batorego, przychylała się do planu nowej wojny z Moskwą. Senatorowie w ogromnej większości również byli za wojną. Natomiast Żółkiewski nie należał do zwolenników zamierzonej wyprawy. Widział on wielkie trudności i przeszkody, na które król nie zwracał

uwagi, a które później dopiero miały się ujawnić. Hetman troszczył się przedewszystkiem o wojsko, które, nie otrzymując żołdu, coraz częściej wyłamywało się z pod rozkazów i w krytycznych chwilach opuszczało plac boju. Z takiem wojskiem nie było bezpiecznie rozpoczynać daleką i uciążliwą wyprawę.

„Nie czynił przedtem żołnierz polski i za mych już pamięci czekali zasłużonych żołdów cierpliwie. Ale się teraz wszystek świat zbestwił", — pisał Żółkiewski do króla i ostrzegał go, że żołnierze, czekając rok cały na wypłacenie żołdu, niechętnie o nowej wojnie myślą.

Drugą, poważniejszą jeszcze przyczyną, dla której hetman sprzeciwiał się wyprawie, była niepewność co do istotnych zamiarów króla. To nie był Batory, który wiedział, czego chce i dokąd dąży. Uparty, skryty a podejrzliwy Zygmunt sam nieustannie wzbudzał podejrzenia. To też zapał wojenny ostygał szybko. Przeciw zamiarom królewskim podnosiło się w kraju szemranie.

Żółkiewski zdawał sobie sprawę z takiego stanu rzeczy i przestrzegał króla, by przed powzięciem ostatecznej decyzji, wszystkie okoliczności szczegółowo rozważył.

„Pospolicie jest to w rozumieniu ludzkiem, — przekładał w liście swym z dnia 1 maja 1609 roku, — że Wasza Król. Mość nie w interesie Rzeczypospolitej, ale sobie prywatnie pożytku z tej ekspedycji patrzysz. I zatem to pochodzi, że nie tylko pospólstwo... ale i wszędy między ludźmi i senatory nawet tego pełno, że jakoś niechętnie o tem mówią i utyskują na ten Waszej Król. Mości zamysł. Trzeba zaiste mem zdaniem tego przynajmniej, żeby senatorowie, ile przedni

wiedzieli i będąc pewni intencji Waszej Król. Mości, ludzkie zatem nieprzychylne opinje znosili, gładzili, bo na wszelakie przypadki, na kontentowaniu się ludzkiem siła zależy. Uchowaj Boże, gdyby nie zaraz rzeczy po myśli poszły, a choćby też, co daj Panie Boże, jako najlepiej się powiedzie, nie zaraz jednak może być koniec. Przewłoka czasu będzie potrzebowała sumptu wielkiego; od ludzi niechętnych trudno się ratunku spodziewać"...

I przestrzegał jeszcze króla przed niebezpieczeństwem, jakiem grozi wyprawie brak gotowizny na opłacenie żołnierza.

„Kto może ręczyć za to, że nie uczyni żołnierz buntu"? zapytywał króla, a to straszne w ustach wodza pytanie odsłania jedną z najistotniejszych przyczyn słabości Rzeczypospolitej: ze wszech stron opasana przez wrogów, nie przedsiębrała środków, by zabezpieczyć od rozkładu własną siłę zbrojną. Głuchy był sejm na niedolę obrońców ojczyzny. Więc rycerstwo polskie coraz częściej sprzeniewierzało się swoim obowiązkom i w najkrytyczniejszych chwilach ku rozpaczy swych wodzów opuszczało szeregi.

Ze swej strony Żółkiewski starał się ułagodzić żołnierskie umysły i w korzystnem świetle przedstawiał rycerstwu zamiary króla.

„Nie zaniechywam ukazować im tego, że Wasza Król. Mość nie tak, jako złośliwi ludzie rozsiewają, ale dla rozmnożenia państw Rzeczypospolitej tę ekspedycję przedsiębrać raczysz; że to nie następowanie na bracią, którzy tam są, ale dla ichże dobrego, iż oni tem niebacznem porwaniem się nic sprawić nie mogą; że Wasza Król. Mość chcesz gruntownie i o dobrem Rzeczypospolitej, i o ich też, za ich przewagi,

nagrodzie dobrotliwie obmyślić. Te mowy czynią sposobne żołnierskie umysły do tej służby Waszej Król. Mości"...

Ale pomimo zachęcania żołnierzy do wojny, sam hetman miał jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał brać udziału w projektowanem przedsięwzięciu. Zygmunt III nie był wodzem, nie znał się na wojnie i w sprawach wojennych nie miał własnego zdania. Polegał więc na zdaniu cudzem, ale wybierał rady, które najbardziej dogadzały jego pożądaniom, bez względu na to, czy były uzasadnione. Do uszu króla dochodziły wieści, że Moskale wyglądają jego przybycia, by natychmiast uderzyć czołem, że Smoleńsk czeka tylko zjawienia się wojsk polskich, by gościnnie otworzyć przed niemi swe wrota. Król rad wierzył tym wieściom i wyprawę swoją od zdobycia Smoleńska projektował rozpocząć. Tymczasem Żółkiewski nie podzielał tej wiary. Smoleńsk był potężną twierdzą. Na to, aby się kusić o jej zdobycie, trzeba było rozporządzać silną piechotą i artylerją, a Rzeczpospolita jednej i drugiej nie miała w dostatecznej mierze. Zamiast więc oblegania Smoleńska, co mogło niesłychanie przedłużyć, a nawet zniweczyć wyprawę, radził Żółkiewski iść na ziemię siewierską, której opanowanie nie przedstawiało trudności, a następnie ruszyć wprost na stolicę carstwa, na samą Moskwę.

W osobistej rozmowie z królem przedstawiał hetman wszystkie korzyści swego planu, lecz że uparty król wierzył w możność łatwego zdobycia Smoleńska i od myśli tej odstąpić nie chciał, więc Żółkiewski przestrzegał, by przynajmniej dobrze zbadano, jak rzeczy stoją, ażeby później nie spotkały króla ciężkie zawody i rozczarowania.

Przyszła wiosna, najodpowiedniejsza pora dla rozpoczęcia działań wojennych, ale chwiejny Zygmunt zwlekał z decyzją. Ogłoszono wreszcie w Krakowie termin wyruszenia króla na wyprawę, lecz że żadnych nie czyniono przygotowań, nikt nie wierzył, by król rzeczywiście zdecydował się na wojnę. Żółkiewski, zawiadomiony o owym terminie, nie wróżył dobrego końca wyprawie wobec tego, że nie przygotowywano się do niej poważnie. Pragnąc uchylić się od udziału w wojnie, wysłał do króla pana Tarnowskiego wraz z pismem, w którem wymawiał się „laty i spracowanem zdrowiem", a wyrażał przekonanie, że z tak małem wojskiem, jakie może wyruszyć w pole, hetman wielki litewski, Chodkiewicz sam jeden doskonale da sobie radę.

Ale Chodkiewicz nie miał towarzyszyć królowi, a bez Żółkiewskiego Zygmunt nie odważał się rozpoczynać wojny. Nalegał więc na niego, aczkolwiek nie darzył go całkowitem zaufaniem. Chciał mieć przy swym boku innych oprócz hetmana doradców, a przedewszystkiem jednego z ulubieńców swoich, wojewodę Jana Potockiego. Wiedząc jednak, że Potoccy nieżyczliwie usposobieni są dla Żółkiewskiego, nie śmiał zabierać ich z sobą bez wyrozumienia opinji hetmana. Domagając się, by Żółkiewski wziął udział w wojnie, pytał go zarazem, czy Jan Potocki ma również być uczestnikiem wyprawy.

Ciężko było Żółkiewskiemu zdecydować się na udział w przedsiębranem dziele. Widział jednak jasno, że jeśli da odpowiedź odmowną, to wyprawa na niczem się skończy, gdyż żołnierz, znając jego stanowisko, „nie łacnoby się zaciągnął". Wiedział również, że odmową ściągnie na siebie nie tylko niełaskę królewską, ale

i nienawiść ludzi, którzy zarzucać mu będą, że „gotowe rzeczy do pomnożenia sławy i rozszerzenia państw Rzeczypospolitej przezeń wstręt wzięły". Choć tedy wiedział, że wyprawa nie jest należycie przygotowana, choć nie miał wiele nadziei, by wojna skończyła się pomyślnie, nie chciał świecić przykładem nieposłuszeństwa i stać się przeszkodą w wykonaniu zamiarów, którym sprzyjała Rzeczpospolita. Odpisał więc królowi, że ustępuje jego woli. Pozostawało do rozstrzygnięcia pytanie, dotyczące udziału w wyprawie Jana Potockiego. Wojewoda zazdrościł Żółkiewskiemu hetmaństwa, a wieść niosła, że jest kandydatem do wielkiej buławy. Hetman słusznie mógł się obawiać w obozie obecności swego przeciwnika, który był faworytem króla, cieszył się jego łaskami i wielki wpływ na umysł królewski wywierał. Ale Potocki był doświadczonym wojownikiem, a Żółkiewski nie myślał powodować się osobistą urazą. Więc z właściwą mu wspaniałomyślnością tak pisał do króla w sprawie Potockiego:

„Rozumiem, że (Potocki) potrzebnie z Waszą Król. Mością pojedzie. Jako z człeka dobrze w tych sprawach doświadczonego możesz W. Król. Mość mieć dobrą podporę. Ja też człowiekiem, i w leciech, i zdrowie ustawicznemi pracami zwątlone mam, jeśliby Pan Bóg co na którego z nas ludzkiego dopuścił, niech wzdy drugi będzie do służby W. Król. Mości".

W ten sposób Żółkiewski uspokoił króla. Nic więc nie stało na zawadzie wyruszeniu w pole. Tymczasem upłynął ogłoszony termin wyjazdu króla, ale król siedział w Krakowie, jakby wcale o wojnie nie myślał. Zbliżał się czerwiec. Wyznaczono termin drugi, później trzeci, lecz król nie mógł się zdecydo-

wać. Zwątpili wszyscy, zwątpił i hetman, by Zygmunt szczerze myślał o wyprawie, gdy niespodziewanie wpadł do Żółkwi goniec królewski i przywiózł Żółkiewskiemu pismo, w którem Zygmunt donosił o swym wyjeździe i wzywał hetmana, by śpieszył do Lublina, gdzie obaj mieli się spotkać.

Tegoż dnia Żółkiewski wyruszył z Żółkwi i jednocześnie z królem przyjechał do Lublina.

Tu, na audjencji prywatnej raz jeszcze powtórzył wszystkie swe racje przeciw wojnie, zwracając uwagę, że żołnierz nie jest do wymarszu gotowy, że upomina się o żołd niezapłacony, że wreszcie pora na wyprawę jest już spóźniona. Nim wojsko polskie granice moskiewskie przekroczy, utrzymywał hetman, zbliży się jesień, przyjdzie ciężka zima i uniemożliwi działania wojenne.

Pod wpływem tych uwag zawahał się Zygmunt. Na słabym jego umyśle wywody znakomitego wojownika potężne uczyniły wrażenie. Rad był się cofnąć, ale że o wyprawie swej zawiadomił Rzym i inne dwory europejskie, że wieści o tej wyprawie szeroko się już rozeszły po świecie, a nie było usprawiedliwionego powodu, któryby bez uchybienia powadze królewskiej mógł wytłumaczyć poniechanie zamiaru, więc król poszedł za głosem ambicji i postanowił wykonać objawione Europie dzieło. Nie martwił się zbytnio niegotowością wojska, liczył bowiem na prywatne hufce możnych panów, chociaż te wbrew oczekiwaniu króla ściągały leniwie i w niewielkiej liczbie.

Marnował się czas drogi, a tymczasem w carstwie moskiewskiem wikłały się sprawy i wytwarzała się nieprzyjazna dla zamiarów królewskich sytuacja.

Nowy samozwaniec skutkiem zdzierstw i łupiestw odstręczał od siebie Moskali, a popierający go Polacy budzili w ludzie moskiewskim coraz większą ku sobie nienawiść. Siostrzeniec cara, młodziutki Skopin Szujski, połączywszy swe wojska z zaciężnemi pułkami generała szwedzkiego, Pontusa de la Gardie, stojącego na czele kilku tysięcy Szwedów, Anglików, Francuzów i Niemców, stoczył zwycięsko kilka bojów z wojskami polskiemi i podniósł ducha Moskali. Zamki, twierdze, miasta, prowincje, co już uznały nad sobą władzę samozwańca, wypowiedziały mu posłuszeństwo i oddawały się znowu pod rozkazy cara.

Taki stan rzeczy sprawił, że Żółkiewski ponownie zaczął nalegać na króla, aby poniechał oblegania Smoleńska, lecz ruszył wprost na Moskwę i przez zdobycie stolicy carskiej zapewnił sobie powodzenie wyprawy. Do myśli tej nieraz powracał i nieraz w drodze przekładał ją do rozwagi królowi, ale zausznicy króla innego byli zdania, a popierał ich opinję Lew Sapieha, kanclerz wielki litewski. Łudzono Zygmunta, że Smoleńsk się podda, byle tylko wojsko polskie ukazało się pod jego murami. Królowi uśmiechała się łatwa zdobycz, więc wierzył wieściom, któremi go karmiono i wbrew perswazjom Żółkiewskiego szedł oblegać Smoleńsk.

Jakoż we wrześniu 1609 roku stanęło wojsko polskie pod bramami twierdzy. Wódz moskiewski, mężny Michał Szehin, wezwany do poddania fortecy, ani myślał posłuchać wezwania. Wobec stanowczej odmowy Szehina trzeba było przystąpić do działań wojennych.

Siły były nierówne.

Załogę Smoleńska obliczano na 40,000, a broniły go nadto potężne mury i 300 dział burzących. Oblężeni mieli nieprzebraną ilość żywności, dostatek prochów, kul i wszelkich środków obronnych. A przeciw tej sile król polski przyprowadził zaledwie 8,000 żołnierzy, bez dostatecznej artylerji.

W takich warunkach zdobywanie twierdzy było niesłychanie ciężkiem zadaniem.

Ale otoczenie Zygmunta nie traciło nadziei, że Smoleńsk wkrótce się podda, a sam król również dobrej był myśli.

Na żądanie jego Zółkiewski zwołał wiełką radę wojenną, na którą oprócz znamienitszego rycerstwa zaproszono wszystkich towarzyszących królowi senatorów. Na tej radzie ze zwykłą lekkomyślnością polską szydzono z potężnej twierdzy, buńczucznie wołając, że bardzo łatwo można będzie ją zdobyć. „Lada błazeństwy", powiada Żółkiewski, spodziewali się wojownicy polscy bramy forteczne otworzyć. Sędziwy hetman ze zgorszeniem słuchał tych głosów, ale im nie przeczył, „żeby, jak powiada, ludzie serca nie tracili". Wszakże po odbytej naradzie udał się do króla i przedstawił mu ciężkie położenie, dowodząc, że posiadane przez Polaków działa nie przebiją murów fortecznych, że na podkopy i petardy liczyć nie można, że oblężenie przewlekać się będzie bez końca, wobec czego najlepiej odstąpić od Smoleńska i ruszyć na stolicę carską, na samą Moskwę.

Później, gdy do obozu królewskiego zaczęli ściągać Kozacy, gdy zebrało się ich do 20.000, radził, aby oblężenie zostawić wojsku zaporoskiemu, a z wyborem rycerstwa polskiego podążać ku Moskwie. Ale otoczenie królewskie innego było zdania. Jan Potocki

nazywał Smoleńsk kurnikiem, obiecywał szybkie jego zdobycie, a król przychylał się do tej opinji i niechętnie słuchał uporczywych nalegań hetmana.

Myślano o fortelach, a dnia 12 października nocnem podejściem postanowiono opanować fortecę.

Dzieła tego podjął się słynący z męstwa kawaler maltański, Nowodworski. Stanąwszy na czele niewielkiego oddziału piechoty, miał on zbliżyć się w nocy do murów, podłożyć petardy pod dwie bramy zamkowe, wysadzić je w powietrze i wtargnąć do wnętrza twierdzy. Kilkunastu trębaczy, jeśliby się przedsięwzięcie powiodło, hukiem trąb miało zaalarmować stojące w pogotowiu oddziały wojska. Jakoż śród nocnej ciszy Nowodworski podpełzł pod mury i, niezauważony przez nikogo, podłożył pod bramy petardy i spowodował wybuch. Obie bramy z wielkim hukiem wyleciały w powietrze. Dzielny rycerz wpadł na czele kilkudziesięciu śmiałków do wnętrza i z taką furją zaatakował załogę, że przerażeni Moskale rzucili się do ucieczki. Okropny popłoch wszczął się w twierdzy. Ale trębacze, mający dać umówiony sygnał, czy nie zdawali sobie sprawy z tego, co się stało, czy też sygnału ich nie było słychać, dość, że wojsko stojące w odwodzie nie pośpieszyło z pomocą. Nowodworski walczył czas jakiś z szaloną odwagą, ale gdy pomoc nie przybywała, a Moskale spostrzegli się, z jak małą garstką mają do czynienia, nabrali ducha i z łatwością wyparli oddział straceńców.

Nie udał się podstęp. Lecz zausznicy króla nie przestawali go łudzić, że Smoleńsk wkrótce zdobędą. Wojsko przystąpiło do podkopów, które miały w szybkim czasie osiągnąć cel zamierzony. Ale czas płynął,

oblężenie się przeciągało, a Smoleńsk trwał niezdobyty i nic nie zapowiadało jego upadku.

Król zaczął żałować, że nie usłuchał rady Żółkiewskiego, a żałował tembardziej, że pułki polskie, trzymające stronę samozwańca, zaczęły się burzyć i wygrażać Zygmuntowi. Największe wrzenie ogarnęło wojsko, obozujące pod rozkazami księcia Różyńskiego pod Tuszynem, gdzie się sam Dymitr znajdował. W wyprawie króla widziało awanturnicze rycerstwo zniszczenie swych planów, wydarcie nagród, które obiecywał oszust, gdy tylko tron carski zdobędzie. Pułki Różyńskiego utworzyły konfederację, która poprzysięgła nie odstępować Dymitra, a do Zygmunta wysłała poselstwo z zapowiedzią, że jeżeli odważy się pozbawić rycerstwo spodziewanych zasług, to ono wyrzeknie się króla, a nawet ojczyzny.

W obozie pod Smoleńskiem surowo zgromieni zostali posłowie, ale widoki przeciągnięcia na stronę królewską polskich sprzymierzeńców oszusta, coraz mniej były prawdopodobne. Później przybyli posłowie od wojska Jana Piotra Sapiehy, który przestrzegał Zygmunta przed niebezpieczeństwem i radził mu, aby dla ułagodzenia umysłów co prędzej wysłał posłów do traktowania ze wzburzonem rycerstwem.

Król usłuchał tej rady i wysłał poselstwo, które nie poprzestało na łagodzeniu umysłów polskich, ale nadto znamienitszych Moskali, stojących z nienawiści ku Szujskiemu po stronie samozwańca, zdołało zjednać dla widoków króla.

Poselstwo królewskie zadało poważny cios sprawie samozwańca.

Panowie polscy nieraz jawnie okazywali swą wzgardę oszustowi. Trzymali się go w nadziei wielkich ko-

rzyści materjalnych, nie wątpili bowiem, że osadzą go na tronie carskim, ale w głębi duszy żywili dla swego protektora pogardę i odrazę. Widział to oszust i rozumiał, że na sprzymierzeńców swoich nie bardzo może liczyć. Gdy więc pod wpływem posłów królewskich umysły wojska zaczęły się odwracać od niego i skłaniać ku królowi, gdy nadto zwycięski Skopin Szujski coraz poważniej zagrażał jego obozowi, przerażony samozwaniec, zebrawszy garstkę wiernych towarzyszy, opuścił tajemnie obóz i, nie uprzedzając nawet pozostałej w obozie żony, uciekł do Kaługi.

Ucieczka ta wywołała nowe śród wojska polskiego wzburzenie, a Moskali, pozostałych w obozie, w najwyższym stopniu zraziła do Dymitra. Wybitniejsi bojarowie, straciwszy oparcie w Dymitrze, a zagrożeni zemstą cara Wasyla, odbyli ze sobą naradę i postanowili zawichrzone carstwo oddać pod opiekę Zygmunta. W tym celu wyprawili do króla poselstwo z 42 najprzedniejszych bojarów i dostojników z sędziwym Michałem Sołtykowem na czele.

Posłowie, uroczyście przez króla przyjęci, oddawali państwo moskiewskie pod jego opiekę, a koronę carską ofiarowywali królewiczowi Władysławowi. Ale król, ukrywający do czasu swe istotne zamiary, dał odpowiedź wymijającą. Chwiejny i niezdecydowany w działaniu, nie umiał wyzyskać sprzyjających okoliczności. Postępowaniem swojem obudził podejrzliwość Moskali, a nadto i teraz jeszcze nie zdołał przeciągnąć na swą stronę pułków, które opuścił samozwaniec, a które, daremnie oczekując żołdu i obiecanych przeciw Skopinowi posiłków, znowu zaczęły się burzyć i wygrażać królowi. Skorzystała z tego Maryna i rozwinęła energiczną działalność, usilnie na-

kłaniając rycerstwo, by nie ufało Zygmuntowi, lecz udało się do Kaługi i tam połączyło się z jej mężem, który potrafi wynagrodzić wierność. Wznieciwszy wielki zamęt, Maryna za przykładem męża opuściła w głuchą noc obóz i uciekła do Kaługi.

W obozie jeszcze większe powstało zamieszanie. Wkrótce po ucieczce Maryny zerwał się Sapieha i, wysadziwszy w powietrze okopy i baszty, pociągnął ze swemi pułkami pod rozkazy samozwańca. Za przykładem Sapiehy poszła większość wojska, a tylko niektóre pułki oświadczyły się za służbą u króla, wszakże pod warunkiem, że zaległy żołd niezwłocznie będzie im wypłacony. Nagła śmierć księcia Różyńskiego, który osłaniał Smoleńsk przed wojskami Wasyla, obsadziwszy wojskiem ważne strategicznie warownie, pogorszyła znacznie położenie króla.

Smoleńsk trwał niezdobyty, a jego obrońca, Szehin, ani myślał słuchać wezwań do poddania twierdzy. Nadomiar nieszczęścia Skopin Szujski, korzystając z chaosu i zamieszania, poodbierał liczne zamki, obsadzone przez Polaków, i otworzył sobie drogę do Smoleńska. Wprawdzie car Wasyl, którego niepokoiła sława młodziutkiego Skopina, zgładził go podstępnie ze świata, ale wypadek ten nie miał wpłynąć na losy oblężenia. Władzę nad ogromnem wojskiem moskiewskiem objął z polecenia Wasyla, jego brat Dymitr Szujski, a otrzymał rozkaz wyzwolić Smoleńsk i rozgromić oblegających go Polaków.

Niebezpieczeństwo rosło i zbliżało się olbrzymiemi krokami.

Znakomity wojownik, Aleksander Gosiewski i Aleksander Zborowski, który opuścił samozwańca, donieśli

królowi, że nie są w stanie powstrzymać wielkiej potęgi moskiewskiej. Obaj domagali się posiłków.

Trwoga padła na króla.

Zygmunt rozumiał ogrom niebezpieczeństwa i postanowił nareszcie przedsięwziąć środki ratunku. Więc zwrócił się do Jana Potockiego i zażądał od niego, aby, wziąwszy ze sobą część wojska, oblegającego Smoleńsk, wyruszył przeciw Dymitrowi. Wyprawa była wielce ryzykowna, a biegły wojownik, jakim był Potocki, jasno widział wszystkie niebezpieczeństwa. Więc nie chciał narażać się na niepowodzenie, a wolał być przy królu i z tego jeszcze powodu, iż obawiał się, że w razie jego nieobecności Żółkiewski odzyska przewagę i nieograniczony wpływ na chwiejnego Zygmunta wywierać zacznie. Żmija zawiści zasyczała w duszy magnata. Więc zaczął targować się o liczbę wojska, z którem miał iść przeciw Dymitrowi, o wynagrodzenie dla siebie i dla swoich ludzi, namyślał się, zwlekał z odpowiedzią, aby wkońcu odpowiedzieć odmownie.

Wtedy Zygmunt z tą samą propozycją zwrócił się do Zółkiewskiego.

Hetman, jak zwykle posłuszny żądaniom króla, nie stawiał żadnych warunków i acz na wyprawę przeciw potężnemu wrogowi przeznaczył mu król siły znacznie mniejsze, niż te, które oddawał Potockiemu, przystąpił natychmiast do przygotowań i czwartego dnia wyruszył z obozu.

Przeciw kilkudziesięciu tysiącom Moskali wiódł ze sobą zaledwie dwa tysiące jazdy i tysiąc piechoty. Z siłą tą mieli połączyć się pułkownicy Kazanowski i Dunikowski, liczył też hetman na pułki Zborowskiego oraz wiernych królowi Kozaków, których spo-

dziewał się po drodze zagarnąć. Garstka to była wobec olbrzymich sił moskiewskich i cudzoziemskich, które car Wasyl zgromadził. Ale ta garstka składała się z najlepszego w Europie żołnierza, a na czele chorągwi stali znakomici wojownicy, jak Stanisław Koniecpolski, późniejszy hetman, Mikołaj Struś, Aleksander Bałaban, książę Janusz Korecki, książę Porycki i wielu innych rycerzy, wsławionych głośnemi czynami wojennemi, ludzi dzielnych, doświadczonych, odważnych. A wojsko to prowadził znakomity hetman, steiany już i schorzały starzec, ale wódz przezorny, stanowczy, wytrwały, przywykły do patrzenia w oczy największym niebezpieczeństwom, a w ogniu wojny przejawiający zapał i rzeźkość młodzieńczą.

Nadzieja króla spoczęła na Żółkiewskim.

Od losów jego wyprawy zawisły losy całego przedsięwzięcia i triumf lub klęska Rzeczypospolitej.

Więc w obozie pod Smoleńskiem z największym niepokojem czekano na wieści od hetmana.

VI.

ZWYCIĘSTWO POD KŁUSZYNEM.

A Żółkiewski szedł z małą garstką przeciw olbrzymiej potędze nieprzyjaciół. W Szujsku, gdzie połączyli się z nim pułkownicy i dwa pułki Kozaków, do 3,000 ludzi liczące, dowiedział się hetman, że Dymitr Szujski, znajdujący się z główną armją w Możajsku, wysłał przodem pod Carowo Zajmiszcze 10,000 wojska pod wodzą Wałujewa i księcia Jeleckiego. Wojsko to stanowiło straż przednią, za którą lada chwila miał wyruszyć Dymitr na czele wielkiej siły moskiewskiej i zaciężnych pułków cudzoziemskich, złożonych ze Szwedów, Niemców, Francuzów, Anglików i Hiszpanów.

Żółkiewski postanowił przeszkodzić połączeniu się Wałujewa z Dymitrem. Siły hetmańskie nie odpowiadały wielkości przedsięwzięcia, ale niedaleko Szujska stał Aleksander Zborowski z pułkami polskiemi, co opuściły szalbierza. Wódz cieszył się nadzieją, że pułki te pozyska dla sprawy, ale ludzie Zborowskiego, przyzwyczajeni do swawoli, ani myśleli łączyć się z hetmanem, dopókiby żołd zaległy nie został im wy-

płacony. Rozpoczęto układy, lecz żołnierze Zborowskiego stali nieugięcie przy swoich żądaniach. Hetman nie miał czasu na targi, więc choć zawód był bolesny, a własne siły bardzo nieznaczne, ruszył pod Carowo Zajmiszcze.

Miasto to, wzniesione przez Borysa Godunowa, położone było nad rzeką, a zewsząd okalały je błota. Do miasteczka prowadziła grobla, usypana wspaniale, a tak szeroka, że sto koni w jeden rząd mogło nią postępować. Wałujew już zdążył się ufortyfikować, a miał się na baczności. Dostrzegłszy wojsko, zstępujące z góry, wysłał na ową groblę 3.000 jazdy i piechoty i rozkazał stawiać opór Polakom. Ale po żwawej utarczce, Moskale pierzchli, a hetman, zbadawszy położenie, rozkazał zatrąbić na odwrót.

Nazajutrz Wałujew kazał zerwać most przy upuście grobli, a spodziewając się, że Polacy, jak dnia poprzedniego, śmiało tą samą drogą następować będą, uczynił nocą zasadzkę i w haszczach, do grobli przylegających, ukrył kilkuset strzelców. Hetman, przeczuwając niebezpieczeństwo, wzbronił swoim wstępu na groblę, a otaczające ją zarośla, bacznie obserwował. Moskale, znużeni długą bezczynnością, jęli zdradzać swą obecność.

Teraz na podstęp podstępem odpowiedział Żółkiewski.

Oto korzystając z tego, że z jednej strony grobli woda w stawie była spuszczona, rozkazał piechocie i spieszonym Kozakom posunąć się naprzód ku Moskalom, a jednocześnie drugi oddział wysłał zaroślami wprost na zasadzkę. Gdy oba oddziały zbliżyły się na strzał do nieprzyjaciela, natychmiast rozpoczęła się bitwa. Ci, co szli wzdłuż grobli, wskoczyli nagle na

nią, a piechota posuwająca się zaroślami, dała niespodziewanie ognia. Napad był tak szybki, że nie oczekujący go Moskale, rzucili się do ucieczki, a Polacy, siekąc i rąbiąc, gnali nieprzyjaciół aż do samej rzeki. Gdy uciekający rzucili się w wodę, zapał bojowy poniósł i goniących. W ten sposób Polacy niebacznie przekroczyli rzekę i zbliżyli się do fortyfikacyj moskiewskich. Oddziały polskie, oderwane od swoich, postanowił znieść Wałujew, nimby zdążyła nadejść im pomoc. Więc szybko oceniwszy sytuację, wysłał na plac boju blisko trzy tysiące ludzi, a w tem z tysiąc jazdy. Przyszło do nowej walki. Położenie zmieniło się na korzyść Moskali, bo most był zerwany, a jazda polska, dla której jedynie droga przez groblę była przystępna, nie mogła się dostać na drugą stronę rzeki. Ale Żółkiewski, widząc niebezpieczeństwo, rozkazał natychmiast most nowy przerzucić. Rozkaz spełniono z nadzwyczajną szybkością. Na pole bitwy runęła jazda polska. Na sam jej widok Moskale z największym pośpiechem zaczęli ustępować, rozpierzchając się na prawo i lewo, bądź szukając schronienia we własnych fortyfikacjach. Piechota polska została uratowana, a Moskale stanowczą ponieśli porażkę.

„Żółkiewski, — powiada historyk rosyjski Kostomarow, — odniósł zwycięstwo, które wykazało jego talent wojenny. Dzięki bystrym rozkazom nietylko uniknął zasadzki, ale to właśnie, co miało zgotować mu porażkę, obrócił na szkodę swego nieprzyjaciela".

Wieść o odniesionem nad Moskalami zwycięstwie oddziałała na pułki Zborowskiego, które zaczęły żałować, że nie wzięły udziału w bitwie i odmówiły pomocy swej Żółkiewskiemu. Teraz te same pułki

z własnej ochoty zaofiarowały swe służby i oddały się pod rozkazy zwycięskiego hetmana.

Nazajutrz, zebrawszy wszystkie siły, Żółkiewski przeszedł most i zajął silną pozycję na wielkim szlaku od Możajska, skąd Wałujew spodziewał się odsieczy. Starszyzna radziła, aby szturmen zdobyć fortyfikacje, ale oparł się temu Żółkiewski. Wiedział on, że Moskale dzielnie bronią się za wałami, a posiadają bardzo mało żywności. W takich warunkach uznał za rzecz stosowniejszą otoczyć zewsząd gródek moskiewski fortyfikacjami i zająć wszystkie przejścia, aby utrudnić obleżonym komunikację ze światem. Rozpoczęło się oblężenie. Moskale po kilkanaście razy dziennie czynili wycieczki, ale piechota polska miała się na baczności i udaremniała wszystkie wysiłki Wałujewa.

Wtem Żółkiewski otrzymał wiadomość, że Dymitr Szujski ruszył się z Możajska i na czele 50,000 ludzi idzie oblężonym z odsieczą. Położenie hetmana stawało się nad wyraz trudne. Odwrót, jak powiada sam, byłby nietylko nieuczciwy, ale i niebezpieczny. Trzeba było powziąć szybko jakąś stanowczą decyzję, ale wobec szczupłych sił polskich decyzja nie była zadaniem łatwem. A tu wiadomość o nadciąganiu Dymitra rozeszła się po pułkach i wzbudziła najżywszy niepokój. Przeciw hetmanowi podniosło się w wojsku szemranie. Powiadali żołnierze, że świat chyba obmierzł wodzowi, skoro i siebie i całe rycerstwo najwidoczniej chce zgubić.

Samuel Maskiewicz, który opisał całą wyprawę, a służył w chorągwi księcia Poryckiego, wspomina o wielkiem poruszeniu, które na wieść o nadciąganiu Szujskiego zapanowało w wojsku. Z tyłu Carowo

Zajmiszcze, z przodu potężny nieprzyjaciel i gęste bory, uniemożliwiające użycie jazdy, w której jak zawsze największe pokładano nadzieje.

„Widziało się to na oko, — powiada Maskiewicz, — że uprosić się trudno, uchodzić ani myśleć, jeno w samym Panu Bogu była nadzieja zwycięstwa”.

Inny z uczestników wyprawy, Mikołaj Marchocki, zgodnie z Maskiewiczem powiada:

„Czekać ich było niebezpieczno... Odejść też niebezpieczno”...

Nie rozpaczał przecież Żółkiewski.

Dzięki wywiadowcom swoim miał on szczegółowe dane o nieprzyjacielu, a podjazd, wysłany na zwiady, pochwycił kilku maruderów i przywiózł do obozu ważne wiadomości o siłach i zamiarach wroga, a także o niesnaskach w wojsku cudzoziemskiem, któremu Moskale nie wypłacili zaległego żołdu. Nie zaniedbując nic, coby wroga mogło osłabić, Żółkiewski uczynił próbę, by przynajmniej najemnych Francuzów odciągnąć od Moskali. W tym celu wysłał do nich list treści następującej:

„Między narodami naszemi nigdy nie było nieprzyjaźni. Królowie nasi zawsze byli, a i teraz są sobie wzajemnie przyjaciółmi. Gdy zaś przez nas w niczem nie zostaliście pokrzywdzeni, niesłusznem jest, iż dziedzicznym naszym wrogom, Moskalom, przeciw nam pomagacie. Co do nas, my na obie strony gotowi jesteśmy: rozważcie tedy, czy chcecie mieć w nas przyjaciół, czy wrogów. Bądźcie zdrowi”...

Zbiegły do obozu Francuz podjął się list zawieźć. Tymczasem w drodze nieprzyjaciele pochwycili gońca i jako szpiega powiesili na gałęzi. Lecz treść listu doszła do wiadomości Francuzów i niejednemu z nich

trafiła do przekonania. Ziarno, rzucone przez Żółkiewskiego, zaczęło kiełkować.

A do obozu polskiego ciągle przychodziły wieści o zbliżaniu się nieprzyjaciół. Hetman powziął plan śmiały, ale trzymał go w tajemnicy. Dopiero w przededniu stanowczego kroku zwołał radę wojenną. Gdy zebrali się pułkownicy, oznajmił im, że Dymitr z całą potęgą, znajduje się pod Kłuszynem, odległym zaledwie o cztery mile od Zajmiszcza. Wobec tego postawił pytanie, czy nie byłoby najstosowniej pozostawić część wojska na straży Wałujewa, a z resztą ruszyć przeciw Szujskiemu i wydać mu walną bitwę. Niewielu ze starszyzny wypowiadało się za tym projektem. Zwracano uwagę hetmanowi, że rozdzielenie bardzo szczupłych sił polskich może spowodować ich pogrom, że Wałujew, spostrzegłszy, jak niewielka załoga pozostała na jego straży, gotów jest uderzyć na nią przemagającemi siłami i stanowczą klęskę zadać Polakom. Wyprawa przeciw Dymitrowi również nastręczała największe niebezpieczeństwa. „Były różne sentencje”, powiada Żółkiewski, a nie brak było i głosów, które się opowiadały za planem hetmana. Żółkiewski uważnie słuchał wypowiadanych opinij, ale sam nie objawiał ostatecznego zdania. Rozkazał tylko, by wszystkie pułki gotowe były do pochodu. Do ostatniej chwili nie wyjawiał swego zamiaru, w obawie, by jaki szpieg nie zawiadomił o tajemnicy Szujskiego lub Wałujewa. Dopiero przed samym zmrokiem oddał komendę nad obleżeniem rotmistrzowi Bobowskiemu, pozostawiając mu 700 jazdy, piechotę królewską i dwa pułki Kozaków. Reszcie wojska, wynoszącej niespełna 7,000 ludzi, dał rozkaz do wymarszu. Cicho, bez bicia w bębny, by nie budzić czujności nieprzyjaciela, wy-

ruszyło rycerstwo z obozu. Żołnierz, stosownie do rozkazu, zaopatrzył się w żywność na dwa dni. Pojazdów i wozów nie pozwolił hetman ze sobą zabierać, a cały pociąg stanowiły dwa małe działka, falkonetami podówczas nazywane i karetka hetmańska.

Całą noc szło rycerstwo, nie odpoczywając, choć droga była ciężka i prowadziła przez dzikie haszcze i ostępy leśne. Piechota nie mogąc w marszu dotrzymać kroku jeździe, pozostała w tyle. Falkonety ugrzęzły w błotach, a wiele trzeba było zachodu, aby je wyciągnąć i prowadzić dalej. Lecz hetman śpieszył się, bo od szybkości wiele zależało. Pozostawił więc za sobą piechotę i działa, a z samą jazdą i 400 konnymi Kozakami ruszył naprzód.

O świtaniu, w pamiętnym na wieki dniu 4 Lipca 1610 roku rycerstwo polskie zbliżyło się do Kłuszyna.

Stało pod Kłuszynem 40.000 wojska carskiego, tysiące uzbrojonych chłopów i 8.000 zaciężnego żołnierza cudzoziemskiego, który wyćwiczył się na licznych polach bitew, a przywykł do boju i zwycięstw.

Garstka polskiego rycerstwa miała przed sobą olbrzymie zadanie. Od wyniku bitwy zależały losy Smoleńska i powodzenie polskiej przeciw Moskwie wyprawy, przewaga Rzeczypospolitej nad dziedzicznym wrogiem lub triumf cara i upokorzenie Polski.

Dobrze to wszystko rozumiał Żółkiewski, lecz nie wahał się i nie przypuszczał do siebie zwątpienia.

Ufny w dobrą sprawę i w dzielność polskiego ramienia, zaczął przygotowywać swe hufce do bitwy.

Gdy jazda polska wyłoniła się z lasów, w obozie nieprzyjacielskim głęboka panowała cisza. Cała armja pogrążona była we śnie. Nikomu z wrogów do głowy nie przyszło, by Polacy, mając przeciw sobie Wału-

jewa, mogli rozdzielić swe siły i sami szukać bitwy z potężnem wojskiem Dymitra. Sam Dymitr i wodzowie cudzoziemscy tak byli pewni siebie, tak mocno byli przekonani, że rozgromią Żółkiewskiego, iż jedyną ich troską była obawa, by hetman na wieść o grożącem mu niebezpieczeństwie nie uszedł z pod Zajmiszcza i nie uchylił się od przyjęcia bitwy. Poprzedniego dnia wieczorem, Pontus de la Gardie, będąc na uczcie u Dymitra, drwił sobie z Żółkiewskiego i widział go już u siebie w niewoli. Opowiadał, jak to w swoim czasie, gdy wojna toczyła się w Inflantach, a on po nieszczęśliwej bitwie dostał się w ręce Polaków, Żółkiewski, traktując go po rycersku, ofiarował mu szubę ze wspaniałych rysi.

— Mam ja też teraz dla niego sobola, — mówił wojownik szwedzki do Dymitra, tusząc sobie, że weźmie hetmana do niewoli i wywdzięczy się mu pięknym podarunkiem.

Wobec takiej ufności w swe siły, nieprzyjaciel spał spokojnie, nie myśląc nawet o rozstawieniu straży, któreby mogły w porę ostrzec o niebezpieczeństwie. To też mógł hetman na śpiących uderzyć. Jednakże wobec potęgi, którą miał przed sobą, postanowił czekać na przybycie posiłków, a tymczasem bacznie rozpatrywał stanowiska nieprzyjaciół. Pozycja, acz nie dla bitwy wybrana, była dla wroga bardzo korzystna. Z tyłu ciągnęły się lasy, z przodu rozległe pola, gęsto przegrodzone drewnianemi płotami, a w środku pola dwie wioski, z których piechota nieprzyjacielska mogła razić idących do ataku Polaków.

Dzień świtał, piechota i działa nie nadchodziły, a nieprzyjaciel lada chwila mógł spostrzec jazdę polską. Hetman zdecydował się nie czekać dłużej

i bitwę rozpocząć, nim ocknie się nieprzyjaciel. Jakoż z pośpiechem sprawił swe szyki. Na prawem skrzydle stanęła jazda Zborowskiego. Kazanowski i Dunikowski uszykowali się z pułkami swemi w odwodzie. Lewem skrzydłem dowodził starosta chmielnicki, Mikołaj Struś, a pułk hetmański pod wodzą księcia Janusza Koreckiego stanowił hufiec posiłkowy. Sam Żółkiewski z resztą jazdy zajął pozycję w środku, ale dawał pilne baczenie na wszystko. „Tam i sam, — powiada o sobie, — pan hetman pilnował"...

Gdy zaś wojsko stanęło w ordynku bojowym, Żółkiewski zaczął objeżdżać szeregi, podnosić w nich ducha i gorącemi słowami zagrzewać do boju.

„Potrzeba w miejscu, nadzieja w męstwie, ratunek w zwycięstwie!" — oto co było treścią tych przemówień. A gdy skończył przegląd chorągwi, rozkazał podpalić obie wioski i owe płoty, ciągnące się przez pola, a następnie uderzyć w bębny i zagrać na trąbach pobudkę bojową.

Buchnęły płomienie i czarny dym uniósł się w górę, zahuczały bębny i kotły, wrzaskliwe głosy trąb rozległy się w przestworzach.

W jednej chwili cały obóz nieprzyjacielski zerwał się na równe nogi, zakotłowało się w polu, wszczął się gwar i szum, jakby ktoś ulem olbrzymim potrząsnął. Nieoczekiwany widok gotowej do ataku jazdy polskiej wznieca gwałt i trwogę w obozie. Rozlegają się głosy komendy i olbrzymie wojsko w największym popłochu, bez zachowania należytego porządku, staje do sprawy. Na prawem skrzydle formują się pułki cudzoziemskie, skrzydło lewe i środek zajmują Moskale.

A żołnierz polski, patrząc na owo wzburzone morze ludzkie, zaczyna uświadamiać sobie ogrom niebezpieczeństwa.

„Ćma niezliczona, aże strach było spojrzeć!" — powiada uczestnik wyprawy, Maskiewicz.

Nie była to przecież pora na rozpamiętywania. Hetman daje znak do bitwy i Adam Zborowski rusza ze swą jazdą w sam środek wojsk moskiewskich. Rozstępuje się gęstwa nieprzyjaciół i jeźdźcy polscy giną w owej „ćmie niezliczonej", jak strzały w gąszczu leśnym. Mkną na wsparcie nowe chorągwie, szumią groźnie skrzydła husarzy, pochylają się kopje i nowe zastępy żelaznych rycerzy wpadają w skłębioną ciżbę ludzką, tratują ją, jak łan dojrzałego zboża i pędząc niewstrzymane, nikną z przed oczu pozostałych pułków.

Żółkiewski, patrzący ze wzgórza na nierówne zapasy, unosi się wielkością niebezpieczeństwa. Wyprawiając do boju nowe chorągwie, zagrzewa ich męstwo, wystawia im sławę wiekopomną, jaką zdobyć mogą w tej bitwie i wskazując nieprzyjaciół, rzuca swych żołnierzy w wir walki, jak pociski śmierci. Ale szczupłe siły polskie, wpadłszy na plac boju giną w oczach hetmana. W ciemnych kłębach kurzawy i dymów gdzieniegdzie tylko widzialna jest chorągiew polska. Już zdawać się mogło, że walczące rycerstwo pochłoną wzburzone fale nieprzyjaciół, że pole pod Kłuszynem stanie się wkrótce straszliwym cmentarzem, na którym spoczną wojownicy polscy wraz ze swoim wodzem.

Maskiewicz powiada, że hetman „zwątpił już o sobie i o wszystkich nas i jako drugi Jozue ręce do góry trzymając, po wszystek czas o zwycięstwo prosił"...

Ale nie zawiodło wodza męstwo jazdy polskiej. Walczące chorągwie, przerżnąwszy się przez ciżbę

nieprzyjaciół, sprawiają swe szyki i znowu jak huragan rzucają się na zastępy moskiewskie. Niewstrzymane w swoim zapędzie, przerąbują sobie drogę powrotną i oto z rozkołysanego walką odmętu wysuwają się przed oczy hetmana niezwalczeni jeźdźcy polscy, najpierw pojedyńczo, potem po kilku, po kilkunastu, aż staje cała chorągiew, formuje się w otwartem polu i znowu rusza do ataku. W krwawej pracy łamią się husarzom ich straszliwe kopje, więc grają już tylko szable i koncerze, lecz rozmach polskiego ramienia nie przestaje święcić triumfów. Coraz większe tumany kurzu, ognia i dymów, coraz większa wrzawa rozlega się na polu bitwy i coraz więcej trupów moskiewskich miażdżą kopyta rozhukanych koni. Ogrom zadania potraja siły Polaków. Niektóre chorągwie po osiem, inne po dziesięć razy rzucają się w odmęt bitwy i najokropniejsze czynią spustoszenia. Nigdzie na opór nie mogą się zdobyć Moskale. Rusza im na pomoc rajtarja szwedzka, ale i ta, nie mogąc wytrzymać impetu Polaków, ustępuje, jak niepyszna z pola. Przerażenie ogarnia tratowane wojsko. Moskale, ogarnięci panicznym strachem, łamią swe szyki i w największym nieładzie rozpierzchają się na wszystkie strony.

„Straciwszy serce, Moskwa, — powiada Maskiewicz, — pierzchać zaczęła i w nogach ratunku i ochrony zdrowia swego szukać"...

Ale prawe skrzydło nieprzyjacielskie, złożone z zaciężnych hufców cudzoziemskich, a osłonione płotami, których ogień nie ogarnął, trzymało się sprawnie. Wprawdzie w tych płotach były duże przerwy, ale w tych właśnie przerwach stała piechota niemiecka i celnym ogniem muszkietów odpierała przypuszczane ataki jazdy.

Na szczęście nadeszła na plac boju piechota hetmańska i owe falkonety, co ugrzęzły w błocie.

Ucieszył się na ten widok Żółkiewski, natychmiast rozkazał nabić działa i skierować je przeciw piechurom niemieckim. Huknęły działa, zagrzechotały rusznice polskie, poczem piechota hetmańska żwawo ruszyła ku owym płotom, by wyprzeć nieprzyjaciół. Na ten widok Niemcy, nie czekając natarcia, opuścili swoje pozycje i co tchu w piersiach a siły w nogach zaczęli rwać do pobliskiego lasu.

Jazda angielska i francuska, posiłkując się wzajemnie, opierała się czas jakiś ciężkim chorągwiom polskim, ale gdy rozbici Moskale nie przybywali z pomocą, a piechota niemiecka uciekła z pola walki, podali tył tak Francuzi, jako i Anglicy. Rycerstwo polskie rzuciło się za uciekającymi i „bijąc, siekąc, pędziło ich przez ich obóz własny"...

Cała armja nieprzyjacielska była w rozsypce. Dymitr Szujski na gwałt fortyfikował leżącą w środku pola wioskę i próbował skupić wkoło siebie Moskali. A na skraju lasu stało w ordynku bojowym zaledwie 3,000 cudzoziemców, reszta nieprzyjacielskiego wojska, nie biorąca dotąd w bitwie udziału.

„Pan hetman,— mówi o sobie Żółkiewski — jął rozmyślać, jakoby ich z tego fortelu ruszyć", a żołnierze hetmańscy, miarkując, że tej resztce niesporo już do boju, zaczęli zbliżać się do nich i machać przyjaźnie rękoma.

Dwóch Niemców śmielszej natury przeszło do Polaków, za nimi kopnęło się sześciu, a potem już całą kupą zaczęli walić Niemcy ku szeregom polskim.

„Nasi niektórzy, — opowiada Marchocki, — nic nie czynili, tylko podjeżdżali pod pułki niemieckie a wabili ich:

— Kum! kum!

Na ostatku dali znać, że chcą wszyscy traktować”.

Wysłał zaraz hetman bratanka swego, Adama, z panem Piotrem Borkowskim dla rozpoczęcia z cudzoziemcami układów.

Pontusowi de la Gardie kazał Żółkiewski przypomnieć, że w swoim czasie przysięgał nie walczyć już nigdy z królem polskim. Obiecywał mu przecież odpuścić tę zbrodnię i zyskać przebaczenie, jeśli się zda na łaskę królewską. Zaczęto się targować o warunki, a tymczasem Pontus posłał do Szujskiego wiadomość, że za wojsko swoje ręczyć już nie może, niechże więc Dymitr sam sobie radzi. Przerażony wódz dopadł konia i w ucieczce szukał ratunku. Za nim, jak stado spłoszonych owiec popędzili Moskale. Dopiero krzyk się podniósł w szeregach polskich, że już reszta Moskwy ucieka na złamanie karku. Na ten alarm nieznużona jazda polska puściła się za uciekającymi i trzy mile pędziła ich przed sobą.

„W pogoni, — donosił później Żółkiewski królowi, — jak to zwykło bywać, najwięcej ich poginęło”... „Kniaź Dymitr — mówi w innem miejscu — choć niewielu za nim goniło, uciekał potężnie”. Po drodze w błotach padł mu koń. Nieszczęsny wódz moskiewski, boso, na lichej chłopskiej szkapinie dotarł do Możajska i zapukał do wrót miejscowego monastyru. Otrzymawszy od mnichów konia i obuwie, puścił się zaraz w drogę do Moskwy. Przed wyjazdem przyznał się mieszkańcom Możajska do poniesionej pod Kłuszynem klęski i radził im, aby prosili o miłosier-

dzie strasznego hetmana, gdyż o walce z nim nawet marzyć niepodobna.

A tymczasem pełnomocnicy Żółkiewskiego uczynili układ z wojskiem cudzoziemskiem. Pontus nie przyjął łaski królewskiej i umknął niepostrzeżenie, ale wojsko układało się nadal. Stanęło ostatecznie na tem, że każdy cudzoziemiec będzie mógł swobodnie przez kraje polskie udać się do domu, kto zaś chce, może przejść na żołd polski. Jakoż blisko 3.000 żołnierzy cudzoziemskich stanęło zaraz pod rozkazami hetmana, a reszta, darowana zdrowiem, rozpoczęła pochód do ojczyzny przez gościnne ziemie Rzeczypospolitej.

W ręce polskie dostała się zdobycz olbrzymia: jedenaście dział, kilkadziesiąt chorągwi, a śród nich adamaszkowy, złotem naszywany proporzec Dymitra, jego buława, hełm szabla i pojazd. Mnóstwo łupów, wozów i bogactw wszelkiego rodzaju dostało się zwycięscom. Moskali paść miało w tej bitwie 12,000 — z cudzoziemskiego wojska tysiąc, a straty Polaków, wynosić miały zaledwie stu towarzyszów i kilkuset pachołków.

Tak skończyła się ta wiekopomna w dziejach polskich bitwa.

Wielka sława opromieniła wszystkich, co brali w niej udział, przedewszystkiem zaś wodza, który, ufny w męstwo swych żołnierzy i własny genjusz wojenny, ważył się na wielkie a niesłychanie trudne przedsięwzięcie. W liście, pisanym do króla nazajutrz po bitwie, słusznie podnosił Żółkiewski, że do zwycięstwa przyczyniła się ogromnie trwoga nieprzyjaciela, który lekceważył szczupłe siły Polaków i na jedną chwilę nie przypuszczał, żeby wódz polski

z garstką wojska odważył się oblegać Wałujewa, a zarazem miał odwagę uderzyć jednocześnie na potężną liczebnie armję Dymitra. Uczynił to przecież Żółkiewski, a szybkim pochodem i mądrem kierownictwem na placu boju wzbudził trwogę nieprzyjaciół i straszliwą zadał im klęskę.

Radośnie święciło rycerstwo swój niesłychany triumf. Lecz po przesłuchaniu mszy polowej i odśpiewaniu hymnu *Te Deum laudamus*, ruszyło zaraz w powrotną drogę, bo hetman, nie bacząc na znużenie ludzi i koni, nie pozwolił nawet nikomu na posiłek, lecz co prędzej wiódł swe zwycięskie pułki pod Carowo Zajmiszcze, niespokojny, by nie spostrzegł się Wałujew i nie uderzył wszystkiemi siłami na nieznaczną załogę polską. Jedynie rannymi zajął się hetman z wielką troskliwością, umieścił kilku towarzyszy we własnej karecie, innych na zdobytych wozach, innych jeszcze kazał ułożyć na noszach między końmi i zaraz ruszył pod Zajmiszcze.

Tegoż dnia o zachodzie słońca zwycięskie hufce polskie stanęły w opuszczonym poprzedniego wieczoru obozie. Szalona radość opanowała strzegące Wałujewa pułki, gdy dowiedziały się o świetnem zwycięstwie, o powiększeniu wojska hetmańskiego o 3,000 wybornej piechoty cudzoziemskiej, gdy ujrzało niezliczone wozy, łupy, chorągwie oraz licznych jeńców.

Wałujew, nie wierząc w zwycięstwo hetmana, usiłował bronić się dalej. Dopiero widok chorągwi i jeńców przekonał Moskali.

„Natychmiast ich serce upadło", — powiada Maskiewicz.

Rozpoczęto układy.

Żółkiewski domagał się, aby Wałujew z całem swem wojskiem złożył przysięgę na wierność królewiczowi Władysławowi, jako carowi moskiewskiemu, ze swej strony Wałujew żądał, aby hetman porozumiał się najpierw ze stolicą. Nie zgodził się na to Żółkiewski, twierdząc, że właśnie łatwiej porozumie się z Moskwą, gdy przedtem Wałujew złoży żądaną przysięgę.

Dali się wreszcie przekonać Moskale i przysięgli na wierność nowemu swemu carowi Władysławowi.

Wzamian i Żółkiewski złożył przysięgę za siebie i za swych ludzi, jako że nie będą uciskali wiary greckiej, ani burzyli cerkwi, a car Władysław rządzić będzie Moskwą, jako dawni carowie. Obiecał nadto hetman, że wystąpi do walki z samozwańcem, a dodawał, iż gdy Bóg da, że Smoleńsk uderzy czołem przed Zygmuntem, król odstąpi od miasta z wojskiem, a miasta pograniczne zostaną nadal przy hospodarstwie moskiewskiem.

Wieść o zwycięstwie pod Kłuszynem szeroko rozbrzmiała po ziemi moskiewskiej, a poddanie się Wałujewa z całą jego załogą przekonało ostatecznie wierne jeszcze Wasylowi załogi okolicznych zamków, że hetmanowi polskiemu nie zdzierżą. Strach padł na ziemię moskiewską. Zaraz też mieszkańcy Możajska w imieniu swojem oraz pobliskich obronnych zamków wysłali do Żółkiewskiego poselstwo i oddali się jego opiece.

Zwycięski hetman rósł w siły i powagę. Nie upajał się przecież powodzeniem, lecz o nowem pomyślał przedsięwzięciu. Żółkiewski doskonale rozumiał, jak wielką wartość moralną mają jego triumfy, których odgłosy, jak grom za gromem odbijały się na olbrzymich przestrzeniach o uszy Moskali i usposobiały ich

zgodnie z widokami Polski. Wielki wódz i wielki statysta postanowił kuć gorące żelazo i nowym śmiałym czynem wstrząsnąć posadami carstwa. Nie zwlekając tedy z decyzją, rozkazał wszystkim szykować się do pochodu i wraz z zaciężnem wojskiem cudzoziemskiem, wojskiem moskiewskiem i własnemi hufcami opuścił leże pod Carowem Zajmiszczem. W obozie polskim było siła rannych rycerzy. Tych, nie mogąc pozostawić na miejscu, kazał wieźć na wozach. Wielu z nich nie mogło znieść uciążliwej podróży i marło po drodze w męczarnich. Krajało się na ten widok dobre serce hetmana, ale rycerzy swoich obawiał się oddać pod opiekę ludności miejscowej, której nie ufał, a wielkie jego zamysły nie pozwalały zatrzymywać się w drodze.

A szedł hetman polski w samo serce carstwa: szedł na podbój stolicy carów, na podbój samej Moskwy.

Nie wątpił, że zdobędzie stolicę, a w stolicy koronę carską dla królewicza Władysława.

VII.

W STOLICY CARÓW.

Groźne chmury zawisły nad tronem cara Wasyla. Od potężnych uderzeń kopji husarza polskiego na polach pod Kłuszynem zadrżał ów tron w swoich posadach i zachwiała się na głowie carskiej korona. Zawiódł nadzieję brat carski, Dymitr, straszliwy zawód sprawiło wojsko cudzoziemskie, a na wystawienie nowych zastępów nie miał zrozpaczony Wasyl ni czasu, ni potrzebnych środków.

Stolica była w niebezpieczeństwie.

Samozwaniec na wiadomość o klęsce Moskali pod Kłuszynem, nabrał odwagi i, mając za sobą Jana Piotra Sapiehę, ruszył ku Moskwie, w nadziei, że zwycięstwo Żółkiewskiego wyzyska na swą korzyść. Jednocześnie zbliżał się ku stolicy zwycięski hetman, a stronnicy jego w Moskwie rozrzucali po mieście podburzające przeciw Wasylowi odezwy, w których wszystkie klęski i nieszczęścia, trapiące ludność, składano na barki panującego cara, a całą Moskwę wzywano do poddania się królewiczowi polskiemu.

Olbrzymie miasto, nienawidzące Wasyla, trzymane w posłuszeństwie grozą strasznych kaźni, huczało nie-

zadowoleniem. Po ulicach snuły się tłumy brodatego ludu, hałasowała czerń, zbierali się na tajemne narady nieprzychylni carowi bojarowie. Bunt wisiał w powietrzu i lada chwila jawnie mógł wybuchnąć.

Nieszczęsny car Wasyl widział, co się dzieje, lecz nie wiedział, co począć. Początkowo zamierzał rozpocząć układy z Żółkiewskim, ale wkrótce wyrzekł się tego zamiaru, zrozumiawszy, że tylko zwycięstwo w polu mogłoby powstrzymać pochód wojsk hetmańskich. O tem zwycięstwie nie śmiał nawet marzyć, gdyż miasta, wezwane do przysłania sił zbrojnych, nie usłuchały jego rozkazu, a strzelcy, stojący załogą w stolicy, nie byli już pewni. Ziemia usuwała się z pod nóg okrutnego despoty i zagniewane oczy carskie spoglądały w beznadziejną przepaść.

Tymczasem naradzający się bojarowie doszli do przekonania, że uczynią najlepiej, gdy wejdą w układy z Moskalami, otaczającymi samozwańca, by jednym zamachem uwolnić ginące państwo od Szujskiego i od szalbierza, a następnie za wspólną zgodą wybrać nowego cara. Jakoż wysłano sekretne poselstwo do obozu oszusta.

— „Załatwcie się z Szujskim,— odpowiedziano wysłańcom, — a my natychmiast zwiążemy swego Dymitra i przyprowadzimy do Moskwy”...

Odpowiedź ta dodała bojarom odwagi. Postanowili niezwłocznie zażądać od Wasyla, aby zrzekł się tronu. W myśl tego zebrali się co przedniejsi bojarowie i dużym tłumem udali się do pałacu w Kremlu. A gdy dopuszczeni zostali przed oblicze carskie, wysunął się przed tłum bojar, Zachar Lapunow, człek olbrzymiego wzrostu i niezwykłej siły. Car ponuro spoglądał na swoich poddanych, a Lapunow zawołał:

— „Długoż przez ciebie będzie się lała krew chrześcijańska? Nic dobrego nie dzieje się w twojem państwie”!...

I zaczął wyliczać klęski, które za jego panowania spadły na państwo moskiewskie. Car słuchał z oburzeniem, ale Lapunow ciągnął dalej swą mowę, a gdy wypowiedział wszystko, postąpił krok naprzód i wykrzyknął groźnie:

— Oddaj berło!...

Wasyl zatrząsł się ze zgrozy i porwał się do kindżała, który nosił za pasem. Ale Lapunow podniósł w górę swe pięści, jakby dwa olbrzymie młoty, zagrażające głowie carskiej natychmiastowem zmiażdżeniem. Na ten widok cofnął się wściekły car, miotając przekleństwa, a wzburzeni bojarowie opuścili pałac z niezłomnem postanowieniem złamania oporu Wasyla. Wyszedłszy na miasto, rozkazali uderzyć we wszystkie dzwony cerkiewne, a gdy lud wysypał się na ulice, zapowiedzieli mu, że za wrotami sierpuchowskiemi odbędzie się wielkie zgromadzenie, by radzić o ocaleniu zagrożonego carstwa. Jakoż w oznaczonym terminie ze wszystkich krańców miasta popłynęły na wskazane miejsce gwarne i szumiące fale wzburzonego ludu. Krwawego skąpca Wasyla nienawidzono w stolicy. To też, jak było do przewidzenia, wielkie zgromadzenie, zgodnie z planem bojarów, postanowiło zażądać od Wasyla, aby przestał panować.

Car zrozumiał, że dalszy opór grozi mu śmiercią. Więc gdy nowa deputacja wtargnęła do jego pałacu, nieszczęsny władca, wysłuchawszy żądania, odłożył berło na znak, że poddaje się woli swego ludu. Następnie opuścił pałac w Kremlu i przeniósł się do swej prywatnej siedziby.

Nic teraz nie stało na przeszkodzie, by wybrać nowego cara. Patrjarcha polecał na tron księcia Wasyla Golicyna, bądź młodziutkiego Michała Romanowa, syna metropolity rostowskiego, Filareta. Ostatni kandydat był ciotecznym bratem cara Fiedora.

Spiskowcy moskiewscy stosownie do umowy wysłali posłów do rodaków, otaczających samozwańca, by wspólnie zająć się wyborem nowego cara. Ale ci, śmiejąc się, odpowiedzieli wysłańcom:

— „Źle, że nie dotrzymujecie przysięgi swemu carowi. My za swojego radzibyśmy umrzeć"!

Poruszyła się Moskwa, usłyszawszy taką odpowiedź. Pierwszy samozwaniec, dzięki hojnej ręce, cieszył się śród motłochu stolicy dużemi sympatjami. Ten motłoch wierzył, że to dawny Dymitr zamierza opanować Moskwę i sprzyjał tym zamiarom. Więc sprawcy detronizacji w ciężkiem znaleźli się położeniu. Mieli nadzieję, że upadek Szujskiego pociągnie za sobą, jak im obiecano, upadek Dymitra, a tymczasem spostrzegli się, że ich haniebnie wywiedziono w pole. Zwalili z tronu tyrana, który nie przestał być niebezpiecznym, a jednocześnie ściągnęli na siebie zemstę samozwańca. W takich okolicznościach należało szybko powziąć jakąś stanowczą decyzję, tembardziej, że strącony car, widząc, co się dzieje, zaczął sypać pieniędzmi, porozumiewać się ze swymi stronnikami i czynił próbę, by przekupić strzelców, którzy mogli mu pomóc do ponownego owładnięcia tronem.

Sprawcy przewrotu doszli do przekonania, że zarówno przed nową zawieruchą, jak przed zamachami Dymitra, jedynie królewicz polski może osłonić ich samych i ginące ich państwo. Więc na stronę Władysława zaczęły się przechylać umysły. Jakoż posta-

nowiono rozpocząć układy ze zbliżającym się ku Moskwie hetmanem, wstrzymać jego pochód i osadzić go najdalej od stolicy, by w ten sposób mieć ręce swobodniejsze i lepsze wytargować warunki. Jednocześnie postanowiono skończyć z knującym nowy zamach Wasylem.

Dzieła tego podjął się Lapunow.

Zebrawszy spory tłum dostojników dworskich, bojarów, popów, djaków, wtargnął na ich czele do domu Wasyla i oświadczył mu, że musi zostać mnichem. Przerażony car chciał protestować, ale żelazne ręce przygwoździły go zaraz do krzesła, a zapłaceni popi rozpoczęli obrzęd postrzyżyn. Miotał się car, próbował szarpać się, chciał wstać, uciec, ale trzymano go silnie, a popi czynili swoje. Więc tylko przez cały czas obrzędu ryczał, jak dziki zwierz, a później za nic nie chciał złożyć przepisanych ślubów. I na to znaleziono radę. Oto jeden z bojarów w zastępstwie cara wykonał „dobrowolną” przysięgę, poczem zerwano z nieszczęśnika wspaniałe szaty, siłą obleczono go w mniszy habit, wreszcie wsadzono przemocą do powozu i zawieziono do cudnowskiego monastyru.

Braci carskich, Dymitra i Iwana osadzono pod strażą.

Moskwa wolna była od Szujskich. Władzę w stolicy pochwyciła teraz rada bojarów z księciem Fiedorem Mścisławskim na czele, mężem wielkiej powagi i wielkiego znaczenia, uważanym przez wielu bojarów za najwłaściwszego na tron carski kandydata. Był to człowiek poważny, światły, nie odznaczał się wielką bystrością rozumu i nie posiadał dosyć odwagi, ani dość ambicji, aby w istniejących okolicznościach kusić się o koronę, do której z głębi duszy swej wzdy-

chał. Mścisławski, widząc, że patrjarcha zaleca do tronu innych kandydatów, odzywał się, że nikomu z bojarów nie można oddawać korony, gdyż to wywoła nową zawieruchę. Zdaniem jego, jedynie cudzoziemiec z panującego rodu mógł zasiąść na tronie carskim, a takim cudzoziemcem był właśnie królewicz Władysław. Trzeba tylko, mówił Mścisławski, aby królewicz wyrzekł się religji katolickiej i przyjął wiarę, która jest wiarą ludu moskiewskiego.

Tymczasem Żółkiewski, dowiedziawszy się o wypadkach w Moskwie, napisał list do Mścisławskiego, a w liście swym strąconego cara oraz jego braci polecał troskliwej opiece bojarów. Hetman wiedział, jak łatwo w Moskwie o morderstwo, a nie chciał nie tylko przez ludzkość, ale i przez wyrachowanie, aby tron, na którym miał zasiąść królewicz polski, znowu zbryzgała krew jego poprzednika. Nie przesądzając zresztą, jak się sprawy ułożą, przypuszczał, że i Szujscy, ludzie obrotni i wpływowi mogą się mu jeszcze przydać w walce z innymi do tronu kandydatami.

„Szujscy, — pisał hetman do Mścisławskiego — są bojarami oddawna znacznymi i carom swoim wiernie służyli. Wszelkie hospodarstwa opierają się na bojarach i wojownikach, którzy hospodarom swoim wiernie służą... Znajdujących się w waszym ręku Szujskich powinniście strzec, nie czyniąc żadnych zamachów na ich zdrowie i życie”...

Wkrótce potem Mścisławski otrzymał nowy list, w którym hetman zawiadamiał radę bojarów, że, spełniając wolę króla, idzie do stolicy, by zapobiec rozlewowi krwi i ład zaprowadzić w carstwie. Ale ta zapowiedź nie przypadła do smaku bojarom. Nie dowierzali oni Polakom, obawiali się Żółkiewskiego,

drżeli na myśl, że gotów siłą narzucić Moskwie Władysława. Więc za sprawą patrjarchy Hermogena, który fanatycznie nienawidził katolików, odpisali hetmanowi, że nie potrzebują jego pomocy, wobec czego proszą usilnie, aby nie zbliżał się do Moskwy.

Nie zważał na to Żółkiewski. Dnia 3 sierpnia (1610 r.) wojska jego ukazały się mieszkańcom stolicy od strony Sierpuchowa. Trwoga padła na miasto. Niebawem niepokój wzrósł do najwyższego stopnia, bo właśnie w chwili, gdy hufce hetmańskie zbliżały się do murów, samozwaniec, obozujący z drugiej strony Moskwy, szykował swe wojska do szturmu.

Początkowo i szyki Żółkiewskiego wzięto w Moskwie za wojska Dymitra. Ale omyłka wyjaśniła się szybko. Oto od podchodzących pułków oddzieliła się grupa mężów i ruszyła ku murom. W zbliżających się posłach mieszkańcy stolicy poznali natychmiast dobrze im znane osobistości Sałtykowa, Wałujewa i innych znaczniejszych dostojników. Na spotkanie takiego poselstwa wyruszyli zaraz bojarowie i obie strony zbliżały się ku sobie z wielkiem wzruszèniem i łzami w pałających oczach. Jakoż jedni i drudzy z płaczem rzucili się sobie w objęcia, wspominając lepszą przeszłość i wyrzekając na straszliwe czasy, których doczekała się ich zawichrzona ojczyzna.

Ale to rzewne powitanie przerwał okropny alarm, który się rozległ w drugim krańcu stolicy i wstrząsnął przerażonem miastem. To wojska, trzymające stronę samozwańca, uderzyły pod wodzą Sapiehy na monastyr św. Pafnucego, wdarły się do wnętrza, wycięły w pień zakonników i wznieciły pożar.

Mścisławski, podejrzewając, że ten niespodziewany szturm ma związek z nadejściem wojsk hetmańskich,

wysłał zaraz do Żółkiewskiego posłów z zapytaniem, czy przychodzi, jako wróg, czy jako przyjaciel i czy gotów jest dać pomoc przeciw samozwańcowi.

Hetman odpowiedział, że żywi najlepsze zamiary, obiecał napisać do Sapiehy, by więcej nie szturmował miasta, ale odmówił czynnej pomocy, dopóki sprawa królewicza Władysława nie zostanie wyjaśniona. I teraz dopiero przed zwycięskim wodzem zaczęły się piętrzyć ze wszech stron przeszkody i trudności. Samozwaniec nie myślał wyrzekać się swych roszczeń do korony carskiej i nie zaprzestał walki, Mścisławski domagał się, by Żółkiewski w myśl swego przyrzeczenia bronił przed szalbierzem stolicy, wojsko hetmańskie żądało wypłacenia zaległego żołdu i groziło w przeciwnym razie rokoszem, a król do którego Żółkiewski słał list za listem i prosił o wskazówki, jak ma się zachować w sprawie osadzenia na tronie królewicza, milczał uparcie i żadnej nie dawał odpowiedzi.

Żółkiewski uspokajał wojsko, układał się z Sapiehą, którego chciał zjednać dla swoich widoków, pertraktował dyplomatycznie z bojarami, zwlekając z ostatecznym układem w nadziei, że lada chwila Zygmunt przyśle wskazówki i wyraźnie wolę swoją objawi.

Ale król milczał.

Hetman jasno zdawał sobie sprawę, że dalsza zwłoka grozi zniweczeniem świetnego pod Kłuszynem zwycięstwa, lecz nie wiedział, co czynić, bo znając niestałość Zygmunta, obawiał się, że ten w ostatniej chwili gotów unieważnić układy, wynoszące na tron carski królewicza. Zaraz po potrzebie kłuszyńskiej tak pisał do króla:

„...Przyślij wasza kr. mość senatorów i innych, daj mi przepisy, jak mam poczynać. Rzeczy są nagłe i niecierpiące odkładu. Szalbierz ma jeszcze wielkie u gminu wzięcie. Patrjarcha dwóch kandydatów podaje do tronu: albo kniazia Wasyla Golicyna, albo Mikiticza Romanowa, syna metropolity rostowskiego. Lud jest za synem patrjarchy, duchowieństwo za Golicynem. Nie daję ja i Szujskich zupełnie przygniatać, abym tak obrotnych i zuchwałych mógł w potrzebie wypuścić... Umysły się burzą, niecierpliwe bojary chcą co rychlej ujrzeć koniec klęsk swoich. Dalsza zwłoka najpomyślniejsze dla Rzeczypospolitej widoki i sławy waszej kr. mości nazawsze zniszczyć może. Racz mi więc wasza kr. mość dać wyraźnie poznać wolę swoją, bym wiedział, jak czynić”...

Już z tego listu widać, jak daleka i głęboka była przezorność hetmana, jak liczył się ze wszystkiem, jak wszystko przewidywał, a nie chciał uczynić kroku, któregoby później ze względu na stanowisko króla należało żałować. Czekał więc niecierpliwie odpowiedzi. Ale płynął dzień za dniem, minęły trzy tygodnie od chwili przybycia wojsk hetmańskich pod Moskwę, a król milczał, jak zaklęty. Dalsza zwłoka groziła całkowitem zniweczeniem planów Żółkiewskiego, a ze względu na wzburzenie bojarów, roszczenia samozwańca i wojsko hetmańskie, grożące buntem, przynieść mogła klęskę. Wtedy wielki wódz i wielki statysta postanowił działać i na własną odpowiedzialność zapewnić tron carski królewiczowi. Jakoż dnia 27 sierpnia (1610 r.) pomiędzy hetmanem a bojarami, działającymi za przyzwoleniem patrjarchy moskiewskiego Hermogena w imieniu wszystkich stanów mo-

skiewskich, stanął układ, wynoszący na tron carski królewicza Władysława.

Według spisanych warunków umowy hetman zobowiązał się w imieniu królewicza, że ten mieć będzie w opiece wiarę grecką, cerkwie, ikony, groby i prochy świętych, nikomu pod karą śmierci nie pozwoli przechodzić na inną wiarę, zachowa dawne obyczaje, prawa, stany, zabroni do carstwa wstępu żydom, nie powiększy ceł, podatków, a wszelkie kary wymierzać będzie za wyrokami. Umowa opiewała dalej, że król polski Zygmunt i syn jego car Władysław mają pozostawać ze sobą w pokoju i przyjaźni, a przeciw wrogom tak Polski, jak Moskwy występować wspólnie. Samozwaniec, przybierający imię Dymitra, wspólnemi siłami powinien być pojmany żywcem, lub zabity, a po dokonaniu tego wojska hetmańskie mają oddalić się na leże do Możajska. W żadnym razie wojsk swoich bez zezwolenia rady bojarów hetman nie mógł wprowadzać do stolicy.

Wszystkie zamki moskiewskie, zajęte przez Polaków, miały powrócić do carstwa, a co się tyczy obleganego Smoleńska, to Żółkiewski obiecał wstawić się do króla, aby do ostatecznego wprowadzenia w życie zawartego układu szturmowanie do bram twierdzy powstrzymał.

Najdrażliwszy był punkt, dotyczący zmiany przez Władysława religji. Hetman, sam gorliwy katolik przeciwny był żądaniom bojarów, a w szczególności duchowieństwa moskiewskiego, ale nie chcąc, by o ten punkt rozbiły się układy, zgodził się, że w tej sprawie poselstwo moskiewskie z królem Zygmuntem układać się będzie.

Na podstawie tego układu zobowiązała się Moskwa bić czołem przed najjaśniejszym królem polskim i oświadczyć mu, że wszystkie stany proszą jego syna, by rządził całem hospodarstwem.

W dziejach stosunku dwu wielkich państw zaczynała się niezwykle ważna, przełomowa chwila. Królewicz polski, osadzony na tronie moskiewskim, a mający za sobą króla polskiego i całą potęgę Rzeczypospolitej, pewniejszy mógł być tronu, niż trzej ostatni carowie. Takiego monarchy nie mogli bojarowie bez narażenia głów własnych zamordować podstępnie, lub „postrzyc w czerńce", jak to uczynili z Wasylem. Na przeszkodzie stało jeszcze wyznanie Władysława, bo lud moskiewski był głęboko do wiary swej przywiązany, a było do przewidzenia, że ani król Zygmunt, ani duchowieństwo polskie nie pozwolą królewiczowi na zmianę religji. Ale rozległe carstwo, nękane wojną, szarpane zawieruchą wewnętrzną, rozsypywało się już w gruzy, jak gmach do połowy przez burze strzaskany. Ludność, narażona na nieustanne grabieże i rabunki, wynędzniała, głodna, niepewna jutra, znosiła niesłychane cierpienia. Rządy nowego cara, rozpoczęte od ukończenia niszczącej wojny i wprowadzenia ładu w stosunki wewnętrzne, mogły zyskać nowemu władcy więcej zwolenników, niż zmiana religji. A od króla Zygmunta, od statystów polskich zależało teraz, by wykorzystać przewagę Rzeczypospolitej nad wrogiem jej państwem, by tę przewagę utrwalić i w dziejach już nie tylko państw obu, ale w dziejach całej Europy nową rozpocząć epokę. Rzeczpospolita, która nie siłą oręża, ale kulturą swoją potrafiła powiązać w jednolitą całość państwową tyle ludów obcych sobie religją, mową, zwy-

czajami, a prowadzących przedtem długoletnie wojny, stanęła znowu przed olbrzymiem zadaniem dziejowem. Na nieszczęście Rzeczpospolita, stanąwszy w tej chwili u szczytu, nie miała już wzbić się wyżej, lecz cofnąć się na drodze swego rozwoju i zbliżać się do upadku. Nie była to Polska Jagiellonów i nie doradcy na miarę Oleśnickich otaczali króla.

Żółkiewski, który w tej dobie zarówno mieczem, jak rozumem wielkiego statysty, był jedynym w Rzeczpospolitej mężem, mogącym układowi zapewnić trwałość i wyciągnąć z niego wszystkie korzyści, nie należał do pochlebców i nie cieszył się łaskami króla. Mali ludzie wywierali wpływ na małego Zygmunta.

Więc z niepokojem czekał hetman wieści z obozu królewskiego, a tymczasem rozpoczęte dzieło postanowił doprowadzić do końca i od całej Moskwy odebrać uroczystą przysięgę dla nowego cara.

Uroczystość ta odbyła się na Polu Dziewiczem, rozległem błoniu pod miastem. Na środku pola ustawiono dwa wspaniałe namioty, w których przez odsłonięte szeroko kotary widać było kapiące od złota ołtarze, błyszczące posągi i barwne obrazy najwięcej czczonych świętych moskiewskich. W pobliżu stanęło rycerstwo polskie na dzielnych koniach, całe przybrane w złote i srebrne blachy, z rozwianemi pysznie chorągwiami. Dalej w pełnej paradzie, rozstawiły się konne i piesze pułki moskiewskie. Przez rozwarte bramy stolicy carskiej przy uroczystym dźwięku dzwonów cerkiewnych, potężnie rozbrzmiewających w dalekich przestworzach, wysypywał się lud moskiewski i niosąc ze sobą lśniące w blaskach słońca ikony i krzyże, a śpiewając hymny święte, zajmował okoliczne błonia i wzgórza. Ruszyło ku namiotom we wspa-

niałych ornatach najwyższe duchowieństwo, szli dumni bojarowie, dostojnicy dworscy, djacy, przedstawiciele wszelkich stanów, a gdy wszyscy zajęli miejsca, hetman Żółkiewski, otoczony w namiocie starszyzną, przystąpił do ołtarza i, rękę położywszy na nim, poprzysiągł w imieniu królewicza Władysława zawartą z bojarami umowę.

Z kolei dwaj arcybiskupi zwrócili się do tłumów i z rozkazu patrjarchy Hermogena zawezwali je uroczyście, aby przysięgły na wierność wielkiemu hosudarowi, Władysławowi Zygmuntowiczowi, jako wielkiemu Moskwy i całej Rusi kniaziowi i władcy. Na to wezwanie rozległy się radosne okrzyki, zagrzmiały działa, huknęły trąby i kotły, a bojarowie przystępowali kolejno do składania przysięgi i obyczajem przodków całowali krzyże. Śród grzmotu strzałów armatnich, śród huku bębnów i kotłów, lud padał na kolana i wznosił pełną piersią niemilknące okrzyki:

— Mnogie lata carowi Władysławowi!

Nazajutrz potężny dzwon w Kremlu wzywał ludność do przysięgi w soborze, a lud tłumnie wypełnił świątynię. W krótkim czasie 300.000 ludzi przysięgło nowemu carowi w samej stolicy, a równie chętnie składała przysięgę ludność w miastach na prowincji. Całe potężne państwo moskiewskie leżało u stóp polskiego królewicza.

A Żółkiewski nie ustawał w staraniach, aby ująć serca Moskali i zjednać ich dla nowego władcy.

Zaraz po uroczystości na Polu Dziewiczem wyprawił bojarom wspaniałą ucztę i wszystkich biesiadników ujął bogatemi darami. Rycerstwo polskie na polu pod Kłuszynem zdobyło łupy, śród których znajdowało się wiele cennych przedmiotów. Żółkiewski za

własne pieniądze zakupił u rotmistrzów mnóstwo złotych i srebrnych sprzętów i te rozdał swym gościom. Jakoż każdy hojnie został obdarowany: ten otrzymał konia z bogatym rzędem, ów szablę, wysadzaną drogiemi kamieniami, inny — wielkiej wartości roztruhan, inni jeszcze — złote i srebrne puhary.

Podobała się Moskalom hojność hetmańska.

Książę Mścisławski postanowił wywdzięczyć się Polakom i ze swej strony zaprosił hetmana oraz starszyznę polską na ucztę do siebie. I on wystąpił z podarunkami: Żółkiewskiego obdarzył sorokiem soboli i psem do szczwania niedźwiedzi. Rotmistrze otrzymali po dwa sobole, inni goście po jednym. Lecz Polacy nie byli zadowoleni ni z darów, ni z jadła. Jeno tęgie miody przypadły im do smaku. Wprawdzie chcieli zatrzymywać się na jednym gatunku i podpić sobie na przyjaźń z Moskalami, ale zwyczajem moskiewskim zmieniano nieustannie gatunki napitków i mimo protestów, życzeniom gości nie uczyniono zadość.

Wszakże dzięki tym ucztom przełamane zostały pierwsze lody wzajemnej niechęci.

Lecz nie przebrzmiały jeszcze echa uroczystości, gdy w obozie hetmańskim zjawił się bojar Andronow, bawiący pod Smoleńskiem i przywiózł oczekiwane niecierpliwie pismo królewskie, zawierające żądane przez Żółkiewskiego wskazania.

Ten list, jak grom spadł na głowę hetmana. Zygmunt żądał, by Żółkiewski zabiegał o koronę carską nie dla królewicza, lecz samego króla. W ten sposób wielkie zwycięstwo hetmana, złożona publicznie przysięga, wszystkie zabiegi i starania miały pójść na marne. Żółkiewski był w rozpaczy. Mógł jeszcze mieć na-

dzieję, że nie jest to ostateczny zamiar Zygmunta, ale wkrótce potem przyjechał nowy wysłannik króla, Aleksander Gosiewski i potwierdził przywiezioną przez Andronowa wiadomość, a nadto udzielił hetmanowi szczegółowych wskazówek królewskich, co powinien przedsięwziąć i jak ma sobie poczynać.

A dla Żółkiewskiego nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jeśli posłucha króla, to wielkie dzieło, którego dokonał, rozpadnie się w gruzy. Zygmunt słynął, jako fanatyczny katolik, poddany całkowicie wpływowi jezuitów. Moskale uważali go za wroga swej wiary. Było rzeczą jasną, że ani fanatyczny patrjarcha Hermogen, ani duchowieństwo moskiewskie, ani pozostająca pod jego wpływem ludność nie zgodzi się za nic, by na tronie carskim zasiadł człowiek, uważany za nieprzyjaciela i prześladowcę panującej w carstwie religji.

Odwoływanie przysięgi i zaproponowanie nowego cara Moskalom musiałoby wywołać śród nich nieufność i wzburzenie.

W takim stanie rzeczy, Żółkiewski postanowił zachować w tajemnicy zamiary królewskie, a zarazem uczynić wysiłek, by przekonać Zygmunta, że wobec wszystkiego, co zaszło, powinien wyrzec się swych planów.

W tym celu wysłał do króla obszerny list, w którym zdawał sprawę z dokonanych czynności i opisywał wszystkie wydarzenia. Jednocześnie nie ustawał w staraniach, aby zjednać dla swego dzieła Moskali i przekonać ich, że szczerze a uczciwie dobra ich pragnie. Więc zgodnie z zawartą umową rozpoczął układy z Sapiehą, którego namawiał do porzucenia samozwańca i przejścia z całem podległem mu

wojskiem na służbę królewicza. Samozwańcowi za zrzeczenie się pretensyj do korony moskiewskiej obiecywał wyjednać u króla w dozgonne posiadanie Sambor lub Grodno. Sapieha, który lekceważył oszusta, rad był porozumieć się z hetmanem i chciał zgodę czynić, ale jego wojsko, swywolne, rozhukane, żyjące rabunkiem i grabieżą, a pełne ufności w szczęśliwą gwiazdę samozwańca, nie chciało nawet słuchać o propozycji hetmańskiej. A samozwaniec, gdy dowiedział się, co mu proponuje Żółkiewski, odpowiedział hardo:

— Wolę służyć u chłopa, niż z rąk króla jegomości chleba patrzeć.

Jeszcze bardziej uczuła się dotkniętą Maryna, a że według określenia Żółkiewskiego, była „niewiasta ambitiosa”, więc wysłuchawszy propozycji hetmańskiej, odparła wyniośle:

— Niech też król jegomość ustąpi carowi jegomości Krakowa, a car jegomość da królowi jegomości Warszawę.

Żółkiewski, widząc, że układy do niczego nie doprowadzą, postanowił orężem zakończyć sprawę samozwańca. Ucieszyli się tem postanowieniem bojarowie moskiewscy i szczerze przyszli hetmanowi z pomocą. Dnia 5 września o zmroku, hetman, za zgodą starszyzny moskiewskiej, wprowadził do stolicy część swych pułków, a nazajutrz o świtaniu, wspomagany przez 15,000 Moskali wyszedł z Moskwy i w szyku bojowym zjawił się niespodziewanie przed wojskami samozwańca.

Książę Mścisławski, biorący udział w wyprawie, domagał się, aby natychmiast całą siłą uderzyć na wojska Sapiehy, ale Żółkiewski, wzdrygający się na myśl o rozlewie krwi bratniej, uczynił ostatnią próbę

i raz jeszcze wysłał list do Sapiehy, z żądaniem, by opuścił natychmiast oszusta. Sapieha, widząc, że sprawa samozwańca źle stoi, rad był wypełnić żądanie, ale musiał liczyć się z opinją własnych szeregów. Nie kwapiąc się przecież do boju ze swoimi, przyrzekł ze swej strony, że uczyni wszystko, by skłonić Dymitra do przyjęcia Sambora lub Grodna, które w imieniu króla obiecywał mu Żółkiewski. Jakoż namawiał do tego i samozwańca i jego żonę, ci przecież nie chcieli o tem słyszeć.

Żółkiewski, spostrzegłszy się, że układy nie doprowadzą do pomyślnego skutku, postanowił nocą napaść niespodzianie na monastyr, w którym szalbierz zamieszkiwał razem z Maryną. Obiecywał sobie, że oboje żywcem pochwyci, a wszystko zapowiadało, że wyprawa się uda. Ale znalazł się zdrajca Moskal, który, dowiedziawszy się o planach hetmana, zbiegł do monastyru i uprzedził Dymitra o grożącem mu niebezpieczeństwie. Na wieść, co się święci, samozwaniec i jego żona, nie ufając już wojskom Sapiehy, dosiedli koni, porwali ze sobą kilkuset Kozaków dońskich i, rozpuściwszy fałszywe wieści o kierunku swej drogi, w ogromnym popłochu uciekli z monastyru i zatrzymali się dopiero w Kałudze.

Ciemna noc i niepewność, w którą stronę udali się zbiegowie, uniemożliwiła pogoń.

Ale sama ucieczka oszusta, zagrażającego stolicy moskiewskiej, pociągnęła za sobą bardzo poważne następstwa. Wprawdzie wojska Sapiehy gwałtem wedrzeć się chciały do Moskwy, lecz Żółkiewski, obawiając się swywoli i gwałtów żołnierzy sapieżyńskich, zagroził im, że siłą ich w razie potrzeby odeprze. Jednocześnie przecież najbardziej potrzebującym po-

lecił wypłacić ze skarbu carskiego 10.000 złotych i w ten sposób ułagodził wzburzenie. Ostatecznie po długich sporach i po zapewnieniach hetmana, że wstawi się do króla, by pułki Sapiehy otrzymały żołd zaległy, wymógł na nich, że oddaliły się na leże do ziemi siewierskiej.

Tak więc, dzięki Zółkiewskiemu z przed bram Moskwy znikło niebezpieczeństwo, które ciągłym niepokojem napełniało ludność olbrzymiego miasta i trzymało je w nieustannej trwodze.

A wielu bojarów, stojących po stronie oszusta, uważając sprawę jego za zgubioną, zgłosiło się do hetmana i złożyło przysięgę Władysławowi, prosząc tylko o wstawiennictwo do bojarów moskiewskich i uzyskanie ich przebaczenia. Chciał to uczynić Żółkiewski, lecz nadaremnie namawiał radę bojarów, by ogłosiła powszechną amnestję. Przeciw stronnikom łotra panowało takie oburzenie w Moskwie, że na nic się nie zdały perswazje hetmańskie. Bojarowie moskiewscy, odpychając swych rodaków, popchnęli ich znowu do obozu oszusta.

Żółkiewski nie zrażał się przeszkodami. Postanowiwszy zdobyć zaufanie Moskwy, czynił wszystko, aby celu dopiąć. A że postępował mądrze i szlachetnie, że dotrzymywał wszystkiego, cokolwiek obiecał, więc coraz większą pozyskiwał życzliwość. Sam pobożny i głęboko religijny, umiał zjednać sobie względy potężnego swym wpływem patrjarchy Hermogena i pozostawał z nim w najlepszych stosunkach. Baczny na wszystko, zawczasu usuwał niebezpieczeństwa, któreby mogły zniweczyć jego plany. Dostrzegłszy, że Wasyl Szujski i jego bracia budzą niepokój, mogący w razie nowych okoliczności stać się przyczyną po-

ważnego zawichrzenia w stolicy, zażądał aby mu Szujskich wydano, a bojarowie chętnie żądanie to spełnili.

Inne niebezpieczeństwo widział hetman w obecności metropolity Filareta, który wielkiej zażywał powagi, a którego młodziutki syn, Michał Romanow, wysuwany był, jako kandydat do korony carskiej. Drugim z kolei kandydatem był książę Golicyn, równie, jak Romanow, mający wielu zwolenników. I Filaret, i Golicyn łatwo mogli stać się przyczyną wielkiej zawieruchy. Hetman, przewidując wszystko, obu niebezpiecznych ludzi postanowił pozbyć się z Moskwy. A uczynił to mądrze, gdyż tak pokierował sprawami, że jeden i drugi wysłani zostali pod Smoleńsk, w poselstwie do króla Zygmunta, by uzyskać od niego ostateczną zgodę na zawarte układy. W ten sposób mądry hetman uhonorował obu dostojników, a zarazem pozbył się ich bez wzbudzenia w chytrych bojarach podejrzenia.

Jakoż Golicyn i Filaret, dobrawszy sobie według własnego upodobania innych członków poselstwa, wyruszyli w drogę z wielką okazałością, gdyż zabrali ze sobą mnóstwo ludzi i cztery tysiące koni.

Dzięki umiejętnemu postępowaniu hetmana bojarowie coraz życzliwiej zaczynali traktować Polaków. Sam Żółkiewski rósł nieustannie w powagę i coraz większy budził w Moskalach szacunek. Podziwiano jego rozum, bystrość, podziwiano, że spełnił wszystko, cokolwiek obiecał, że wojsko jego nie popełnia gwałtów i nadużyć, że mogąc wtargnąć do stolicy, ściśle przestrzega umowy i mimo zbliżającej się zimy, stoi spokojnie pod murami Moskwy.

Istotnie wojsko hetmańskie, widząc wielkie dzieła swego wodza, nie zagrażało już buntem i aczkolwiek

nie przestało domagać się wypłaty żołdu, zachowywało się z wielką godnością i powagą.

Bojarowie pozbywali się zwolna nieufności. W początkach października, gdy pułkom hetmańskim zaczęły dokuczać przymrozki, sami zwrócili się do hetmana z prośbą, aby wprowadził swe hufce do Moskwy. Chodziło im nie tylko o dogodzenie Polakom, ale również o obronę przed możliwemi niepezpieczeństwami, które w tych niespokojnych czasach mogły zagrozić stolicy.

Żółkiewski postanowił przychylić się do tej prośby. Ale Moskwa była miastem ogromnem, jej ludność ciemna, nieufna, gotowa za pierwszym sygnałem powstać przeciw cudzoziemcom. Straszliwe sceny okrucieństw, które rozegrały się za panowania pierwszego samozwańca, nakazywały największą ostrożność. Przezorny hetman nie chciał, aby lud Moskwy spostrzegł, jak szczupłe są siły Polaków. Więc pułki swe wprowadził do miasta cicho, późną nocą, a tak je rozmieścił, by w razie potrzeby natychmiast mogły się połączyć i wspólnie stawiać opór. Żołnierzom nakazał unikać wszelkich zatargów, bijatyk i sporów z mieszkańcami, a żołnierze ściśle ten rozkaz wypełnili.

Moskale, pamiętający niedawne czasy, widząc ład i porządek w wojsku, a nie doznając żadnej przykrości, wydziwić się nie mogli umiarkowaniu i stateczności Polaków.

Hetman, baczny na wszystko, stanął osobą swoją w Kremlu, a taką zdobył powagę, że rada bojarów nic ważniejszego bez jego zgody nie śmiała przedsięwziąć. Nieufni bojarowie, widząc rozum Żółkiewskiego, jego uczciwość, szczerość i szlachetność, z wzrastającym podziwem spoglądali na męża, który tak

straszliwy był w boju, a piękny i wzniosły we wszystkich swych poczynaniach pokojowych.

Po pewnym czasie zaczął się najwidoczniejszy zwrot w usposobieniu Moskwy dla Polaków.

Lud ciemny boczył się jeszcze i zpodełba patrzał na przybyszów, ale stany oświeceńsze jednała karność wojska, dobry humor i wesołe usposobienie polskie.

Widział to wszystko Żółkiewski i korzystając z wielkiej swej powagi, postanowił jeszcze jedno niebezpieczeństwo zażegnać. Znajdowało się w Moskwie 18,000 strzelców, owej gwardji carskiej, która rozstrzygała o wszystkich przewrotach, a w murach olbrzymiego miasta stanowiła groźną potęgę. Żółkiewski zwrócił uwagę na tę siłę i za przyzwoleniem bojarów dowództwo nad strzelcami powierzył Gosiewskiemu. W krótkim czasie Gosiewski taktem, ucztami i hojnością zjednał sobie szacunek i miłość podwładnych.

W ten sposób Żółkiewski zażegnał niebezpieczeństwa, jakie tylko można było przewidzieć i uczynił wszystko, by stolica carska z entuzjazmem powitała nowego władcę. Stanowisko królewicza Władysława było niezwruszone. Już złote i srebrne monety bito z jego wizerunkiem, już w jego imieniu zaczęto wydawać wyroki i edykty, a cała Moskwa z niecierpliwością oczekiwała na przyjazd nowego cara. Ale królewicz nie przyjeżdżał, król Zygmunt milczał, a pod Smoleńskiem w dalszym ciągu grzmiały armaty i budziły niepokój w carstwie. Rozumiał hetman, że dalsza zwłoka obudzić może podejrzliwość Moskali i zniweczyć wielkie dzieło, którego dokonał. Więc postanowił wyruszyć do Smoleńska i osobiście rozmówić

się z królem, by, póki czas, ratować olbrzymie przedsięwzięcie.

Powziąwszy taką decyzję, zawezwał bojarów i oświadczył im, że oddala się z Moskwy, by porozumieć się z królem i przyśpieszyć przyjazd cara Władysława. Nie podobał się zamiar hetmana Moskalom. Przed samym jego odjazdem książę Mścisławski na czele stu znakomitych bojarów odwiedził hetmana i w długiej rozmowie prosił go, aby nie wyjeżdżał z Moskwy.

— Wasza obecność,— mówił Mścisławski,— zachowała nas i stolicę w spokoju... Znana ci jest swawola żołnierza polskiego. Zaczną się kłótnie, a Moskwa, nieznosząca wzgardy obcych, otwartym buntem wybuchnąć może...

Żółkiewski starał się uspokoić bojarów. Ściskając ręce Mścisławskiemu, zapewniał go, że dla dobra sprawy koniecznie z królem osobiście rozmówić się musi. Wtedy bojarowie prosili hetmana, by przynajmniej władzę nad wojskiem polskiem oddał w pewne ręce, a ze swej strony zapewniali, iż dołożą starań, by do przyjazdu królewicza zachować spokój i porządek w mieście.

— Dzielny Gosiewski, — pocieszał hetman bojarów, — równie jak ja spokój i ład utrzymać potrafi.

Posmutnieli bojarowie, lecz widząc, że nie zdołają skłonić Żółkiewskiego do pozostania w stolicy, przestali nalegać.

A Żółkiewski, sam niespokojny o swoje dzieło i niepewny przyszłości, przed wyruszeniem w drogę, zwołał koło rycerskie i otoczony starszyzną, napominał a prosił żołnierzy, by zachowywali się karnie i utrzymywali dobre z ludnością stosunki...

— Wierzajcie, żołnierze,—mówił na pożegnanie,— że nie miecze wasze, nie kopje, wznoszące się w górę i nie wasza nieustraszona w boju odwaga, ale karność, skromność i dobre traktowanie mieszkańców tej stolicy zachować mogą was samych i to miasto potężne nienaruszonem oddać naszemu królewiczowi.

Zapewniał hetman wkońcu, że trudy, zasługi i blizny swych żołnierzy poleci hojności króla, a pamięć świetnych, wspólnie dokonanych czynów na zawsze zachowa w swem sercu.

Pożegnawszy się z wojskiem, chciał cicho i niepostrzeżenie opuścić stolicę carów. Ale wieść o jego odjeździe błyskawicznie rozniosła się po mieście i na ludności nadzwyczajne uczyniła wrażenie. Poruszyła się cała Moskwa. Olbrzymie ciżby ludu zaległy place i ulice, któremi miał Żółkiewski przejeżdżać. We wszystkich oknach, nawet na dachach domów tłoczyły się gromady ludzkie, a rada bojarów w całej paradzie wystąpiła konno, by daleko za mury miejskie odprowadzić dostojnego męża. Widok hetmana wszędzie budził entuzjazm. Gdzie ukazał się jego pojazd, tam lud wznosił grzmiące okrzyki, kłaniał się w pas, błogosławił i szczęśliwej podróży a szybkiego powrotu życzył zwycięzcy z pod Kłuszyna.

A przed pojazdem hetmana posuwała się kareta, wioząca, jako jeńców polskich cara Wasyla Szujskiego i dwóch jego braci, Dymitra i Iwana. A tuż za hetmanem jechali konno dumni bojarowie, najwyżsi państwa dostojnicy, by cześć swą okazać odjeżdżającemu. A lud ciągle wznosił gromkie wiwaty, aż wspaniały orszak oddalił się i zniknął z przed oczu poruszonych tłumów.

Tak hetman polski odjeżdżał ze stolicy carów moskiewskich.

VIII.

TRIUMFY I KLĘSKI.

Tymczasem król Zygmunt stał pod Smoleńskiem i słuchał panów Potockich, którzy z nietajonem niezadowoleniem odzywali się do króla o poczynaniach i planach Żółkiewskiego. Nie mogli pomimo obietnic i przechwałek zdobyć potężnej twierdzy, w swoim czasie nie chcieli iść przeciw Dymitrowi Szujskiemu, a hetman, którego nie lubili, wbrew wszelkim przewidywaniom. odniósł najświetniejsze zwycięstwo i dla królewicza Władysława zdobył tron moskiewski.

Potoccy, zazdrośni o swe wpływy, przekładali królowi, by nie słuchał hetmana, a król przychylał się do tego, co mu podszeptywali jego faworyci. Rady Żółkiewskiego, jak świadczy kronikarz Piasecki, roztrząsane były przez niechętnych, „z uszczypliwą naganą”. Mówiono Zygmuntowi, że młodziutki królewicz nie będzie czuł się pewnym i bezpiecznym w otoczeniu obcego ludu, że nie poto Rzeczpospolita prowadzi wojnę z Moskwą, by zdobywać koronę dla syna królewskiego, lecz poto, by odzyskać Smoleńsk. I w myśl życzeń króla namawiali go panowie Potoccy, by najpierw zdobył Smoleńsk, a później, jako zwy-

cięzca wkroczył do Moskwy i sam koroną carską skronie swe uwieńczył.

Lecz nie wszyscy w obozie podzielali zdanie Potockich, a wielki kanclerz litewski, Lew Sapieha, odmiennej był opinji.

Twierdził on, że nikt w Rzeczypospolitej nie będzie powstawał przeciw temu, gdy królewicz zostanie carem, albowiem fakt taki zdobędzie Rzeczypospolitej przyjaźń potężnego sąsiada, a w przyszłości spowodować może głębiej sięgające zmiany. Młodość królewicza, zdaniem kanclerza, nie powinna stanowić przeszkody do objęcia tronu. Nic bowiem nie stoi na zawadzie, by młodemu carowi przydzielić w charakterze doradcy hetmana Żółkiewskiego, który po odniesieniu zwycięstwa umiał zdobyć miłość i szacunek Moskali.

Wielu innych senatorów, których król listownie pytał o opinję, podzielało zdanie kanclerza i radziło, by korzystać ze sprzyjających okoliczności.

Ale król Zygmunt myślał o koronie dla siebie, a powziąwszy to postanowienie, trwał w niem ze zwykłym sobie uporem. Nie miał przecież odwagi, by jawnie swój zamiar rozgłosić. Skryty, nieufny, uparty, a chwiejny w działaniu, prowadził politykę dwuznaczną i zwlekał swoim zwyczajem z wypowiedzeniem ostatniego słowa. Zwycięstwo Żółkiewskiego postanowił wyzyskać, jako środek, mający mu otworzyć bramy Smoleńska. Ale dzielny obrońca twierdzy, mężny Szehin nie dał się oszukać. Zawiadomiony o układach w Moskwie, odpowiedział, że cara Władysława najchętniej do Smoleńska wpuści, ale z Zygmuntem, królem polskim, dążącym do przywłaszczenia prowincyj carskich, nic nie chce mieć do czynienia.

Kiedy do obozu królewskiego przybyło poselstwo z księciem Golicynem i metropolitą Filaretem i, bijąc czołem przed królem, prosiło go o zatwierdzenie zawartej z Żółkiewskim umowy, król kazał odpowiedzieć, że wdzięcznie przyjmuje złożone oświadczenia, ale co do poszczególnych punktów umowy polecił posłom porozumieć się z senatorami. A senatorzy, w myśl życzeń króla, żądali przedewszystkiem, by przysięga złożona Władysławowi, obowiązywała i względem jego ojca, nadto domagali się natychmiastowego poddania Smoleńska.

Spostrzegli się posłowie, do czego król zmierza i z oburzeniem słuchali nowych propozycyj. Wielu członków poselstwa ruszyło wkrótce w drogę powrotną, rozsiewając najnieprzychylniejsze o Zygmuncie wieści. Żółkiewskiego, który dążył pod Smoleńsk, spotkali niektórzy z owych wracających do stolicy posłów i wielce żalili się na zawód, jaki ich spotkał ze strony króla Zygmunta.

Hetman nie zrażał się przeciwnościami i nie tracił jeszcze nadziei, że uda mu się przekonać upartego króla. Gdy zbliżał się do Smoleńska, wieść o jego przybyciu poruszyła wojska, stojące pod twierdzą. Na spotkanie zwycięzcy z pod Kłuszyna i zdobywcy Moskwy wyruszyli przebywający w obozie królewskim senatorowie i dostojnicy, wyjechało wielu pułkowników i rotmistrzów, a kanclerz Lew Sapieha wygłosił na cześć hetmana powitalną mowę, w której wysoko podniósł jego świetne czyny i zasługi.

Witany entuzjastycznie hetman, udał się w otoczeniu świetnego orszaku, do króla, przedstawił mu wziętego do niewoli cara Wasyla wraz z braćmi, zło-

żył zdobyte pod Kluszynem chorągwie i gorąco polecił opiece królewskiej swe waleczne rycerstwo.

A po tem oficjalnem powitaniu miał długą z królem rozmowę, w której tłumaczył, jakie pobudki kierowały nim w Moskwie. Mówił więc, że nie mógł zastosować się do przesłanych mu życzeń, bo gdyby Moskale dowiedzieli się, że nie królewicz, lecz sam król Zygmunt tron carski dla siebie chce zdobyć, natenczas kogo innego ogłosiliby carem, a kandydatów do korony śród samych bojarów nie brakło.

Król uprzejmie, lecz zimno słuchał tych wywodów.

Więc hetman przytaczał wiele innych racyj, dowodząc ciągle, że należy korzystać ze sprzyjających okoliczności i stworzyć fakt dokonany. Zwracał uwagę, że skarb świeci pustkami, że wojsko szemrze z powodu niewypłacenia zaległego żołdu, a tymczasem wojna się przeciąga i Smoleńsk trwa niezdobyty. Wszystko to doprowadzić może do katastrofy. Poza temi racjami wskazywał przyczyny natury politycznej, które również powinny były skłonić króla, by nie wahał się dłużej i co prędzej wysłał królewicza do Moskwy.

Zadaniem panującego, twierdził Żółkiewski, jest myśleć o dobru państwa i zawczasu zapobiegać grożącym mu nieszczęściom. A nieszczęściem dla Rzeczypospolitej były trzy bezkrólewia, z których ostatnie doprowadziło do rozlewu krwi bratniej i wstrząsnęło państwem. Przypomniał hetman królowi, jak zabiegał czas długi, by za swego życia zapewnić następstwo tronu polskiego najstarszemu synowi. Przypomniał wszystkie klęski i zawieruchę wewnętrzną, która wybuchła z tego powodu. Cóż się stanie, mówił, gdy po śmierci króla powtórzą się owe zaburzenia, gdy

o tron polski znowu liczni kandydaci ubiegać się będą, a szlachta, podzieli się na obozy i zbrojno przeciw sobie występować zacznie. Nieszczęściu temu należało zapobiec przez ustanowienie zawczasu takiej kandydatury, z którą inne nie będą mogły się mierzyć. Otóż królewicz Władysław, władca państwa moskiewskiego, byłby takim kandydatem. I hetman odsłaniał przed oczyma króla ogromne widoki, jakie otwierały się przed Rzecząpospolitą przez osadzenie na tronie carskim Władysława. Mówił o olbrzymiej misji dziejowej Polski, o unji Rzeczypospolitej z Moskwą. Prawda, że nie wszystko składało się tak, jakby tego można było sobie życzyć, prawdą jest również, że bardzo trudno jest przewidzieć dokładnie całą przyszłość, albowiem, mówił Żółkiewski, tylko „sam Pan Bóg w swej doskonałości sprawić może, co chce". W rękach ludzkich tylko ludzkie pozostają środki. Trzeba przecież zrobić początek. I przypomniał królowi unję Litwy z Koroną, unję, która tylokrotnie była zagrożona, a której koleje są takie, że trzeba było lat wielu, by doszło do spólności, jaka łączy oba dawniej obce i wrogie sobie narody.

Widać ze słów, które Żółkiewski przytacza, że miał on przed oczyma szerokie widnokręgi, że nie chodziło mu tylko o doraźne korzyści i wybrnięcie z chwilowych niebezpieczeństw, lecz o ideę wielką, o misję dziejową Polski, mogącą zaważyć potężnie na losach Europy. Nie obawiał się olbrzymich trudności, najwidoczniej doskonale rozumiejąc, że wielkie dzieła nie tworzą się łatwo, że kto chce wiele dokonać, na wiele ważyć się musi.

Ale król nie łatwo się zapalał. Bał się, co powie w Polsce opinja, gdy syna swego osadzi w Moskwie.

W zawartym przez Żółkiewskiego układzie była mowa o zwrocie Moskalom zajętych zamków, o przyjęciu nowej wiary przez królewicza, było kilka niedogodnych dla Rzeczypospolitej warunków. Jedynie przekonanie, że wola polska, osadziwszy w Moskwie Władysława, pokieruje dalszemi wypadkami na korzyść Polski, mogła stać się bodźcem do szybkiego działania. Tę wolę przejawił Żółkiewski, ale nie posiadał jej Zygmunt. Niezdecydowany w działaniu, choć uparty w zamiarach, bał się opinji, bał się ryzyka, aczkolwiek nie przestawał myśleć o tem, by nie dla syna lecz dla siebie, zwycięskiego króla polskiego, po zdobyciu Smoleńska, tron carski zachować. Na nic nie zdały się wszystkie dowody i argumenty, jakie hetman przytaczał.

— „Zawarte były uszy króla jegomości pana hetmanowym perswazjom",— powiada krótko Żółkiewski.

Król nie godził się na wysłanie do Moskwy Władysława, ale zamiarów swoich nie chciał przed czasem ujawnić. Lecz dla Moskali stawało się coraz widoczniejszem, do czego ta polityka zmierza.

Wieść, że Zygmunt sam myśli o koronie carskiej, że pragnie najpierw uspokoić państwo moskiewskie i zdobyć Smoleńsk, a później dopiero zjawić się w Moskwie, szeroko rozniosła się po całej ziemi moskiewskiej i wszędzie wywołała ogromne niezadowolenie. Umysły zaczęły się burzyć. Posłowie moskiewscy, zdecydowani na oddanie korony Władysławowi, ani chcieli słyszeć o Zygmuncie. A przebywający w obozie króla książę Golicyn, zniósł się z dowódcą Smoleńska, Szehinem i zachęcał go do dalszej wytrwałości. Wydały się te knowania. Oburzony król kazał uwięzić Golicyna i metropolitę Filareta, a następnie od-

wieźć ich pod strażą do Kamionki, starostwa Żółkiewskiego.

Hetman nie pochwalał oczywiście postępku przywódców uroczystego poselstwa, ale przyczynę tego postępku widział w polityce królewskiej, a w uwięzieniu posłów dostrzegał pogwałcenie prawa narodów. Uważał nadto, że jest to krok wysoce niepolityczny, który nie pozostanie bez poważnych a niepożądanych następstw. I nie omylił się w swem przewidywaniu. Uwięzienie dwu znakomitych dostojników wywołało nowe wzburzenie. W samej Moskwie patrjarcha Hermogen, człek, równie jak król w sprawach religijnych fanatyczny, zapłonął ogromnym gniewem i w imię zagrożonej wiary począł podburzać ludność stolicy przeciw Polakom.

A Gosiewski, człowiek dzielny i doskonały żołnierz, nie posiadał w tym stopniu powagi, co hetman, nie umiał utrzymać w żelaznych karbach posłuszeństwa swoich żołnierzy, ani podtrzymać w Moskalach owej ufności, którą zdobył Żółkiewski.

Na ulicach Moskwy coraz częściej przychodziło do zwad i bójek pomiędzy mieszkańcami stolicy a żołnierstwem polskiem.

Wzajemna podejrzliwość rosła.

— „Kilka tygodni, — powiada Maskiewicz, — spędziliśmy z Moskalami we wzajemnej nieufności, z przyjaźniami w ustach, a z kamieniem w zanadrzu"...

W olbrzymiem mieście nieprzyjacielskiem załoga polska czuła się zagrożoną. Przy bramach domów, w których mieszkali Polacy, warty czuwały dzień i noc, a broń gotowa była do strzału.

Obie strony coraz nienawistniej patrzyły na siebie.

Zanosiło się na powstanie przeciw Polakom, a wynik walki wobec nieznacznych sił polskich w ogromnem a wrogiem mieście nie mógł budzić wątpliwości. Nad załogą polską zawisło straszliwe niebezpieczeństwo.

Smoleńsk w dalszym ciągu bronił się dzielnie, powaga oręża polskiego zaczęła upadać, a wrogowie Rzeczypospolitej czuwali, aby wykorzystać błędy Zygmunta. Więc do tronu carskiego zgłosił swą kandydaturę królewicz szwedzki, ale i ten fakt nie obudził w królu większej energji. W tym czasie padł podstępnie zabity na łowach Dymitr — samozwaniec, a Maryna została uwięziona. Wprawdzie śmierć oszusta była na rękę królowi, ale więcej jeszcze ucieszyła Moskali, bo uwolniła ich od szukania pod skrzydłami polskiemi ochrony przed niebezpiecznym a groźnym awanturnikiem.

Śród takich okoliczności najprzychylniejsi Polakom bojarowie, znajdujący się w obozie przed Smoleńskiem, zaczęli odstępować Zygmunta i knuć przeciw niemu zdradę. Rozpoczęły się tajne spiski i umowy z Kozakami. W okolicach Smoleńska potworzyły się kupy zbrojne i, grasując bezkarnie, zagrażały dostawom dla wojska królewskiego. Wtedy to cieszący się zaufaniem Zygmunta, bojar Sołtykow podjął się na czele stojących przy królu wojsk moskiewskich rozproszyć owe bandy i uwolnić obóz polski od ciągłego niebezpieczeństwa. Jakoż za zgodą króla wypadł z obozu, ale zamiast okazać spodziewaną pomoc, złączył swe siły z owemi bandami, a do Zygmunta napisał list obelżywy. A w wojsku polskiem, zdemoralizowanem niepowodzeniami, nieopłaconem, niewidzącem końca oblężenia zaczynało się szemranie. O uszy króla coraz częściej obijały się groźby żołnierza.

Położenie stawało się rozpaczliwe.

Senatorowie, znajdujący się w obozie, raz jeszcze przypuścili szturm do króla i żądali od niego, by wysłał do Moskwy Władysława. Król nie dał swoim zwyczajem wyraźnej odpowiedzi, lecz obiecał wziąć pod rozwagę przedstawione życzenia. I znowu płynął czas drogi, a Zygmunt na nic zdecydować się nie mógł. Wtedy zaczęto nalegać, by na pewien czas odstąpił od oblężenia i ruszył na Moskwę, póki jeszcze można było ją opanować. Król zgodził się, gdy jednak rozpoczęto czynić przygotowania do drogi, ogarnęły go wątpliwości, zaczął się wahać, namyślać, aż przyszedł do przekonania, że nie może zaniechać Smoleńska. Ponieważ jednak położenie załogi polskiej, zostawionej w Moskwie, stawało się coraz niebezpieczniejszem, umyślił tedy posłać jej posiłki. Na rozkaz króla rozpisano listy do Jana Piotra Sapiehy i innych panów, by szli do Moskwy na pomoc swoim.

Na czele nowej wyprawy pragnął król widzieć Żółkiewskiego.

I w myśl tych życzeń zgłaszali się do hetmana panowie Potoccy, nagabywał go powiernik królewski, Bobola, starali się skłonić go do przyjęcia propozycji jezuici, stale otaczający króla.

Ale Żółkiewski tym razem nie zgodził się stanąć na czele wyprawy. Toż król podeptał zawarte przez niego układy, odebrał swojem postępowaniem całą ufność w dobrą wiarę Polaków, a królewicza nie myślał wysyłać do Moskwy. Z czem-że miał stanąć Żółkiewski przed radą bojarów, czem wytłumaczyć okropny zawód i niedotrzymanie zaprzysiężonej w Moskwie umowy?

W takich warunkach powrót do Moskwy nie był zgodny z wysokiem pojęciem honoru i uczciwości, które cechowało wszystkie uczynki hetmana.

Więc mimo próśb i namów odmówił stanowczo życzeniu króla.

W ogromnym i zgiełkliwym obozie wielki wódz i wielki statysta czuł się osamotnionym, zbytecznym. Nie wykorzystywano jego wielkich zwycięstw, nie słuchano jego rad i wskazówek, a żądano niepodobieństw. Nic dziwnego, że zmierził sobie pobyt pod Smoleńskiem i rozmyślał, jakby gdzieindziej przysłużyć się w ciężkich chwilach ojczyźnie.

Nie był on w tej chwili dogodny i królowi, a zaszły wypadki, które w innych stronach obecność hetmana czyniły wysoce użyteczną. Oto wojewoda siedmiogrodzki, Gabrjel Batory, najechał Wołoszczyznę, wyparł z niej wiernego Polsce hospodara Radułę, a następnie zaczął zmawiać się z Turcją i grozić wtargnięciem w granice Rzeczypospolitej.

Król i niechętni Żółkiewskiemu panowie umyślili skorzystać z tego wydarzenia.

W tym celu zaproponowali mu, aby ruszył na obronę granic. Żółkiewski, acz sam powiada, że „zdrowie miał pracami i niewczasy osłabione", nie wahał się ani chwili. Rad, że nie będzie dłużej trwał pod Smoleńskiem w bezczynności, że usunie się od intryg i zawiści, chętnie opuścił obóz królewski.

W ten sposób pozbyto się męża, którego obecność była wyrzutem sumienia i dla króla i otaczających go pochlebców. W gnieździe skłębionych intryg i zawiści nie było miejsca dla męża tego charakteru, tej miary i prawości, co Żółkiewski. Mały król małych potrzebował ludzi. W wielkiej Rzeczypospolitej nad-

chodziły czasy, w których prawdziwa wielkość nie mogła się już pomieścić. To też z uczuciem ulgi wyjeżdżał hetman z pod Smoleńska, a król i panowie Potoccy również radowali się tajemnie, że opuszcza ich człowiek niedogodny.

Nie wiedział król, iż niebawem żałować będzie, że pozbył się hetmana.

Oto wkrótce po jego wyjeździe zmarł wojewoda bracławski, Jan Potocki, wódz dzielny i mężny, ale niefortunnie kierujący oblężeniem Smoleńska. Zygmunt, strapiony skonem swego ulubieńca, posłał za Żółkiewskim gońca, żądając od hetmana, aby zatrzymał się tam, gdzie list go zastanie i czekał na dalsze rozporządzenia. List ten otrzymał Żółkiewski w Orszy. W ślad za pierwszym gońcem zjawił się drugi. Ten naglił hetmana, by zostawiwszy wszystko, śpieszył co prędzej do króla pod Smoleńsk.

Dwa były powody, które skłoniły króla, że wzywał do siebie oddalonego wodza.

Przedewszystkiem chodziło Zygmuntowi o dowództwo nad armją oblężniczą, gdyż nie widział narazie nikogo, ktoby mógł dziełu temu wydołać. Ale nie myślał o tem szczerze, gdyż w pierwszym liście rozkazywał tylko Żółkiewskiemu czekać na dalsze rozporządzenia. Przed wysłaniem drugiego listu powierzył dowództwo nad wojskiem Jakóbowi Potockiemu, a Żółkiewskiego już dla innych powodów wzywał do siebie.

Strwożyły króla straszne wieści, które przysłano mu z Moskwy.

Jakoż wypadki, rozgrywające się w stolicy carstwa, największy musiały obudzić niepokój.

Nieznaczna załoga polska, pozostawiona w olbrzymiem mieście, a zagrożona przez wzburzoną ludność, wymagała niezwłocznej pomocy. Lecz pomoc nie przybywała, a siły wrogów rosły nieustannie. Bojar Lapunow, jeszcze niedawno przyjaźnie usposobiony dla Władysława, przemieniwszy się skutkiem polityki króla w najzaciętszego wroga Polaków, zebrał na prowincji kilkadziesiąt tysięcy zbrojnego ludu i maszerował ku stolicy, by wyzwolić ją z pod panowania polskiego. Jednocześnie ciągnął ku Moskwie awanturnik Zarudzki na czele 20,000 Kozaków dońskich. A w samem mieście ludność, wiedząca o nadciągającej pomocy, postępowała sobie w stosunku do Polaków coraz zuchwalej i coraz zaczepniej. Bójki na ulicach stawały się coraz częstsze, aż przyszło do krwawego starcia, które w Wielkim Tygodniu przemieniło się w morderczą, bezlitosną bitwę.

Dnia 28 marca 1611 roku w dzielnicy, zwanej Kitajgrodem, rozpoczęła się utarczka, której nie zdołał załagodzić Gosiewski. Z obu stron do późnej nocy walczono z wielką zaciętością, a mnóstwo trupów moskiewskich zasłało ulice miasta. Nazajutrz wybuchł jawny bunt i rozszerzył się na przyległe dzielnice. Rozjątrzeni żołnierze polscy wycięli wielu mieszkańców, ale ludność broniła się z niezwykłym uporem. Wzburzony lud moskiewski. pościągał z baszt armaty, ustawił je na ulicach i gęstym ogniem ostrzeliwał oddziały polskie. Później zaczęto w różnych punktach wznosić barykady, z za których rozlegały się nieustanne salwy muszkietów. Z dachów, z okien domów również rażono Polaków strzałami z rusznic, z samopałów, ciskano z góry ciężki gruz i kamienie, a gdziekolwiek ukazali się żołnierze polscy, tam ze wszyst-

kich stron waliła ciżba ludu i miejsce bitwy coraz ciaśniejszym otaczała pierścieniem. Nieuchronna zguba zawisła nad broniącem się wojskiem. Wtedy rozpaczliwa myśl strzeliła do głowy kilku towarzyszom. W zgiełku bitewnym rozległy się okrzyki:

— Ognia! ognia! palcie domy!

Na to wezwanie rzucili się pachołkowie do wnętrza domów i wnet olbrzymi pożar zaczął pustoszyć stolicę. Pod osłoną płomieni cofali się Polacy w bezpieczniejsze miejsca, a gdy noc zapadła, ufortyfikowali się w niespalonej części Kitajgrodu i w Kremlu. Tu, przy odblasku ogromnej łuny, świecącej krwawo nad miastem, odbyła się narada wojenna z udziałem tych bojarów, którzy mimo wszystko nie przestali jeszcze popierać sprawy Władysława. Na tej naradzie uchwalono nie oszczędzać stolicy i dla własnego ratunku palić ją dalej. Szczególniej nastawali na to bojarowie, dowodząc, że spalić należy do tła dzielnice, zabudowane domami drewnianemi, gdyż tylko w ten sposób wojsko polskie mogło, ich zdaniem, nawiązać komunikację ze światem. Usłuchano tej rady i w dalszym ciągu straszliwy rozniecano pożar.

Trzy dni i trzy noce szalały w Moskwie płomienie.

Poprzez gęsty wał czarnych dymów, wznoszących się nad miastem, wydobywały się olbrzymie słupy krwawego ognia i świeciły purpurą na niezmierzonych niebios przestrzeniach. Raz wraz wylatywały w górę płonące szczątki ludzkiego mienia, błyszczały przez mgnienie oka, jak ogniste kule i, pękając z szumem, rozsypywały się deszczem iskier. Piekłem stała się Moskwa. Trzask walących się budowli łączył się z odgłosami bijących na alarm dzwonów cerkiewnych, z jękami i płaczem nieszczęsnych mieszkańców, z la-

mentem oszalałych kobiet i dzieci, ginących bez ratunku. A w to skłębione, uciekające z płonących domów mrowisko ludzkie, armaty polskie posyłały grom za gromem i, szerząc zniszczenie, dopełniały bezmiaru nieszczęścia.

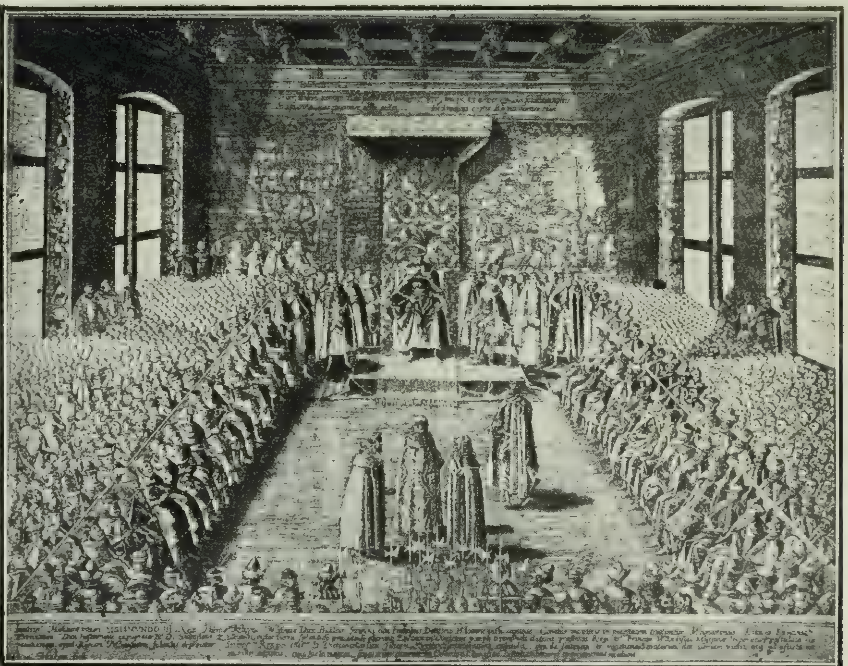
Po kilku dniach gruzy i dymiące zwaliska zaległy miejsca, na których wznosiło się olbrzymie, ożywione miasto.

Gosiewski pozostał na pogorzelisku, ale wielotysięczne wojska idące ku stolicy, zaciekłość jej mieszkańców i wzburzenie, ogarniające coraz większą przestrzeń rozległego carstwa, nie rokowały nadziei, by mógł się długo w spalonem mieście utrzymać.

Król, odebrawszy wiadomość z Moskwy, zapragnął cofnąć Żółkiewskiego z drogi. Ale hetman mimo naglących rozkazów nie śpieszył pod Smoleńsk. Z Orszy, w której otrzymał listy Zygmunta, wyjechał do Mohilowa, gdzie wysłał był swoje bagaże i konie, a króla zawiadomił, że zaraz z pod Mohilowa uda się do obozu królewskiego. Była to może umyślna zwłoka, by przekonać się, czy chwiejny Zygmunt, znający dobrze poglądy hetmana, nie rozmyśli się i nie zmieni decyzji. A jeśli tego spodziewał się Żółkiewski, to przewidywał trafnie: w Mohilowie otrzymał nowe pismo królewskie, zalecające mu jechać w dalszą drogę. Król wezwał Chodkiewicza.

Żółkiewski wyruszył dalej, a Zygmunt pozostał pod Smoleńskiem.

Tym razem upór króla doprowadził go do celu. Nadeszły do obozu polskiego ciężkie działa z Tykocina, Wilna i Rygi. Z pomocą tych dział w murach fortecznych uczyniono nareszcie poważne wyłomy. Na rozkaz króla Jakób Potocki poprowadził rycerstwo



Oddawanie cara Wasyla Szujskiego i jego braci król. Zygmuntowi III.
Obraz Delabolli.

do walnego szturmu. Dzielnie broniła się załoga moskiewska pod wodzą mężnego Szehina, ale Polacy przezwyciężyli opór i wdarli się na mury. Śród walki, która rozgorzała w twierdzy, w ogniu stanęło mnóstwo budynków. a płomień przerzucił się i na cerkiew, w której lochach mieścił się wielki skład prochu. Nastąpił okropny wybuch. Rozpękła się ziemia, jakby zwaliło się na nią zgruchotane niebo, runęły potężne mury. Klęska ta, spowodowana podobno przez samych Moskali, złamała resztki oporu i oddała twierdzę w ręce Polaków.

W ten sposób w dniu 11 czerwca 1611 roku po dwudziestu miesiącach dzielnej obrony Smoleńsk został zdobyty.

Sam wódz Szehin, mnóstwo jeńców, wszystkie ocalałe od pożaru bogactwa, broń i działa forteczne dostały się w ręce zwycięzców.

Wielka radość zapanowała w obozie polskim.

Radował się szczególniej król, gdyż zdobycie Smoleńska wielką okrywało go chwałą i osiągało główny cel, dla którego podjął wyprawę. Ale zwycięstwa tego nie umiał wykorzystać. Nadaremnie doradzano mu, aby, korzystając z wrażenia, wywołanego upadkiem potężnej twierdzy, wyruszył natychmiast na Moskwę i opanowaniem stolicy uwieńczył swe powodzenie. Zadowolony osiągniętym triumfem, nie marzył o nowych wawrzynach. Zamiast do Moskwy, postanowił jechać na sejm do Warszawy. Jakoż zgodnie z tym zamiarem, rad, że po trudach oblężenia będzie mógł wypocząć, zaniechał opanowania Moskwy i wyruszył nad Wisłę. W drodze spotkał się z Chodkiewiczem. Jemu to polecił zaopiekować się pozosta-

wioną w stolicy carskiej załogą, a sam pośpieszył na obrady sejmowe.

W całej Polsce rozbrzmiewała sława zwycięskiego rycerstwa. Zdobycie przez Żółkiewskiego Moskwy, świetne zwycięstwo pod Kłuszynem i wydarcie Moskalom potężnej twierdzy dumą napełniało szlachtę. A król, rad wielce z dokonanego dzieła, postanowił uroczyście święcić w Warszawie odniesione zwycięstwa. Jednakże nie król, lecz pogromca wojsk carskich z pod Kłuszyna i zdobywca Moskwy stał się tych uroczystości bohaterem.

Zażegnawszy szczęśliwie zbierającą się nad Wołoszczyzną burzę, Żółkiewski również przybył na sejm do Warszawy.

Nadszedł dzień 29 października 1611 roku, przeznaczony przez króla na wielką uroczystość.

Dnia tego ludność Warszawy oglądała niezwykłe widowisko. Oto o godzinie 4-ej popołudniu ukazał się na Krakowskiem Przedmieściu długi szereg przepysznych karoc i powozów, wiozących ku zamkowi królewskiemu znakomitszych jeńców, wziętych do niewoli przez rycerstwo polskie w Moskwie i Smoleńsku. W przedostatnim pojeździe, zaprzężonym w sześć pysznych, a białych, jak śnieg rumaków, jechał hetman Żółkiewski, otoczony konnym orszakiem paradnie ubranych rotmistrzów. W następnej otworzystej karocy samego króla, również w sześć pięknych koni zaprzężonej, siedział car Wasyl Szujski w bogatej białej szacie, gęsto przetykanej złotem. Na głowie cara widniał szłyk, to jest bogata czapka z marmurków. A na przeciw cara siedzieli dwaj jego bracia, Dymitr i Iwan, obaj ubrani w aksamitne stroje o barwie płonącego szkarłatu.

Tłoczyły się tłumy, by przyjrzeć się zbliska pojmanym do niewoli dostojnikom i nasycić oczy widokiem potężnego do niedawna cara. Z uczuciem dumy spoglądano na owego władcę olbrzymich obszarów, zaciekłego wroga Polski, sprawcę strasznej rzezi moskiewskiej, tyrana i okrutnika, budzącego niedawno grozę, a dziś jeńca, wiezionego triumfalnie ulicami Warszawy. Ponure oczy Wasyla rzucały niespokojne spojrzenia na cisnące się tłumy, a w duszy carskiej gościć musiał niepokój, bo wiedział, że za chwilę losy jego rozstrzygać się będą.

A gdy cały orszak zatrzymał się przed zamkiem, hetman wysiadł z karety, zbliżył się do cara, ujął go za rękę i wraz z braćmi wprowadził do zamku. Po chwili Żółkiewski z Szujskimi ukazał się w wielkiej izbie senatorskiej, gdzie na wysokim tronie w otoczeniu senatorów i posłów czekał już król Zygmunt.

Na widok jeńców z carem na czele, poruszyli się obecni i radosny okrzyk dobył się z piersi świetnego zgromadzenia. Szujscy zbliżyli się do tronu. Umilkły wszystkie głosy i uroczysta cisza oczekiwania wypełniła salę Car moskiewski, mnąc niespokojnie swój szłyk, oddał wraz z braćmi głęboki pokłon królowi polskiemu. Potem nie bez strachu rzucił dokoła oczyma. I na niego skierowane były oczy wszystkich obecnych.

— „Przypatrował mu się, — brzmi opis współczesny, — król jegomość sam, przypatrowali panowie senatorowie i panowie posłowie wszyscy i Pana Boga za to w sercach swoich chwalili"...

Wasyl był niespokojny, a musiał chyba zadrżeć w głębi swej duszy, gdy oczy jego spotkały się z pałającym wzrokiem wojewody Mniszcha, ojca Maryny,

teścia zamordowanego Dymitra, niedawno więźnia Wasyla, obecnie wolnego Rzeczypospolitej senatora, który mógł powstać i upomnieć się o doznane krzywdy i żądać kary dla swego ciemięzcy i tyrana. Jakoż na widok cara różne uczucia miotały sercami zgromadzonych przedstawicieli Rzeczypospolitej. Przemogło wkońcu współczucie dla więźnia i szept litości, tak łatwo sercom polskim dostępnej, rozległ się w sali.

Lecz niebawem umilkło wszystko, bo oto zabrał głos zwycięski hetman i zwrócił się z mową do króla.

Wskazując na Wasyla, mówił o nim najpierw, jako o następcy wielkich carów moskiewskich, co byli tak groźni królom polskim i straszni niemal całemu światu. Wyliczył tu państwa, carstwa, księstwa, prowincje, zamki, nad któremi rozciągała się potęga więźnia, a później wspomniał o zmiennych kolejach losu, który tego mocarza i jego braci przywiódł do podnóża tronu polskiego, jako jeńców, wyzutych ze wszystkiego, bijących czołem przed królem i błagających go o łaskę i miłosierdzie.

Na te słowa pochylił się car, prawą ręką dotknął ziemi i na znak pokory ucałował swą rękę. Jednocześnie Dymitr Szujski głową uderzył o posadzkę, zaś najmłodszy Iwan potrzykroć bił czołem i ,płakał. jak dziecko.

A hetman dalej ciągnął swą mowę, przypisując świetne powodzenie oręża polskiego nie sobie, lecz Bogu. Wspomniał następnie o niecnych czynach, przestępstwach i krzywoprzysięstwie Wasyla, a wkońcu raz jeszcze mówił o niedoli więźniów i polecał ich wspaniałomyślności króla.

Na te słowa znowu car Wasyl „z bracią swoją, dotykając się ręką ziemi i czołem bijąc z wielkiem uniżeniem, milcząc, prosili”.

Kazał król jeńcom powstać i na znak łaski przypuścił wspaniałomyślnie cara i jego braci do ucałowania swej ręki.

A potem zabrał głos kanclerz wielki koronny i w imieniu króla dziękował Żółkiewskiemu za czyny, których ku wiekopomnej chwale Rzeczypospolitej dokonał.

— „Sama sława, — mówił kanclerz, zwracając się do hetmana, — imię waszmości w daleką rozniesie potomność, boś to sprawił, co nad siły i nad wszelkie było oczekiwanie”.

Po kanclerzu przemówił marszałek sejmowy i również składał dzięki hetmanowi oraz wszystkiemu rycerstwu, co pociągnęło na wojnę z Moskwą i, nie żałując wielkich trudów, nie żałując krwi, życia, ni mienia, przyczyniło się do wspaniałego triumfu Rzeczypospolitej.

„Była to, — czytamy we współczesnym opisie, — audjencja wielka, było widowisko dziwne i litość wzbudzające”. Nie wszyscy przecież poddawali się uczuciom litości. „Przy tym akcie tak sławnym, wielkim i nigdy w Polsce niewidzianym, ci, co głębiej rzeczy uważali, — mówi autor opisu, — byli zdania, że trzeba przypomnieć silniej zdradę i niecnoty jeńców. „zwłaszcza cara samego” i ukarać go za dokonane zbrodnie oraz znieważenie posłów króla jegomości. Dobroć pana, królom polskim wrodzona, smutku smucącemu się żadnego przydawać z łaski swej pańskiej nie dopuszczała”...

Więc po skończeniu ceremonji z uszanowaniem odprowadzono cara i jego braci do wyznaczonych im mieszkań, a później odwieziono na stały pobyt do zamku gostyńskiego *).

Król dla upamiętnienia wielkiej uroczystości polecił malarzowi swemu Dolabelli namalować obrazy, przedstawiające wzięcie Smoleńska i scenę korzenia się przed tronem cara Wasyla oraz jego braci **).

Uroczystość ta odurzyła słabe głowy szlachty.

— „Publiczna radość, — pisał biskup Paweł Piasecki, — tak skaziła rozsądek sejmujących stanów, że przez cały ciąg obrad, jakby już po zupełnem zawojowaniu, o niczem więcej nie traktowano, tylko o przyłączeniu państwa moskiewskiego do ciała Rzeczypospolitej i obróceniu jego w prowincję polską"...

Zarozumiałość i pewność siebie szlachty sprawiła, że na dalszą wojnę z Moskwą uchwalone przez sejm podatki, wyniosły zaledwie 100 000 czerwonych złotych, co nawet nie stanowiło dziesiątej części żołdu, należnego rycerstwu, które pociągnęło na wojnę moskiewską i inflancką. O tem zaś, aby opłacić żołnierzy, popierających w swoim czasie na własną rękę szalbierza, nie chcieli posłowie słyszeć, twierdząc, że

*) Car Wasyl i brat jego Dymitr po roku niewoli zmarli w zamku gostyńskim. Zwłoki cara król Zygmunt polecił sprowadzić do Warszawy. Zbudował dla nich kapliczkę naprzeciw kościoła św. Krzyża i tam je złożyć kazał. Najmłodszy Iwan odzyskał wolność.

**) Dolabella spełnił życzenie króla. Obrazy jego znajdowały się w zamku królewskim w Warszawie jeszcze za panowania Augusta II, który te cenne pamiątki ofiarował Piotrowi Wielkiemu. Piotr oba obrazy miał wywieźć do Petersburga.

żołd tym oddziałom należny, nic Polski obchodzić nie może. Tymczasem tylko wypłacenie żołdu mogło uspokoić i zjednać owe chorągwie, które wprawdzie dla własnych zysków, rozpoczęły wojnę, ale walczyły z nadzwyczajnem męstwem, a wobec zadań, czekających Rzeczpospolitą, mogły oddać największe usługi.

Niestety, skarb świecił pustkami, a zaślepienie szlachty lekceważyło wszelkie niebezpieczeństwa.

Widział Żółkiewski, że dzieło, którego dokonał, nie przyniesie spodziewanych owoców, lecz był bezradny i bezsilny. Plany jego podważyła jeszcze nieufność, żywiona do króla przez ogół szlachecki. Ten ogół nie przestał obawiać się intryg i knowań Zygmunta. A nieufność posunęła się tak daleko, iż Zygmunt zmuszony był przyrzec, że każdy nowy nabytek na carstwie moskiewskiem, wcielony będzie do Korony i Litwy, że z tych nabytków nic nie przywłaszczy ni sobie, ni potomstwu.

Rzeczywistość srodze miała zadrwić z różowych nadziei lekkomyślnej szlachty.

Wprawdzie Chodkiewicz, w którym król wielką pokładał ufność, wkroczył do Moskwy, ale wkroczył, prowadząc ze sobą zaledwie 2,000 żołnierzy, niepłatnych i niesfornych, a grożących nieustannie buntem. Oblężeni w Moskwie Polacy z niezmierną radością przywitali przybyłe posiłki, lecz radość nie trwała długo. Pomiędzy żołnierzami i dowódcami różnych oddziałów rozpoczęły się niesnaski, burdy, intrygi, z któremi nie mógł dać sobie rady znakomity wojownik. Wkońcu wybuchł bunt. Wojsko postanowiło opuścić Moskwę. Nadaremnie Chodkiewicz obiecywał szybkie przybycie królewicza Władysława, nadaremnie groził i prosił naprzemian. Kto chciał, szy-

kował się do odwrotu. Dzięki nadzwyczajnym wysiłkom hetmana 3,000 żołnierzy wycieńczonych i zdemoralizowanych zgodziło się zostać pod dowództwem Gosiewskiego w Moskwie, lecz sam Chodkiewicz z resztą zbuntowanych pułków zmuszony był opuścić stolicę. A wojsko zawiązało konfederację i wypowiedziało wodzowi posłuszeństwo. Nieszczęsny hetman z małą garstką żołnierzy opędzał się Moskalom i zasilał żywnością pozostałych w stolicy, a zewsząd naciskanych Polaków. Czyniąc, co tylko dzielność uczynić jest w stanie, jak zmiłowania boskiego czekał na przybycie króla.

Ale król nie mógł zebrać wojska. Starostowie nie dostarczali wybrańców, a rycerstwo, opuściwszy plac boju, powróciło do ojczyzny i zawiązało trzy konfederacje, z głównemi siedzibami w Brześciu Litewskim, we Lwowie i w Bydgoszczy. Pustosząc dobra królewskie i duchowne, ani myślało słuchać wezwań Zygmunta. Naprożno król groził i naprożno prosił, nadaremnie przekładał buntownikom Żółkiewski, że męstwo, jakiego złożyli dowody, obróci się w pośmiewisko u potomności. Konfederaci, żyjąc łupiestwem i grabieżą, niczem nie dali się poruszyć.

Nie miała tedy Rzeczpospolita sił na dalszą wojnę z Moskwą, a przecież w tym samym czasie Stefan Potocki zdołał zgromadzić na swój prywatny użytek z górą 6,000 wojska i z tą siłą wyruszył do Multan, by szwagrowi swemu, Konstantemu Mohile, straconemu za wolą sułtana z hospodarstwa, przywrócić utraconą nad tym krajem władzę. Potocki, osaczony niespodzianie przez 30,000 Tatarów, poniósł najstraszniejszą klęskę, wytracił swe wojsko, a sam dostał się

do niewoli. Przy hospodarstwie utrzymał się popierany przez Turcję Stefan Tomża.

Dzięki wdaniu się Żółkiewskiego, nowy hospodar obiecał pozostawać z Polską w przyjaznych stosunkach i uwolnić Stefana Potockiego oraz towarzyszów jego z niewoli. Ale karygodna, a nad wyraz lekkomyślna wyprawa fatalne pociągnęła za sobą następstwa. Czterdzieści tysięcy Tatarów wpadło przez Multany do Polski i rozpoczęło straszliwe dzieło zniszczenia. Dla odparcia tej napaści nie było żołnierza. Na szczęście miała Rzeczpospolita Żółkiewskiego, który samym urokiem swego imienia i groźbą rozpoczęcia okropnej wojny wielkiemi siłami, któremi nie rozporządzał, powstrzymał zapędy Tatarów i zapobiegł dalszemu pustoszeniu nieszczęsnej ziemi nadgranicznej.

Śród takich okoliczności, dopiero w październiku 1612 roku, król na czele 3,000 najemnej piechoty niemieckiej i maleńkiego orszaku Polaków, ruszył na wojnę z Moskwą. Wiódł teraz ze sobą syna Władysława, w nadziei, że osoba królewicza ułatwi mu wejście do stolicy carskiej. Spodziewał się również, że w Smoleńsku pomnoży swe hufce, że na głos jego poruszą się i skupią rozproszone siły rycerstwa. Lecz zawiódł się srodze. W Smoleńsku nieopłacone wojsko nie chciało słuchać ni próśb, ni rozkazów, a gdy pomimo to król wyruszył w drogę do Moskwy, zaledwie 1,200 jazdy pociągnęło za nim. Niestety, było już zapóźno. Chodkiewicz, z którym Zygmunt połączył się w Wiaźmie, odcięty był od stolicy. A w samej Moskwie załoga polska, rozdzierana niesnaskami, cierpiała najstraszniejszy głód. Już nie Gosiewski, zmuszony intrygami do oddalenia się z Moskwy, lecz starosta chmielnicki, Struś, kierował obroną. I on prze-

cież nie zdołał zapobiec waśniom, ani polepszyć położenia. Żołnierze polscy, osaczeni zewsząd pożarem nienawiści, a zagrożeni powstaniem, którem z wielką energją kierował książe Pożarski przy pomocy rzeźnika Minina, cierpieli niewysłowione katusze. Zamknięci na małej przestrzeni pasmem zasiek i fortyfikacyj, odcięci od świata, żyli mięsem zdechłych koni, jedli psy, szczury, myszy, lecz pomimo nędzy, głodu i nieustannych kłótni, trzymali się na stanowisku, w tem przekonaniu, że z tego piekła wyzwoli ich odsiecz.

Ale czas płynął, siły wyczerpywały się, a król nie przybywał. Zrozpaczona załoga, straciwszy wszelką nadzieję pomocy, postanowiła kapitulować. Przystąpiono do układów. Moskale pod przysięgą zapewnili Polakom bezpieczeństwo życia i wolny powrót do ojczyzny z bronią i bagażami. 22 października 1612 roku żołnierze polscy wyruszyli z twierdzy. Lecz gdy Moskale zamiast pysznego, a budzącego grozę rycerstwa, ujrzeli garstkę nędzarzy, ledwo wlokących nogi, podobnych raczej do cieni, niż do żywych ludzi, zapomnieli natychmiast o złożonej przysiędze. Wojska moskiewskie wraz z Kozakami z dziką zajadłością rzuciły się na omdlewających ze znużenia i głodu żołnierzy. Rozpoczęła się walka, zakończona najstraszliwszą rzezią. Zaledwie sam Struś z garstką starszyzny zawleczony do turmy, zdołał ocalić swe życie. Resztę załogi bezlitośnie wymordowano.

Na króla, idącego opanować Moskwę, jak grom spadła wiadomość o tem wydarzeniu. Zrozumiał, że nie wejdzie, jako zdobywca do stolicy carów, że kuszenie się o zdobycie Moskwy nie rokuje już powodzenia. Gdy nadto nikt z Moskali nie zjawiał się

w obozie królewskim, aby bić czołem i witać cara Władysława, gdy zewsząd tylko niepomyślne przychodziły wieści, Zygmunt zwątpił ostatecznie o możności dalszego pochodu i z wielkim wstydem rozpoczął odwrót ku granicom Rzeczypospolitej.

A w lutym następnego roku na tron carski wyniesiony został przez Moskali piętnastoletni Michał Romanow, syn metropolity Filareta, którego w swoim czasie król rozkazał uwięzić i odwieźć do Polski.

W gruzy runęły wielkie zamysły Żółkiewskiego.

IX.

W ŻÓŁKWI.

Śród ciągłych niebezpieczeństw, w nieustannej służbie publicznej, w radzie, w obozach i na polu bitwy upływało życie Żółkiewskiego. Nadwyrężył swe zdrowie, stargał swe siły, zestarzał się, czuł się wyczerpanym, znużonym, a dobrze zasłużył sobie na odpoczynek przy ognisku domowem.

Ale Rzeczpospolita ciągle potrzebowała jego głowy i szabli, a stary hetman, aczkolwiek często odrzucano jego rady, aczkolwiek nieraz widział, że okoliczności silniejsze są nad jego rozum i wolę, nie zniechęcał się niczem, jeździł na sejmy do Warszawy, brał udział w naradach senatorów, najczęściej przecież zdala od stolicy, zdala od intryg i zawiści dworskich, stał z garstką wojska na czele powierzonych jego pieczy granic i w ciągłych pochodach, walkach, obrotach wojennych nieustannie narażał swe zdrowie i życie. Wszelką myśl swoją, jak sam się wyraził, „utopił w sprawach Rzeczypospolitej”...

Rzadkie to były miesiące, gdy mógł zawitać do swoich włości i w otoczeniu rodzinnem odpocząć po trudach bitewnych i zająć swój umysł osobistemi spra-

wami. W tych rzadkich chwilach zjeżdżał do owych uroczych stron, w których upłynęły mu lata chłopięce i zamieszkiwał w ulubionych Winnikach, ciesząc się szczęściem rodzinnem.

Wobec rzadkiej obecności hetmana w domu, sprawami majątkowemi zarządzała żona, Regina z Herburtów Żółkiewska, krewna Jana Zamoyskiego, najwierniejsza towarzyszka życia, niewiasta pełna zaparcia się i poświęcenia, rozumiejąca dobrze potrzeby kraju i dzielnie wspierająca męża.

„Domowe insze rzeczy, — pisał hetman w testamencie swym, zwracając się do żony, — o sprzętach, o dochodach, tobie lepiej, niźli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach Rzeczypospolitej utopił, swoich zaniedbawszy".

Jakoż pod rządami pani Reginy rozrastała się piękna fortuna hetmańska i pod jej okiem rosło troje dziatek: syn Jan oraz dwie córki: Zofja i Katarzyna. Pani hetmanowa osobiście przygotowywała małżonka na każdą wyprawę, brała żywy udział w sprawach, które zaprzątały jego wielki umysł, sama krzątała się o posiłki, gdy hetman z małą garstką rycerstwa wyruszał przeciw przeważającym siłom wroga i w ciężkiem znajdował się położeniu. Z jej listów przeziera natura serdeczna i tkliwa, wyrozumiała na błędy i słabości ludzkie, ale sama od słabości wolna: dobre serce szło w parze z dzielnym charakterem.

Syn Jan, jako jedynak, był źrenicą oka obojga rodziców. On miał odziedziczyć po ojcu majątek i świetne imię. A że przejawiał wielkie zdolności, że chętnie garnął się do nauki, celując zwłaszcza w naukach matematycznych, więc też wielkie budził nadzieje. Rodzice bardzo dbali o jego wychowanie,

choć hetman nie chciał, by w obcych krajach zdobywał wiedzę.

— „W Zamościu się zaczęła,— pisał Żółkiewski — nauka godna dzieci szlacheckich i wolę, że go tu w Polsce, niźli gdzieindziej do cudzej ziemi uczyć dasz".

Ale że była to ostatnia wola hetmana, więc nie sprzeciwiał się wyjazdowi syna za granicę, gdyby tak postanowili opiekunowie. W takim razie prosił tylko żonę, by wystarała się o dobrego wychowawcę, czyli inspektora, bo jak pisał „wielka część wychowania", ba! „wszystko niemal na inspektorze zależy"...

— „Jakiego kto chce mieć syna, — utrzymywał, — takiego ma mu dać inspektora".

Prosił więc, by był to inspektor „cnotliwy, bogobojny, dobrego rozsądku", a zarazem „rycerski człowiek"...

— „A gdy (syn) przyjdzie do lat dostalszych, albo królowi jegomości na dworze niech służy, albo żołnierską służbę, jeśli będzie w dobrym porządku. Lat młodszych koniecznie doma nie daj mu trawić, byś go zanadrzu chowała, przygody, jeśli Bóg jakie przejrzał, nie uchronisz. Za domowem mieszkaniem próżnowanie, za próżnowaniem wszystko złe w człowieku się rodzi"...

Tak w jednym ze swych testamentów pisał hetman do swej żony, a z tych słów widać, ile troskliwości poświęcał jedynakowi i jak wielce kłopotał się o jego losy i przyszłość. Pani hetmanowa również troskała się o ukochanego syna, ale jak świadczy jej list do krewniaka, Tomasza Zamoyskiego, podzielała najzupełniej poglądy męża i wierna tradycji rycerskiej, po rycersku wychowywała swego jedynaka.

W roku 1609 młodziutki Jan Żółkiewski, znajdując się wraz z panem Tomaszem w obozie, pisał do matki, uprzykrzywszy sobie wojaczkę, aby wstawiła się za nim do jegomości, by pozwolił mu wrócić do nauk.

— „Widzę, — pisała pani hetmanowa do Zamoyskiego, — że mu się już wojaczka sprzykrzyła, ale nie wadzi mu jeszcze przycierpieć nędzy w dymnej izdebce, żeby wiedział, co nędza, a potem, żeby umiał swoje szanować, jeśli będzie miał co kiedy. Nauka jest bardzo pożyteczna i sama jestem za tem, żeby wrócił po niejakim czasie do nauk, aczci i tam nie próżnuje. Widząc takie wojska i dzieła rycerskie, może się też nauczyć czego"...

Z innych listów, do Tomasza Zamoyskiego pisanych, widać, że miała swój własny zdrowy pogląd na sprawy, o których jej pan Tomasz donosił. Nad młodym Zamoyskim wolą jego ojca ustanowieni zostali, jak wiadomo, trzej opiekunowie, a jednym z nich był Mikołaj Zebrzydowski. Ten ostatni, zarządzając ordynacją, musiał nietęgo gospodarzyć, bo pan Tomasz, doszedłszy do pełnoletności, a piastując już godność wojewody kijowskiego, upominał się u Zebrzydowskiego o długi, które z czasów jego zarządu na ordynacji narosły. Spór między dwoma magnatami nie podobał się pani Reginie.

— „Trudna to sprawa, — pisała, odpowiadając na skargi pana Tomasza,—kiedy jeden chce wziąć, a drugi niema czego dać. Między waszmościami przyjdzie pono do tego, że wojewoda będzie się z bochenka chleba wyliczał. Nie żałował go nieboszczyk dobrodziej nikomu i waszmość tak czyń, a Pan Bóg waszmości będzie błogosławił. Proś nas raczej na wesele, niż się długów upominaj, mój panie wojewoda"...

Innym razem, gdy Tomasz już się ożenił, tak do niego pisała:

— „Ailżem zabawna wyprawić jegomości, pana małżonka mego na wojnę, jednak chciałam tą kilka słów waszmości wspólne zdrowie nawiedzić, zwłaszcza słysząc o jakiejś niesposobności jejmości samej. Jeśli tak, jako ludzie udają, trzeba waszmości wiedzieć: ze sklenicami i białemi głowami trzeba pomału jeździć i szanować dla spólnych pociech i błogosławieństwa bożego"...

Prosta, serdeczna, o zdrowym na sprawy domowe i publiczne poglądzie, pani hetmanowa, zarządzając olbrzymiemi dobrami, jednocześnie zajmowała się najtroskliwiej wychowaniem dzieci, które pozostawiły po sobie pamięć najlepszą.

Syn Jan, ku wielkiemu zadowoleniu rodziców, wyrastał na godnego spadkobiercę swego ojca. Wykształcony, zamiłowany szczególniej w naukach matematycznych, nie zaniedbywał rzemiosła rycerskiego, odznaczając się na placu boju roztropnością i męstwem. Starsza córka Zofja wydana została za mąż za Jana Daniłłowicza, wojewodę ruskiego, a szeroko zasłynęła czynami miłosiernemi. Jej to wnukiem był urodzony z Daniłłowiczówny, Jan Sobieski, przyszły król i bohater. Młodsza córka, Katarzyna poślubiła Stanisława Koniecpolskiego, sławnego wojownika, z czasem hetmana wielkiego koronnego.* Katarzyna wkrótce po zamążpójściu umarła, ale pomiędzy Koniecpolskim, wiernym towarzyszem broni Żółkiewskiego, a rodziną Żółkiewskich do końca życia utrzymywane były najserdeczniejsze stosunki.

Nieustanne napady Tatarów na Ruś Czerwoną, czyniły wysoce niebezpiecznem życie w rodzinnych



KOŚCIÓŁ w ŻÓŁKWI

chwili, w którejby Rzeczpospolita jego męstwu, roztropności i pracy nie zawdzięczała pomyślnego biegu spraw swoich.

Sprawiedliwe były to słowa, choć, jak wiemy, król nie spełnił szumnej zapowiedzi. Zrażony samodzielnością Żółkiewskiego, poskąpił mu wielkiej buławy po Zamoyskim i, nie bacząc na nowe a słynne dzieła hetmańskie, lata całe wstrzymywał się z mianowaniem hetmana wielkiego koronnego, nie mogąc bez popełnienia wielkiej niesprawiedliwości ominąć Żółkiewskiego, a nie chcąc mu tego dostojeństwa przyznać.

Przywilej królewski potwierdzał nazwę miasta, nadawał Żółkwi prawo magdeburskie i ustanawiał w niej cztery doroczne jarmarki. Gdy nadto hetman ogłosił, że wszyscy, co w Żółkwi zamieszkają, staną się wolnymi mieszczanami i mieć będą prawo do obioru władz miejskich, nowe miasteczko zaczęło się szybko rozrastać. Z różnych stron ciągnęli do Żółkwi rzemieślnicy, a więc puszkarze, bednarze, szewcy, krawcy, kowale, rymarze, paśnicy, powstawały nowe cechy, napływała ludność polska, ruska, ormiańska, wznosiły się nowe domostwa i nowe przybywały ulice.

Po latach pracy i zabiegów wspaniały zamek stanął nad jeziorem, miasto otoczone było wałami, a jeńcy tatarscy pracowali nad murem obronnym, nad wznoszeniem bram i baszt, które czyniły Żółkiew coraz poważniejszą warownią. Do zamku przylegał park, a w roku 1606 założony został zwierzyniec.

W mieście, na środku rynku ukończono w roku 1604 budowę wielkiego kościoła, który do dziś pozostał jednym z cenniejszych zabytków architektury owego czasu. Okazała budowla lśniła wewnątrz od drogich marmurów i bogatych złoceń, przykuwała

uwagę pysznemi malowidłami, a z biegiem lat, już po tragicznym zgonie hetmana, również wzbogacała się nowemi dziełami sztuki. Przy wielkim ołtarzu po prawej stronie do dziś zwracają na siebie uwagę widzów dwa wykute z czerwonego marmuru posągi, przedstawiające dwu zbrojnych rycerzy. Młodszy, trzymający buzdygan porucznikowski, to syn hetmana, Jan, — starszy z buławą w jednej, a pieczęcią w drugiej ręce,—to sam Żółkiewski, hetman i kanclerz wielki koronny. Pod pomnikiem wyryte są jego zwycięstwa, a wielki obraz naprzeciw pomnika przedstawia słynną pod Kłuszynem rozprawę. Z drugiej strony widnieje pomnik matki i żony hetmana, przedstawiający je w stroju zakonnym. Taki ubiór nosiły, gdy mężowie byli na wojnie i w takim ubiorze zostały pochowane. Z latami przybywały nowe pamiątki i obrazy, a pośród tych ostatnich na wyróżnienie zasługuje wielki obraz, wyobrażający wyswobodzenie Wiednia przez Jana III, prawnuka Żółkiewskiego.

Przy kościele założył hetman szpital dla ubóstwa, nad którem starszy szpitalny obowiązany był roztaczać opiekę oraz szkołę, w której mieszczanie żółkiewscy kształcili swe dzieci.

Pomny, by żyć w zgodzie z ludem ruskim, Żółkiewski zbudował również cerkiew pod wezwaniem Narodzenia Pańskiego i obdarzył ją specjalnym przywilejem. Na mocy tego przywileju, jak przy kościele powstała i przy cerkwi dla dzieci wyznania greckiego szkoła, założony został szpital, a duchowieństwo greckie miało zapewnioną zupełną swobodę przy spełnianiu wszystkich swych obowiązków.

„A jako po dziś dzień, — pisał hetman w swym przywileju, — ludzie religji greckiej spólnie z katoli-

kami na urzędy wójtowski i radziecki obierani są, tak i potem przy tej prerogatywie mają być zachowani. W czem wszystkiem obiecuję sam zachować i za potomki swe, że się od nich dosyć stanie i przy tych wolnościach, które tu są opisane, cerkiew pomieniona cale będzie zachowana po wieczne czasy"...

I pilnie stał na straży nadanego ludności ruskiej przywileju.

Gdy w kilka lat później powstał spór pomiędzy mieszczanami obu wyznań, podstarości miejscowy stanął po stronie katolików i oświadczył, że odtąd żaden mieszczanin religji greckiej nie może być obrany ni wójtem, ni rajcą, gdyż tego wzbrania kanon kościoła katolickiego i taka jest wola dziedzica Żółkwi. Sprawa wytoczyła się przed hetmana, ale ten wystąpił przeciw podstarościemu i w jego obecności wyraził swe odmienne zdanie.

— „To, com im raz dał,—powiedział Żółkiewski,— i na przywileju cerkiewnym warował, psować im tego nie chcę, ani odejmować, owszem, ten przywilej ich we wszystkich punktach, klauzulach i kondycjach aprobuję... i jako tu jest zdawna ten zwyczaj od osady miasteczka tego, że religji greckiej po wszystkie czasy bywali do radzieckiej i wójtowskiej ławicy po jednemu obierani, tak i teraz rozkazuję, aby przez rok... i na potem w zgodzie i miłości spólnej bez żadnej turbacyi byli obierani"...

Widać z tych słów, w jakiem poszanowaniu miał hetman lud ruski i jak daleki był od fanatyzmu religijnego, który za panowania Zygmunta III niejednokrotnie przejawiał się jaskrawo z wielką szkodą dla dobrej sławy Polski, szeroko słynącej po świecie swoją olerancją. Sprawiedliwy dla ludzi bez względu na

ich pochodzenie i wyznanie, miłosierny, uczynny, dostępny, otoczony szacunkiem wszystkich, co umieli uczcić prawdziwą zasługę, bywał Żółkiewski niejednokrotnie rozjemcą w wielkich sporach, które toczyły ze sobą rody magnackie, a od których drżała w swych posadach Rzeczpospolita. Za jego sprawą stanęła w zamku żółkiewskim ugoda pomiędzy potężnemi rodami Herburtów a Stadnickich, za jego wdaniem się ustawały nieporozumienia pomiędzy kłócącą się szlachtą, jego słowo powstrzymywało nieraz rycerzy od dochodzenia gwałtem swych żądań. To też zamek żółkiewski wielką cieszył się sławą i powagą, a w jego gościnnych murach niejeden szukał pomocy, rady, pociechy, lub choćby tylko łaskawego chleba. Gdy hetman bawił w domu, gromadnie zjeżdżali się do Żółkwi znajomi i przyjaciele, aby nacieszyć się towarzystwem znakomitego męża, przyjrzeć się zamkowi oraz pięknemu miastu, które wola hetmańska powołała do życia.

Sam hetman podczas pobytu swego w zamku żółkiewskim, najchętniej w wolnych chwilach spędzał czas na czytaniu ksiąg historycznych, w których, jak już wiadomo, wielce był rozmiłowany. Sam też opisał swą na Moskwę wyprawę, a opisał z niezwykłą prostotą, pozostawiając własne zasługi w cieniu, pomijając wiele czynów, któremi słusznie mógłby się był chlubić. Nic nie wspomina o wyprawionej bojarom uczcie, w czasie której rozdał im nie tylko wszystkie swe kosztowniejsze sprzęty, ale i dary za własne pieniądze od rotmistrzów zakupione. Nic również nie mówi o uroczystem przyjęciu, jakiego doznał pod Smoleńskiem, nie chełpi się sceną oddawania cara Szujskiego królowi i żadnej nie przypisuje sobie za-

sługi. Dzieło to, noszące tytuł: „Początek i progres wojny moskiewskiej”, pisane na wzór Juljusza Cezara, (autor mówi o sobie w trzeciej osobie) jest jasne, zwięzłe, proste, ma w sobie sumienność i powagę dziejopisa, a tem się różni od innych pism Żółkiewskiego, że bardzo rzadko odznacza się owym tonem ciepłym, serdecznym i rzewnym, jakim szczególniej tchną listy hetmana. Godność i twarda cnota Rzymianina cechuje to w swoim rodzaju jedyne w piśmiennictwie polskiem dzieło, przepiękny pomnik skromności i prostoty wielkiego wodza i statysty!...

Po oddaniu cara Szujskiego wraz z braćmi w ręce króla na zamku warszawskim, hetman czas dłuższy, acz z licznemi przerwami, spędził w upiększanej nieustannie Żółkwi. Rozmyślając nad wydarzeniami, które milszą mu nad życie ojczyznę stawiały w położeniu coraz cięższem, ze smutkiem patrzył w przyszłość. Statystę napełniała trwogą krótkowzroczna polityka króla, zaślepienie sejmów, samowola magnatów i szlachty, a wodza przerażały nieustanne bunty wojska, rozprzężenie karności żołnierskiej i brak obrońców, gdy ludna a bogata Rzeczpospolita, otoczona dokoła wrogami, potrzebowała rąk i szabel ku swojej obronie. Gorący patrjota, szczęśliwy w pożyciu domowem małżonek i ojciec, czuł się opuszczonym i samotnym na widowni życia publicznego. Całego siebie oddał ojczyźnie, w jej sprawach wszelką myśl swoją utopił, lecz zamiast owoców swej pracy, widział coraz większe rozprzężenie państwa i coraz większy zanik cnoty publicznej, której sam był najdoskonalszem wcieleniem. Im bardziej zachodził w lata, tem smutniejsze dostrzegał zjawiska. To też w listach hetmańskich do przyjaciół i króla coraz częściej spotyka się sło-

wa smutne, żałosne. Myśli starca zwracają się ku Bogu z prośbą o zgon na polu walki w obronie ojczyzny i wiary chrześcijańskiej. Żółkiewski, nie chcąc wzorem starożytnych rycerzy, umierać we własnym domu na łożu boleści, marzy o śmierci bohaterskiej na placu boju i do takiej śmierci całe lata się przygotowuje.

„Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć Władysława króla, co u Warny zginął, niż wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy, — pisał Żółkiewski. — Ale to idzie wedle woli i obiecania Bożego. Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien. Jakożkolwiek Pan Bóg przejrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirytów. Jednak jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna pokryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwie dla Rzeczypospolitej a to nie dla chluby żadnej, lecz dla pamiątki i pobudki drugich do cnoty i nieszanowania się dla ojczyzny"...

Takie myśli nawiedzały hetmana, gdy bawił w ukochanej Żółkwi i w drogiem jego sercu otoczeniu rodzinnem rozpamiętywał wypadki, szarpiące skołataną Polskę. Nie wymawiał się od dalszej służby, szedł tam, gdzie wzywał go obowiązek, lecz szedł z cichą rezygnacją, nie pragnąc dla siebie już nic więcej, prócz śmierci chwalebnej za ojczyznę i wiarę.

A ta śmierć na placu boju stała się jakby marzeniem lat całych.

Mówi o niej w testamentach i listach, przed każdą wyprawą przygotowuje się do niej.

Los miał spełnić marzenie hetmana. Ale do kresu, o którym marzył. prowadziła go droga, na której piętrzyły się coraz boleśniejsze zawody i coraz srożej dawały się we znaki zawiści i potwarze. Szczęśliwy i zwycięski wódz, miał doznać u schyłku życia kilku niepowodzeń wojennych i ściągnąć na swą głowę gromy oburzenia. Srogi los żadnej mu nie oszczędził goryczy.

Cierniową drogą szedł hetman ku swemu przeznaczeniu.



Pomniki Stanisława i Jana Żółkiewskich w kościele w Żółkwi.

X.

NIEDOLA ŻÓŁKIEWSKIEGO.

Od czasów rokoszu Zebrzydowskiego Żółkiewski tracił popularność śród szlachty. Masa szlachecka uważała go za człowieka, oddanego królowi, król nie ufał mu, a możni panowie, których starożytne rody od wieków piastowały najwyższe w Polsce urzędy, z zawiścią spoglądali na dostojnika, co dawnością rodu nie mógł mierzyć się z nimi, a mimo wszystkie intrygi i przeszkody zdobywał coraz większe znaczenie i własną zasługą utrwalał w państwie swoją powagę. Pomimo tej powagi nie znajdował oparcia dla swoich zamierzeń i planów, gdyż z powodu surowych wystąpień przeciw konfederatom tracił wziętość i śród rycerstwa. Znakomity wojownik nie zważał na to i na sejmie lutowym 1613 roku energicznie wystąpił przeciw związkom wojska, samowolnie zajmującego majątki korony i duchowieństwa, a nie uznającego żadnej nad sobą władzy. Żółkiewski niejednokrotnie domagał się wypłacenia żołnierzom zaległego żołdu, ale wobec niebezpieczeństw, grożących zewsząd Rzeczypospolitej, traktował związki wojskowe, jak zbrodnie. Żądał więc, aby wobec wyzywającej postawy konfe-

deratów, jemu powierzono uregulowanie tej sprawy. Chciał najpierw przywrócić porządek, a później dopiero wypłacić zaległości, zaś względem opornych zastosować najsurowsze środki i choćby mieczem bunt stłumić.

Ale tej propozycji przestraszał się król, przeciwni jej byli panowie. Sejm rozszedł się, nie zażegnawszy zbierającej się burzy, a niemoc sejmu jeszcze bardziej rozzuchwaliła konfederatów. Doszło do tego, że zbuntowani żołnierze zaczęli rozdzielać pomiędzy siebie starostwa i wyznaczać administratorów ze swego ramienia. Teraz dopiero na dobre przestraszyli się zagrożeni w swych posiadłościach panowie i wymogli na królu, że na grudzień 1613 roku zwołał sejm nadzwyczajny dla ułagodzenia konfederatów.

Czterej wysłannicy wojska zjechali do Warszawy, a taką wzniecili trwogę, że możni panowie, właściciele starostw, ubiegali się o względy buntowników i okazywali im wielką życzliwość. Samuel Maskiewicz, ten sam, który brał udział w sławnem pod Kłuszynem zwycięstwie, a był jednym z czterech wysłanników, z przechwałką wspomina w swoich pamiętnikach o zabiegach magnatów:

— „Poszanowanie wielkie mieliśmy na tym sejmie, miejsca nam nie naleźli, jeden przed drugim na bankiety się uganiali, tygodniem przedtem i dalej zapraszając nas na nie"...

Jakoż sejm uchwalił wszystko, czego zażądali konfederaci, nakazał nowe pobory, wynoszące razem 140 miljonów złotych i, zamknąwszy oczy na swywolę, na tysiączne przestępstwa i gwałty, mianował komisarzy do wypłacenia prędszego należnych wojsku zaległości. W kwietniu 1614 roku dokonano ostatecz-

nych rozrachunków i doczekano się wreszcie uroczystego rozwiązania konfederacji.

Protestował przeciw takiemu załatwieniu sprawy Żółkiewski, ale głos jego przebrzmiał bez echa.

A król, pozbywszy się straszliwego kłopotu, jakim było zbuntowane wojsko, rozmyślać zaczął, jakby coprędzej zakończyć wojnę moskiewską, której przebieg nie wróżył nic dobrego. Zniechęcony do tej wojny, napisał do Chodkiewicza, by starał się o zawarcie pokoju. Lecz wielki ten wojownik, opuszczony przez zbuntowane wojsko, a mający zaledwie 200 piechoty do obrony Smoleńska, ani chciał słyszeć o układach, których nie wsparłaby poważniejsza siła zbrojna. Więc wprost odpisał królowi: „żakamiby takie rzeczy odprawiać, ale nie mną”. I nie myślał o rozpoczęciu układów.

Król postanowił zawrzeć pokój za pośrednictwem cesarza, ale pośrednictwo zawiodło, a sił, pozwalających wojnę prowadzić dalej, nie posiada Rzeczpospolita. Dopiero sejm 1616 roku uchwalił niezbędne na prowadzenie wojny podatki, dzięki czemu w kwietniu następnego roku królewicz Władysław, tytułując się carem moskiewskim, wyruszył na czele rycerstwa polskiego ku granicom carstwa, by siłą zdobyć tron, na który przed siedmiu laty, dzięki Żółkiewskiemu, usilnie zapraszała go Moskwa.

Triumfowała myśl Żółkiewskiego, ale to, co ongi można było zdobyć bez wysiłku, wymagało teraz wielkich środków i nowej, uciążliwej wojny.

Pragnął król, aby Żółkiewski stanął na czele wyprawy, lecz hetman, pomny na swe dawniejsze względem Moskwy zobowiązania, nie przyjął propozycji i dawnym zwyczajem strzegł granic ojczystych i zbie-

rał siły, by przygotować się do wojny z Turcją, która w odwet za napady Kozaków mściła się nieustannie na Rzeczypospolitej najazdami Tatarów, a wreszcie sama postanowiła orężnie rozprawić się z Polską. Zółkiewski zawczasu ostrzegał króla o grożącem niebezpieczeństwie i o konieczności najszerszych przygotowań do wojny z potęgą sułtańską. W swoim czasie udało mu się zażegnać gniew Porty, wywołany nieszczęsną wyprawą Stefana Potockiego, lecz napaści Kozaków i nowa samowola panów polskich, znowu oburzyły sułtana. Oto spokrewnieni z Mohiłami książęta Samuel Korecki i Michał Wiśniowiecki postanowili pomścić klęskę Potockiego i wbrew zakazom króla, wbrew perswazjom, a nawet groźbom Żółkiewskiego, wpadli ze swemi hufcami na Wołoszczyznę i na własną rękę rozpoczęli wojnę z Turkami. Po kilku zwycięstwach ponieśli klęskę, którą łatwo było przewidzieć, a która znowu kosztowała wiele krwi polskiej. Wiśniowiecki umarł podczas tej wyprawy, a książę Korecki, pojmany do niewoli, przewieziony został do Konstantynopola i wtrącony do tej samej turmy, w której posępne dni pędził Stefan Potocki. Porta znowu wygrażała zemstą. Nadomiar nieszczęścia Kozacy, podburzeni przez cesarza Macieja, puścili się na swych lotnych czajkach przez morze Czarne, wylądowali w pobliżu Konstantynopola i wzniecili straszliwą pożogę. Sam sułtan, drżący z gniewu, patrzał z okien swego pałacu na wznoszące się dymy płonących włości, miast i bogatych portów. Przebrała się miara cierpliwości padyszacha. Nie mogąc liczyć na powagę Rzeczypospolitej, zarówno w stosunku do Kozaków, jak do magnatów polskich, rozgniewany sułtan postanowił posunąć swe wojska ku Dnieprowi,

opanować Ukrainę, utwierdzić swe władztwo w Kijowie, a Polskę mieczem przymusić do uznania swego zwierzchnictwa.

Turcja stała wówczas u szczytu swej potęgi, miała do rozporządzenia setki tysięcy fanatycznych wojowników, posiadała doskonałą organizację wojskową i straszna była całej Europie. Dla Rzeczypospolitej, rozdartej wewnętrznie, a prowadzącej już wojnę z Moskwą, był to wróg tak groźny, że Żółkiewski, mający dobre wiadomości o zamiarach sułtańskich, przewidywał katastrofę, jeśli Rzeczpospolita nie wytęży wszystkich sił ku swojej obronie. Więc prosił królewicza Władysława, by z całem wojskiem śpieszył na zasłonięcie zagrożonych przez sułtana kresów, a wyprawę na Moskwę odłożył do czasu uporania się z Turcją. Ale królewiczowi pilno było na tron carski, król Zygmunt, pewien tym razem powodzenia w wojnie z Moskalami, zalecał Żółkiewskiemu rozpoczęcie układów i usilne staranie się o pokój. Na wzmocnienie hetmana królewicz Władysław odesłał jedenaście chorągwi jazdy pod Marcinem Kazanowskim i garstkę piechoty. W ten sposób osłabił siebie, a Żółkiewskiego nie wzmocnił o tyle, by mógł stawiać czoło oczekiwanej lada chwila burzy. I oto zamiast zebrania wszystkich sił przeciw najgroźniejszemu wrogowi, rozpoczynano jednocześnie dwie wojny, z których jedna i druga nie miała wielkich widoków powodzenia.

Wobec takiego stanu rzeczy hetman z niepokojem spoglądał w przyszłość.

— „Ma na nas ten smok w sąsiedztwie tak wielkie wojska tatarskie, które, jako charty na smyczy trzyma, nie może żadnemu sąsiadowi potężny i sroższy być, jako nam, a będzie sobie lekceważyć siłę

i potęgę wszystkiemu światu straszną. Nie bez przyczyny, — pisał Żółkiewski do króla, — przodkowie nasi z wielką pilnością i ostrożnością strzegli się tego, żeby z tym tyranem w szranki nie wchodzić, gdyż dotąd, kto jeno z sąsiad. a byli możniejsi i rządniejsi, niż my, to czynił, żaden stąd pociechy nie odniósł"...

Przestrzegał Żółkiewski o niebezpieczeństwie i możnych panów, prosząc. by dla dobra Rzeczypospolitej i w interesie własnym śpieszyli połączyć z nim swoje hufce. Wszędzie dawał znać. że groźny wódz turecki, Iskiender pasza gromadzi liczne wojska i lada chwila wtargnąć może w granice Polski.

— „Daję o tem znać, — donosił Żółkiewski z Baru w lipcu 1617 roku księciu Zbaraskiemu. — do panów obywatelów wszystkich tych krajów, wzywając jako na gwałt, żeby się do gaszenia tego spólnego zapału ojczyzny rzucili i kto ochocz, do wojska przybywali"...

A w miesiąc później w liście do tegoż Zbaraskiego pisał z goryczą:

— „Raczysz wasza ks. mość pisać, żebym uniwersały napisał do panów obywatelów województwa wołyńskiego, w pośmiewisko je sobie ludzie obracali po te czasy i teraz wątpię, aby co pomogły"...

Nie mając dość sił, by szukać walki w otwartem polu, hetman okopał się pod miasteczkiem Buszą w pobliżu rzek Dniestru i Morachwy. Przeciw sobie miał 60.000 Turków, Tatarów, Wołochów i Węgrów, a wiedział, że stanowi jedyną osłonę Rzeczypospolitej, że w razie klęski cała Polska wydana zostanie na łup i zemstę straszliwego wroga. Wojsko było niekarne, panowie, co własne przyprowadzili hufce, nie uzna-

wali władzy hetmańskiej, a król nalegał, by czynić wszystko, aby doprowadzić do pokoju z Turcją.

Pod wpływem takich okoliczności Żółkiewski rozpoczął układy z Iskienderem paszą i we wrześniu 1617 roku zawarł z wielkim bólem serca układ, który był poniżającym dla Polski. Na mocy tego układu Chocim, do którego, jako do fortecy, hetman nie przywiązywał większego znaczenia, który przecież zwany był „zasłoną i tarczą od pogan", odstąpiony został Turcji. Dowódca fortecy, Mikołaj Iwoń, gdy wbrew umowie nie chciał oddać twierdzy, został ścięty, na żądanie Turków. Wypadło na żądanie wrogów spalić Berszadę, co, by oszczędzić narodowi wstydu, na własną rękę uczynił właściciel tego miasta, książę Zbaraski, wypadło opuścić stronników polskich na Wołoszczyźnie, zapewnić Tatarom upominki i zobowiązać się do poskromienia Kozaków. Punkty, dotyczące Multan i Wołoszczyzny, wytłumaczyli sobie Turcy, jako zrzeczenie się Rzeczypospolitej wszelkich praw do tych krajów. A Tatarzy bezkarnie splądrowali sporą połać kraju i uprowadzili z sobą liczny jassyr i bogate łupy.

Za taką cenę stanął pokój z Turcją.

Stało się, jak tego życzył sobie król, stało się, co wobec siły wroga i rozprzężenia wojska polskiego uznał Żółkiewski za smutną i bolesną konieczność. Stało się wreszcie to, czego spodziewać się należało. Oto przeciw poniżającemu traktatowi, zawartemu w Buszy, podniósł się olbrzymi krzyk. Hałasowali szczególniej przyjaciele książąt Koreckich i Wiśniowieckich, rozdzierali szaty niechętni hetmanowi panowie Sieniawscy, Zbarascy, owe królewięta polskie, owi potężni magnaci, co na swe usługi mieli tysiące szabel,

a nie posiadali ich w dostatecznej mierze na obronę ojczyzny.

Na sejmie 1618 roku hetman w ten sposób odpowiadał na czynione mu zarzuty:

— „Winowali mnie we dwóch rzeczach ludzie: jedna, żem pana Koreckiego nie ratował. Lecz nie mogłem bez woli waszej król. mości i bez wiedzy i zezwolenia Rzeczypospolitej; druga, żem nie zwiódł bitwy, nie poraził Skinderbaszy. Z młodości mojej nie byłem na to skąpy. Oświadczałem ochotę moją w krwawych bitwach z Kozaki, z Michałem wojewodą. Pod Rewlem zwiodłem bitwę z Karolusem, pogromiłem go. Pod Carowem Zamieściem, że mię i winowano, żem nazbyt skoro poszedł; więc i pod Kłuszynem zwyciężywszy nieprzyjaciela na szyję, hetmana, carskiego brata Szujskiego wziąłem i do stolice przyprowadziłem, bom się nie bał, tylko o wojsko. Widziałem to, jeślibym szwankował, nie mogłem stracić, jeno jedno wojsko, które insze było gotowe przy waszej król. mości, a jeślibym był wygrał, żem wszystko wygrać miał. Ale tu, gdzie szło o bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, gdyby było, uchowaj Boże, wojsko waszej król. mości szwankowało, musiałem się zatrzymać. Kiedyby pod Adrjanopolem, abo Konstantynopolem, w ziemi nieprzyjacielskiej, ważyłbym był wojsko, bo nie szłoby mi, jeno o zgubę wojska; gdyby Pan Bóg poszczęścił, mogłoby się dalej z wojskiem koronnem postąpić. Ale kiedy w granicach królestwa, gdzie posiłku żadnego, trochy tej, na którą się Rzeczpospolita ubezpieczyła, nie było bezpiecznie narażać na zgubę".

Na zarzut, że pozwolił Tatarom kraj plądrować bezkarnie, odpowiedział:



HETMAN STANISŁAW ŻÓŁKIEWSKI

— „Widziałem, kiedy Kantemir murza poszedł z obozu! Widzieliśmy dymy, rozumieliśmy, że w Wołoszech palili. Toż ja domyśliwałem się, że to naszych, ale trudno było wojsko rozdzielić, trudno było i gonić prędkiego nieprzyjaciela, który za cztery dni 70 mil odbieżał, aż ku Żydaczowu. To był ich fortel, abyśmy wojsko rozerwali... Ale wiedziałem, co na tem Rzeczypospolitej zależało, aby się było wojsko nie rozdwajało. Wolałem tej cząstki województwa jednego odżałować, niż wszystką Rzeczpospolitą w niebezpieczeństwo podać”...

W obronie swojej nie wspomniał tylko hetman o niesforności wojska, o niezgodzie panów, co go oskarżali, a sami byli jedną z główniejszych przyczyn nieszczęsnego traktatu. Nikt przecież nie śmiał wystąpić jawnie przeciw znakomitemu wodzowi, a król, który usilnie domagał się zawarcia z Turcją pokoju, postanowił wynagrodzić starca za doznane krzywdy. Jakoż teraz dopiero przyznał mu wakującą lat trzynaście wielką buławę, a nadto ku zdziwieniu wszystkich, a zazdrości wielu magnatów, przedewszystkiem zaś książąt Zbaraskich, oddał Żółkiewskiemu i wakującą podówczas wielką pieczęć koronną.

W ten sposób u schyłku swego życia, bo mając już lat 70, połączył Żółkiewski w swojej osobie dwa najważniejsze w Rzeczypospolitej dostojeństwa: hetmana i kanclerza wielkiego koronnego.

Nie umilkły przecież nienawistne Żółkiewskiemu głosy. Szlachta zarzucała mu brak odwagi, opieszałość, niedołęstwo, pomawiała niemal o zdradę. Pierwszy Rzeczypospolitej dygnitarz, najzasłużeńszy obywatel polski, stał się celem drwin i szyderstw, przedmiotem najpotworniejszych obmowisk i potwarzy.

Spóźniona łaska królewska wzmogła tylko niemal powszechną ku wielkiemu człowiekowi zawziętość. Ale Żółkiewski, nie tracąc sił na walkę z podłością ludzką, innych wrogów miał przed oczyma. W maju 1618 roku Tatarzy znowu przekroczyli granice Rzeczypospolitej i zapędzili się aż do Brzeżan i Stryja. Wielki hetman koronny zaledwie z tysiącem rycerstwa wyruszył przeciw najezdnikom. I wtedy właśnie, gdy najbardziej bezczeszczono jego imię, tak pisał do Tomasza Zamoyskiego:

— „Stanę, zasłaniając Rzeczpospolitą... w jakim takim orszaczku: nie kryłem oczu, nie zamykałem się, stawiłem zdrowie na szańc. Daj tylko, Panie Boże, bym położeniem go mógł Rzeczypospolitej posłużyć”...

I wyparł hordę z granic Polski i do nowych szykował się zapasów, gdyż przez zaufanych ludzi otrzymywał wiadomości, że Porta, niezadowolona z pokoju, znowu przygotowuje się do wojny, a Tatarzy pod wodzą samego Dewlet Gireja i straszliwego Polakom Kantemira ciągną ku granicom Rzeczypospolitej.

Wielki hetman koronny znowu przestrzegał króla i magnatów o wielkiem niebezpieczeństwie i wzywał wszystkich, by skupili się wkoło niego dla odparcia najazdu. Tym razem udało mu się zgromadzić poważną siłę, gdyż ogółem wojsko polskie wynosiło 5,000 husarzy, 6,000 piechoty i 12,000 Kozaków. Latem 1618 roku hetman postąpił naprzód i okopał się w pobliżu Kamieńca pod Oryninem. Z wojskiem, które zgromadził, na wiele można było się ważyć, ale cóż kiedy „niezgoda i niedufność” rozdzierały obóz polski.

— „Książęta Zbarascy, Wiśniowieccy, Sieniawscy, Czartoryscy,—świadczy niechętny hetmanowi Samuel

Maskiewicz, — którzy osobami swemi w obozie byli, nie chcieli się pod regiment hetmański poddać".

Jakoż w tem wojsku, mogącem dokonać wielkich czynów, każdy z magnatów sam sobie był wodzem, każdy działał na własną rękę i nie uznawał władzy hetmana.

Nawet w obliczu Tatarów, którzy nadciągnęli wielką ordą, nie ustawały niesnaski i wyrzekania na działalność wodza. A jak dalece nie szanowano już jego władzy, świadczy fakt, że nawet Tomasz Zamoyski, tak bliski sercu Żółkiewskiego, uległ zarazie samowoli i mając 3,000 własnego wojska, stanął na miejscu osobnem, by nie poddać się rozkazom hetmańskim.

Z takiem wojskiem niesfornem, z dowódcami, którzy działali na własną rękę, Żółkiewski nie odważył się występować zaczepnie i podobnie, jak w roku ubiegłym pod Buszą, trzymał się odpornie. Sarkało rycerstwo, ale hetman nawet na harc nie pozwolił wyjeżdżać. 29 września (1618 r.) Tatarzy zaatakowali obóz polski, a gdy krwawo zostali odparci, uderzyli wielkiemi siłami na stojącego osobnym obozem Tomasza Zamoyskiego. Kantemir murza dziewięć razy wiódł do szturmu swe szyki. Zamoyski, mdlejący na siłach, w wielkiem znajdował się niebezpieczeństwie. Ale hetman nie pozwolił nikomu wyruszać z pomocą. Chciał dać nauczkę hardemu młodzikowi.

— „Niechaj się nauczy młodzieniec, — powiedział, — pierwej słuchać, a potem rozkazywać"...

Dopiero w najkrytyczniejszej chwili wysłał na plac boju dwustu konnych strzelców księcia Zbaraskiego i dwie chorągwie husarskie. Posiłki te ocaliły Zamoyskiego od niechybnej zguby. A krwawa nauczka nie pozostała bez skutku. Pan Tomasz zwinął w nocy obóz i wprowadził swe wojska w okopy hetmańskie.

Nazajutrz Polacy oczekiwali nowego ataku, ale nikt nie odezwał się do hetmana, by opuścić szańce i stoczyć bój w otwartem polu. Dopiero gdy przekonano się, że Tatarzy zamiast myśleć o szturmie, opuszczają swe stanowiska, duch wstąpił w serca. Zaczęto krytykować Żółkiewskiego i sarkać, że nie stoczył bitwy. Ale gdy hetman zwołał koło rycerskie i zażądał od rotmistrzów, by wojsko, porzuciwszy większe wozy, utrudniające szybki pochód, z lekkich kolas sprawiło tabor i rzuciło się za postępującym w głąb kraju nieprzyjacielem, nie chciano zgodzić się na to i przeciw żądaniom hetmana wytaczano różne argumenty. Rozpoczęły się waśnie i spory, wojsko stało bezczynne, i nie myślało opuszczać obozu. Hetman był bezsilny, a tymczasem Tatarzy, rozlewając się po kraju, zapuścili się pod Tarnopol i Zasław, rozniecili na olbrzymich przestrzeniach pożary, złupili liczne wsie i miasta, zabrali jasyr i, nigdzie nie znajdując oporu, ruszyli powrotną drogą, przeciągając niemal pod bokiem rycerstwa, jakby wkopanego w ziemię i „urągając się rycerskim ludziom, co się we waśnie rozdarli”...

Nie jako rycerze, ale jako „baby właśnie”, — powiada Maskiewicz, — stali nasi, nie śmiejąc uderzyć na łupiezców, objuczonych zrabowanemi skarbami i prowadzących w niewolę tysiące bezbronnego ludu.

I ciągnął się ten pochód triumfujących Tatarów, a wojsko polskie stało bezczynnie pod Oryninem.

A gdy przeminęła nawałnica, pozostawiając za sobą popioły i zgliszcza, mnóstwo rodzin poszkodowanych podniosło straszliwy lament. Krzyk grozy, jako grom przebiegł z krańców w krańce Rzeczypospolitej. Szukano winnych, a opinja publiczna głośno oskarżała

Żółkiewskiego i za nową katastrofę, a zarazem za nową hańbę, jaka spotkała oręż polski, jego czyniła odpowiedzialnym. Oburzenie było tak wielkie, że w wielu województwach sejmiki zażądały od posłów, aby na sejmie zapytano hetmana, jak śmiał dopuścić do wtargnięcia Tatarów i ścierpieć zadaną krajowi klęskę.

Żółkiewskiego bolały zarzuty, szarpiące jego dobre imię, duszę jego zalewała gorycz z powodu ulewy sypiących się na niego oszczerstw i potwarzy, ale sumienie miał spokojne. W liście do prymasa Gembickiego pisał na swe usprawiedliwienie:

— „Dawniejszych rzeczy nie wspominając, zażem tej burzy, następującej zdaleka, nie upatrował? Zażem nie dosyć w czas oponować się jej gotów być okazał? Zażem miejsca nie obrał, na które i teraz, po zdarzeniu, nikt nie może sposobniejszego wymyślić i ukazać? Azaż w dawaniu przestróg o następującem już niebezpieczeństwie co schodziło?... Zażem nie rozesłał uniwersałów i przedtem i w tym tygodniu, kiedy Tatarowie przyszli?... Jeśli komu, co gardził przestrogi, stało się ku szkodzie, siebie ma winować, nie mnie, jam pełnił swój obowiązek. A na to, co tam i owdzie mówią, żem nie dał bitwy, żem nie pobił Tatarów, naprzód to rzekę, że Tatary gromić, tak to niemal podobna, jako kiedyby kto chciał ptaki na powietrzu latające pobić. Trafi się czasem, że ptaka i kilku na powietrzu zabiją. Toż samo jest i z Tatary. Zażmy nie byli gotowi z nimi się bić? zaż nie stanęliśmy w polu otwartem?... Teraz żeśmy obron swych, któremiśmy nieprzyjacielowi strasznymi byli, nie odbiegli, a na nieprzyjacielski fortel, czego on życzył, nie przyszli, za pewne twierdzę: byśmy byli choć na kilka strzelenia z łuku obozu od strzelby i piechoty odeśli,

za godzinę byłoby po nas: wielością swoją ogarnęliby nas byli z czoła, z tyłu, z boków, rozerwaliby nas skądkolwiek i pożyłby nas był nieprzyjaciel”...

A mając na myśli rotmistrzów, co oparli się jego rozkazom, gdy chciał wyruszyć za nieprzyjacielem, niosącym w głąb kraju zniszczenie, pytał:

— „Któż jest, niech się ozowie, co mnie onego dnia, kiedy była sprawa w toku, zwiedzenie bitwy radził... Wszakem tam był na oczu wszystkich przed wojskiem, czapka nademną z pierzem dosyć znacznie wydana, ale nie tylko w ten dzień, ale i noc, ale i nazajutrz nikt bitwy nie wspomniał”... A gdy na widok uchodzącego nieprzyjaciela, chciał ruszyć za nim, „nie było w kole na to zgody”.

— „Wozów zostawować nie chcieli, — powiada z goryczą Żółkiewski. — Gdzież je zostawimy? Gadek było moc”...

Takie racje miał na swoją obronę głośny na cały świat wojownik, którego dobre imię szarpano znowu w całej Rzeczypospolitej. Na sejm 1619 roku, wyznaczony na marzec, wybierał się do Warszawy, by stanąć do oczu swym oskarżycielom i zdać rachunek ze swoich czynności i domagać się od króla, by uwolnił go od urzędów, którym ze względu na sterane zdrowie nie mógł już wydołać. Jakoż istotnie coraz częściej zapadał na zdrowiu, a na krótki czas przed zwołaniem sejmu choroba powaliła go znowu na łoże boleści. Próbowano zatrzymać go w domu. Ale hetman nie dał się przekonać.

— „Jechać na sejm potrzeba, a żyć nie potrzeba” — pisał w liście do Tomasza Zamoyskiego i mimo choroby wyjechał do Warszawy.

I znowu jako oskarżony stanął przed zagniewanym sejmem. Wysłuchał spokojnie skarg i wyrzekań swych przeciwników, wysłuchał głosów, syczących tłumioną nienawiścią, wreszcie powstał i zwracając się do króla, prosił o pozwolenie, aby ze względu na sterane zdrowie i trapiącą go niemoc, mógł siedzący zdać sprawę ze swoich czynności. Poczem, zasiadłszy na krześle, zwrócił się z mową do sejmu. Stwierdził na wstępie, iż jest to już taki los prawych mężów, że ich cześć szarpią złe języki ludzkie. Następnie rozwiódł się nad przyczynami ostatniej wojny oraz wspomniał o wysiłkach, jakie czynił, by w porę zażegnać grożące Rzeczypospolitej niebezpieczeństwo. Nie mógł przecież tego dokonać, bo Rzeczpospolita nie wypłaciła należnego żołdu Kozakom, nie dotrzymała układu z Tatarami, wstrzymując im przesłanie przyrzeczonych upominków, wreszcie ściągnęła na siebie gniew Turcji. Przechodząc do wydarzeń, które stały się powodem wszystkich przeciw niemu zarzutów, dowodził, że było wielkiem ryzykiem opuszczać obóz w tych okolicznościach, w jakich rycerstwo polskie znalazło się pod Oryninem.

— „Zgubiłbym był wojsko waszej król. mości, zgubiłbym Ruś wszystką, zgubiłbym wszystką Rzeczpospolitą, bo z tak wielką potęgą wkołoby nas otoczyli... Niebezpieczna to rzecz doma nieprzyjaciela bić, bo co on zgubi? Wojsko zgubi, dalej nic. Ale kiedyby się nam, czego Boże uchowaj, nie poszańcowało, zgubilibyśmy nie tylko wojsko, ale i wszystką koronę”...

— „Najdują się tacy, którzy zadawali mnie, jakom nieśmiały, jakom w powinności swej nieczuły i jakom niedbały. Jakożem to nieczuły? jako niedbały? gdy i przestrogi o zamysłach nieprzyjacielskich czynię?

Jakom to nieśmiały? Ja sam tabor szykuję, a nie szykowałem go u siebie na podwórzu...

I długą mowę temi słowy zakończył:

— „Temu tedy, najjaśniejszy miłościwy królu, koniec uczyniwszy, pewienem tego, że rozsądkiem swym pańskim uznawać to raczysz, jako mi już na latach, a co gruntowniejszego, na zdrowiu nieladajako schodzi, tak, iż czerdzieści cztery obozy odbyłem, tej Rzeczypospolitej naszej na harcach, utarczkach, szturmach, krew swoją rozlewając. A przeciem ja zły, dźwigając na ramionach moich bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, a drudzy lepsi, którzy ją w niebezpieczeństwo przywodzą. Pokornie tedy, uniżenie proszę waszą król. mość, pana mego miłościwego, abyś ten urząd, tak ciężki na teraźniejsze lata moje, miłościwie ode mnie odebrać raczył, który z samej łaski waszej król. mości i dobrotliwości pańskiej jest mi podany, nie dla jakiej ambicji mojej, gdyż boję się, abym dla niewdzięczności, którą miasto wdzięczności ponoszę, mógł tak godnie waszej król. mości i Rzeczypospolitej służyć”...

Mowa sędziwego wodza, co w nieustannych walkach ze wszystkimi wrogami Polski sterał siły i zdrowie, a doczekał się oszczerstw i potwarzy, głęboko wzruszyła wszystkich, co niezaślepieni zawiścią, zdolni byli odczuć krzywdę, jaką wyrządzono niestrudzonemu obrońcy ojczyzny. Z tem większą uwagą nadstawiono uszu, gdy wstał podkanclerzy Lipski i w imieniu króla odpowiedział Żółkiewskiemu.

„Przez wszystek czas panowania swego, — mówił podkanclerzy, — jego król. mość., pan nasz miłościwy upatrować to raczył, żeś waszmość na tym urzędzie, na któryś jest za powołaniem boskiem od jego król.

mości posadzony, dobrze służył tej Rzeczypospolitej, ojczyźnie naszej. Przyznawa to jego król. mość, że takeś ten urząd odprawował, iż nie schodziło nic na czułości około bezpieczeństwa Rzeczypospolitej, na ochocie do usługowania jej. Pomnić raczy jego król. mość wszystkie od młodości waszmości zabawy rycerskie, któremiś sobie drogę słał do sławy nieśmiertelnej i wszystkiej familji swojej. Przyznawa i to jego król. mość, żeś urząd swój hetmański odprawował nie tylko jako wódz, ale i odważny żołnierz... A że takie obmowiska ludzkie, na jakie się waszmość uskarżasz, nie poruszają waszmością, jest to wielkiego animuszu człowieka baśniami takiemi pogardzać, bo prawdziwe męstwo doświadcza się znoszeniem niesprawiedliwości, więc i królewska to rzecz znosić potwarz za dobre uczynki. Jednak aby spłonęli wstydem i zmieszali się oszczerce, oto przyznawa jego król. mość, że w tych teraźniejszych ekspedycjach, wszystkoś odprawował za wolą i rozkazaniem jego król. mości"...

A kończąc swe przemówienie, powiedział podkanclerzy:

— Życzy sobie jego król. mość, abyś „z nieśmiertelną sławą jego król. mości i narodu naszego skończył tę posługę około obmyśliwania dobrego tej Rzeczypospolitej naszej, za co jego król. mość łaskę swą pańską i szczodrobliwość swoją chce oświadczyć waszmości i potomstwu jego. A Pan Bóg, jako rozdawca wszystkich dóbr, obfitem błogosławieństwem swojem świętem nagradzać to będzie"...

A po przemówieniu podkanclerzego wstał prymas Gembicki i imieniem senatu składał hołd Żółkiewskiemu.

— „Dziękujemy uniżenie jego król. mości, że nie chce tego urzędu odbierać od waszmości, wie bowiem, co na tem należy Rzeczypospolitej. Prosimy i my wszyscy, abyś jeszcze podług możności swojej służył ojczyźnie, nie odbiegając jej w takich, w jakich jest teraz terminach”...

Przemawiali po Gembickim inni senatorowie, a wszyscy oddawali cześć wielkiej duszy, wielkim zasługom i cnotom spotwarzanego męża. Przekonał się kanclerz i hetman wielki koronny, że nie wszyscy są przeciw niemu, że w tej Rzeczypospolitej krnąbrnej i nierządnej ma za sobą poważną opinję, śmiało przeciwstawiającą się niecnym oszczerstwom i potwarzom. Wzruszył się hetman, dał się ubłagać, zatrzymał swe dostojeństwa i z szablą w starczej dłoni postanowił wytrwać na usługach ojczyzny.

A Rzeczpospolita raz jeszcze miała na barki jego złożyć olbrzymi ciężar i nowej zażądać ofiary. Raz jeszcze bez należytych sił i środków kazała mu spełnić wielkie zadanie...

A stało się to w okolicznościach następujących.

Sułtan turecki, ulegając życzeniom posła polskiego w Konstantynopolu, usunął hospodara wołoskiego, Tomżę i na jego miejsce wyniósł niejakiego Gracjana, Greka rodem. Był to człek przebiegły, ambitny, chciwy władzy i bogactw. Nie będąc pewnym swego stanowiska pod zwierzchnictwem Turcji, postanowił wyrwać Wołoszczyznę z pod władzy sułtańskiej i siebie wraz z całym krajem oddać pod opiekę Polski. Wszedłszy w stosunki z Żółkiewskim, uprzedzał go o swoich zamiarach i prosił o pomoc. Ale ostrożny kanclerz, unikający wszystkiego, co Rzeczpospolitą mogłoby uwikłać w wojnę z potęgą turecką, nie śpie-

szył z zaofiarowaniem pomocy. Nie ufając Gracjanowi i nie dowierzając zdradliwym Wołochom, korzystał z wiadomości, przesyłanych przez hospodara i o zamiarach jego zawiadamiał króla. Przezorność kanclerska była tem słuszniejsza, że chytry Gracjan miał potężnych a wpływowych wrogów na dworze sułtańskim. Takim wrogiem był strącony z hospodarstwa Tomża oraz książę siedmiogrodzki, Betlem Gabor, pozbawiony panowania nad Węgrami skutkiem pomocy, jaką Zygmunt III okazał cesarzowi Ferdynandowi, posyłając mu na poskromienie Gabora słynnych Lisowczyków, najwaleczniejszych a zarazem najdrapieżniejszych w Europie ówczesnej rycerzy. Lisowczycy, odznaczający się nieznaną przedtem błyskawicznością obrotów wojennych, przeszedłszy Karpaty, na podobieństwo niszczącego huraganu wpadli na Węgry, znieśli ze szczętem wojska Gabora i cały kraj niewypowiedzianą napełnili grozą. Tomża knuł zemstę przeciw Gracjanowi, a Gabor dokładał w Konstantynopolu wszelkich usiłowań, by skłonić Portę do wojny z Rzecząpospolitą.

Sułtan polecił czuwać nad postępowaniem Gracjana i jego stosunkami z Polską Iskienderowi baszy, znakomitemu wojownikowi, wsławionemu powodzeniem w walkach ze Stefanem Potockim, a następnie z Koreckim i Wiśniowieckim.

Wiosną 1620 roku Gracjan zawiadomił hetmana, że Iskiender basza gromadzi wojska, a przerażony widmem zemsty sułtańskiej, oświadczył, że siebie i kraj cały oddaje pod zwierzchnictwo Polski. Wiadomość o postępku Gracjana wzburzyła Portę. Poseł polski w Konstantynopolu, Zygmunt Otfinowski został gwałtownie wydalony ze stolicy Turcji, a liczne wojska

sułtańskie, poprzedzane hordami Tatarów, zalały żyzne ziemie wołoskie.

Ku granicom Polski znowu zbliżała się burza.

Żółkiewski rozpoczął przygotowania wojenne, ale Rzeczpospolita tak niedawno opłakująca traktat w Buszy, obojętnie przyjęła wieść o nowem niebezpieczeństwie. Zaledwie kilka tysięcy szabel zdołał hetman zgromadzić do walki z potężnym wrogiem. Doniósłszy o wszystkiem królowi, czekał od niego wskazówek, a otrzymawszy rozkaz, by śpieszył Gracjanowi z pomocą, nie śmiał się woli królewskiej sprzeciwić. Wiedział doskonale, ilu zawistnych dostojników miał na dworze Zygmunta, ilu niechętnych mu rycerzy skupiło się w jego własnym obozie. Wiedział również, że zostawiając Wołochów własnemu losowi, wywołałby nowe wyrzekania i nową w całej Polsce burzę. Do uszu jego nieustannie dochodziły wyrzekania rycerstwa, że działa opieszale, że chce uniknąć boju, że się zestarzał i stracił odwagę. A Gracjan, któremu hetman nie ufał, obiecywał wesprzeć wojsko polskie 20,000 Wołochów, a Rzeczpospolita domagała się zwycięstw i pomszczenia zawartego w Buszy traktatu.

Zrozumiał Żółkiewski, że musi spełnić swe przeznaczenie.

Przeczuwał, że zbliża się stanowcza w życiu jego godzina.

Dopełnił przed wyruszeniem w pole swój testament, pożegnał wierną towarzyszkę życia i, zabrawszy syna jedynaka, wyjechał do Baru, dokąd na rozkaz jego ściągało rycerstwo. A w dniu rozpoczęcia pochodu wysłał do króla list, w którym zajaśniała pełnią swego blasku piękna i szlachetna dusza hetmana.

List ten brzmiał:

„Najjaśniejszy, miłościwy królu, panie mój miłościwy.

„Klejnotu mnie od waszej król. mości powierzonego, nie chciałem dać w nieprzezpieczeństwo, na które sam się chętnie biorę. Wypisałem w inszych liściech przyczyny, dla których opuściwszy bezpieczniejsze, gwałtowniejsze przedsięwziąłem rady. W tej Rzeczypospolitej nierządnej, krnąbrnej trudno inaczej. Toż i prywata mię necisytowała obmowiskami, detrakcjami (do znoszenia choćby wielkim umysłom zawżdy przykrymi) przy sposobności i mnie niewinnie urągano. A to i teraz, gdyby Wołochom proszącym nie dało się ratunku, wielka do obmowisk materja i pewnieby mię to nie chybiło. Jużeż teraz do tego przychodzi, że albo, co Panie Boże daj! zwyciężym nieprzyjaciela, albo nas zwycięży nieprzyjaciel, czego nas, Panie Boże, uchowaj! Padnie li, czego Panie Boże uchroń, co przeciwnego: nieszczęściu Rzeczypospolitej nie chcę być pozostały. Dawnom tego szukał, nie nad wolę swoją rad żywot położę dla wiary św., dla służby waszej król. mości, dla Rzeczypospolitej, choć to od niej za wiele prac, za trudy, odwagi, miasto wdzięczności wielkiem ponosił obelgi, żale. Nie mogę jednak jeno jako najlepiej życzyć ojczyźnie swojej. Comkolwiek dobrym umysłem czynił, w niebie jedno będzie mi to, da Pan Bóg, odpłacono. Jeśli też, jako mam nadzieję, Pan Bóg raczy przeciw nieprzyjacielowi pobłogosławić, aza wzdy zazdrościwe Petuljuszów języki ucichną. To tedy jest do inszych niemała przyczyna, żem na tę rezolucję przypadł, toż za zgodnem wszystkiego wojska zdaniem. U Pana Boga w tajemnicy, jako rzeczy padną. Masz miłościwy, najjaśniejszy królu, panie mój, wielką

przed sobą sprawę: wojna z Turki nie igraszka. Albo Turki trzeba zrazić z ich przedsięwzięcia, którzy chcą tej Rzeczypospolitej i wszystkiemu światu panować, albo tobie królestwo stracić. Zginie, czego strzeż Boże, Rzeczpospolita, tu potrzeba, królu, panie mój, abyś wytężył siły duszy i umysłu. Jest z łaski bożej tyle sposobów w tej zacnej koronie, by jedno sami chcieli, że się może tem nieprzyjacielowi radę dać, jest tyle dostatków, których wojna potrzebuje. Mamy tego świeży dokument: w lot kilkanaście miljonów rzuciliśmy na zniesienie opresji od żołnierza skonfederowanego, a co jeszcze stacjami, opresjami, ekstorsjami sam żołnierz brał, przecie jednak u nas w Rusi aniby tego znać, gdyby nie od Tatar szkody. Pogotowie w takim razie, gdzie idzie o wyniszczenie chwały bożej, na co się poganie nasadzili, o całość, o zdrowie Rzeczypospolitej, o zniewolenie, zgoła o wszystko, trzeba dostatków nie żałować"...

Rozwiódł się następnie hetman o sposobie prowadzenia wojny i, powołując się na swoje doświadczenie wojenne, twierdził: „Będzieli Rzeczpospolita, ojczyzna moja miła odporną wojnę z Turki odprawować, już po nas będzie, zginęliśmy! Jeśli z nieprzyjacielem w ziemi jego czynić i najeżdżać go będziem, nie można wątpić o zwycięstwie".

Przypomniawszy następnie zamiary króla Stefana, pragnącego poprowadzić przeciw Turcji wszystkie państwa chrześcijańskie, ten sam sposób wojowania z Turcją, jako jedyną drogę ratunku zalecał.

Lecz pełną smutnych przeczuć musiała być dusza kanclerza, bo list swój żałosnem kończył pożegnaniem.

„Zawierając ten list, żegnam waszą król. mość, pana mego miłościwego, tak się czuję i z tem idę przed

sąd boży, żem wiernie i życzliwie w. król. mości służył. Jeślim w czem, jako człowiek nie dogodził, racz wasza król. mość miłościwie odpuścić, a synowi memu, jeśli go ochroni los wojny, racz być miłościwym panem".

List ten pisany był z Baru dnia 25 sierpnia 1620 roku, przed samem wyruszeniem wojska. Tym listem żegnał hetman Rzeczpospolitą i króla, nie miał bowiem nadziei, jak świadczą jego słowa, by wrócił z wyprawy. Na służbie miłej ojczyzny stracił zdrowie i siły: szedł teraz oddać za ojczyznę swe życie.

XI.

CECORA.

Na wojnę przeciw potężnej Turcji, mającej dość sił, by walczyć z całym światem chrześcijańskim, wiódł hetman Żółkiewski 1,200 Lisowczyków pod wodzą głośnego z męstwa Walentego Rogawskiego, 1,500 husarzy, 800 konnych Ukraińców, którymi dowodził Stefan Chmielecki, sławny żolnierz, głośny później na cały świat wojownik, bohater pieśni ludu ruskiego, „biczem Tatarów" przez współczesnych zwany, 200 rajtarji cudzoziemskiej, prowadzonej przez młodziutkiego Hermana Denhofa, 1,600 Kozaków, 1,000 jazdy różnych panów, 2,000 piechoty polskiej i niemieckiej pod Wolmarem Farensbachem, razem, wliczając w to, jak mówiono wówczas armatę, czyli artylerję, dowodzoną przez Teofila Szemberka, 8,400 ludzi zbrojnych, oprócz czeladzi obozowej i ciurów. To była cała siła, na jaką zdobyła się Rzeczpospolita, wypowiadając wojnę najpotężniejszemu militarnie mocarstwu.

Ale na czele tej szczupłej siły stał jeden z najznakomitszych wodzów swego wieku, słynny pogromca Szwedów, Kozaków, Tatarów, Moskali głośny w całym świecie zwycięzca z pod Kłuszyna, a w tej małej

armji znajdowali się doświadczeni dowódcy i wielkiej sławy rycerze.

Pod naczelnem dowództwem hetmana wielkiego sprawował szyki hetman polny koronny, Stanisław Koniecpolski, zięć Żółkiewskiego, jego przyjaciel i najwierniejszy towarzysz broni, wódz przezorny i mężny. Ponadto oprócz wymienionych już wojowników szli na wyprawę z Żółkiewskim dwaj panowie Kazanowscy, Marcin i Walenty, Mikołaj Struś, głośny niegdyś gubernator Moskwy, Aleksander Kalinowski, Mikołaj Potocki, Samuel książę Korecki, Jan Tyszkiewicz, Aleksander Bałaban, Jan Odrzywolski i wielu innych, starych a doświadczonych pułkowników, rotmistrzów, wypróbowanych w ogniu niezliczonych bitew, wojaków, ufnych w swe siły, doświadczenie i męstwo, a śmiało patrzących w oczy największym niebezpieczeństwom. A w tem gronie znakomitych rycerzy zwracali na siebie uwagę dwaj młodzi Żółkiewscy: synowiec hetmana Łukasz i jedyny syn Jan, starosta hrubieszowski, kawaler wielkich zdolności, chluba kanclerza, spadkobierca jego sławnego imienia i nadzieja rodu. Szedł wraz z ojcem, by dzielić jego losy i przy jego boku w walkach z poganami zdobywać sławę rycerską.

Taką armję wyprowadził Żółkiewski z Baru.

Pochód rozpoczął się pod nieszczęśliwą wróżbą.

Gdy wojsko wychodziło z miasta, ciężkie chmury przesłoniły niebo i straszliwa burza szaleć zaczęła w przestworzach. Ciemne głębiny niebios raz wraz rozświetlał blask olbrzymich błyskawic, a ziemia, szumiąca potokami wody, drżała od walących się na nią piorunów. Niejedno serce ścisnęło się żałosnem przeczuciem, niejedną duszą, nieznającą lęku, zatargał nie-

pokój. W groźnem zjawisku przyrody, mężne, lecz zabobonne rycerstwo złowróżbną dostrzegało zapowiedź. A niepokój wzrósł jeszcze, gdy piorun, jak mówi podanie ówczesne, strzaskał buńczuk hetmański, a konie w pojeździe kanclerza splątały się i stając dęba a szarpiąc uprzężą, nie chciały ruszyć z miejsca.

Znaleźli się w wojsku pułkownicy, co przez zawiść i niechęć dla wodza starali się utwierdzić zabobonnych w złowróżbnem mniemaniu. A ta niechęć stokroć bardziej złowieszczą była przepowiednią: zaledwie rozpoczął się pochód, a już warcholstwo podnosiło głowę, już szmer niezadowolenia zaczynał przebiegać szeregi, już odzywały się głosy, podrywające zaufanie szeregów do wodza.

Zaiste, pod złą wróżbą zaczynała się pamiętna w dziejach Polski wyprawa.

Dnia 3 września Żółkiewski przeszedł Dniestr. Wieść o ukazaniu się wojsk polskich lotem błyskawicy rozniosła się po całej ziemi wołoskiej. Iskiender basza, stojący pod Białogrodem, wprowadzony w błąd przesadną wieścią o liczebności wojsk polskich, cofnął się w stronę Kilji, a ośmieleni Wołosi napadli w Jassach na garść przybyłych tam Turków i w pień ich wycięli. Lecz Gracjan, mający wspomóc hetmana 20.000-em wojskiem wołoskiem, przerażony nagłością wypadków, a lepiej świadom, w jakiej sile nadciągają Polacy, zwątpił o swej sprawie i zamiast ciągnąć ku Żółkiewskiemu, spakował na wozy swe skarby i ruszył ku Chocimowi, by dostać się na Pokucie, a stamtąd przedrzeć się do Niemiec.

Ucieczka Gracjana zdemoralizowała Wołochów.

Całe wojsko wołoskie rozpierzchło się po domach

i w ukryciu, nie mieszając się do walki, postanowiło czekać, na czyją stronę przeważy się szala zwycięstwa.

Kanclerz, otrzymawszy wiadomość o ucieczce Gracjana, pchnął za uciekającym gońca z tak stanowczem wezwaniem, że przestraszony hospodar, zląkłszy się teraz zemsty Polaków, zmienił swój zamiar, zawrócił z drogi i już 7 września stawił się przed Żółkiewskim. Ale zamiast spodziewanych posiłków, zaledwie 600 jazdy przyprowadził z sobą.

Żółkiewski wiedział, co trzymać o przebiegłym Gracjanie, przyjął go przecież uprzejmie, by nie wzbudzać w swem otoczeniu podejrzeń, że rachuby na pomoc wołoską zawiodły. A Gracjan obiecywał, że niebawem przybędą znaczniejsze jego siły, wyrażał kanclerzowi swą wdzięczność i radość, lecz w głębi duszy knuł zdradę i, nie wierząc w zwycięstwo, czekał tylko okazji, aby się wymknąć z obozu.

Hetman zamierzał początkowo iść ku Tehini i Białogrodowi, lecz wiadomości o wojskach tureckich, maszerujących na Jassy, skłoniły go do pójścia za Prut ku Cecorze*), wsławionej w r. 1595-ym pamiętnem zwycięstwem Jana Zamoyskiego, któremu podówczas towarzyszył Żółkiewski. Był to jakby punkt węzłowy, ku któremu z różnych stron ściągały wojska nieprzyjacielskie, by stąd uderzyć na Jassy. Dnia 9 września wojsko polskie przeprawiło się przez Prut, a 12 września stanęło w dawnych okopach polskich, wzniesionych na polu cecorskiem.

---

*) Tak nazwano obozowisko od wsi, znajdującej się na prawym brzegu Prutu, a odległej o 2 mile od Jass.

Tymczasem Iskiender basza, wyniesiony na wielkiego wezyra, dowiedziawszy się o pochodzie Polaków, ściągał wszystkie swe siły i wzmocniwszy się hordami Tatarów pod wodzą Kałgaj sułtana oraz Tatarów nogajskich, wiedzionych przez znanego dobrze Polakom Kantemira, wyruszył śmiało na spotkanie wojsk polskich.

Hetman, nie wiedząc o obrotach nieprzyjaciół, nie znając ich sił, rozkazał tymczasem poprawić i podwyższyć wzniesione przed 25 laty szańce. Żołnierz, mający więcej zaufania do walki w otwartem polu, niechętnie myślał o bitwie obronnej w okopach, a słysząc jak starszyzna krytykuje rozporządzenia hetmańskie, z wielkiem szemraniem garnął się do roboty. Dnia 17 września rozeszła się wieść o nadciąganiu Tatarów. Wysłany z podjazdem Odrzywolski wrócił niebawem do obozu, a za nim, jak szumiąca chmura aż pod same okopy pędziła jazda tatarska. To niespodziewane ukazanie się Tatarów, którzy według zapewnień Gracjana, nie mieli brać udziału w wojnie, kazało się domyślać, że z wielkiemi siłami będą mieli Polacy do czynienia. Teraz dopiero raźniej rzucili się wszyscy do ukończenia okopów. Dano zarazem ognia z dział, aby czeladź, wysłaną po żywność i paszę, uprzedzić o niebezpieczeństwie. Niestety, było już zapóźno. Około tysiąca czeladzi, rozesłanej po okolicy, pochwytali Tatarzy.

Nazajutrz, 18 września o świcie, w krwawym blasku pierwszych promieni słońca ukazały się zastępy tureckie od północo-wschodu, a od północy, jak okiem sięgnąć rozlewała się fala tatarska.

W przedniej straży wojsk tureckich szedł Chyzyr basza. Pomimo widocznej dla wszystkich przewagi

wojsk nieprzyjacielskich, rycerstwo nie straciło serca. Ku zbliżającym się wrogom zaraz ruszyło z obozu wielu ochotników, a przedewszystkiem wypadła gromada Lisowczyków, drapieżnych wilków, chciwych krwi, sławy i łupów. Rozpoczęły się harce, później starcia mniejszych oddziałów, wreszcie całe chorągwie pomknęły na plac boju i rzuciły się w wir walki. Lisowczycy, szalejąc po swojemu, obskoczyli Chyzyrbaszę i wraz z mnóstwem jeńców zagarnęli go do niewoli. Na ten widok kilkuset ciężkich jeźdźców tureckich runęło na odbicie baszy. Zawrzała nowa walka. Lisowczycy, nie mogąc wytrzymać natarcia, zaczęli się cofać, a wyzwolony Chyzyr basza pędził ich aż do samych okopów. Wtedy młodziutki Denhof wypadł na czele rajtarji z obozu, wstrzymał odrazu zapęd Turków, a następnie przy pomocy Lisowczyków wyparł ich aż za góry.

Tymczasem zapadał mrok, a głosy trąb obozowych wzywały rycerstwo do powrotu. Żołnierz, który rozgrzał się w harcach i wykazał w starciu widoczną przewagę nad wrogiem, niechętnie schodził z pola. Czuł się zwycięzcą i pragnął boju. Więc znalazłszy się w okopach, głośno wyrażał swe niezadowolenie. W ciemnościach nocy gniewne szmery przebiegały obóz, a nad ranem licznie zgromadziło się rycerstwo przed namiotem hetmana i jęło trzaskać buńczucznie szablami a uderzać w tarcze na znak, że do boju iść pragnie.

I Żółkiewski myślał o wydaniu bitwy, ale wiedział z doświadczenia, że te zastępy nieprzyjacielskie, które zjawiły się dnia poprzedniego. to przednie straże wielkiej armji, z którą trzeba będzie się zmierzyć. Jeniec turecki zeznał właśnie w nocy, że nieprzyjaciel liczy

100,000 wojska. Chciał tedy hetman przed stoczeniem decydującego boju wyczerpać wroga uporczywą obroną okopów, złamać jego wiarę, pokładaną w swojej liczebnej przewadze, a następnie dopiero całą siłą uderzyć. Ale wiedział i to, że wojsko posądza go o gnuśność i niedołęstwo, dostrzegał, że coraz bardziej rozprzęga się dyscyplina wojenna, że niechęć nieprzyjaznych mu panów przenosi się do szeregów. Zważywszy to wszystko, zdecydował się wyprowadzić rycerstwo z obozu i w polu stoczyć bitwę.

Jakoż w południe dnia 19 września wywiódł całe swe wojsko do walki.

Pod jego okiem hetman polny Koniecpolski sprawiał szyki, a pułkownicy i rotmistrze odebrawszy najściślejsze rozkazy, zajmowali wyznaczone miejsca. Utworzone zostały dwa tabory, złożone z wozów, które posuwały się czterema rzędami po 60 w każdym. Między wozami kroczyła piechota, mająca przez zostawione otwory wypadać z taborów i przez też miejsca na stanowiska swe wracać. Czoło, boki i tyły taborów ubezpieczone były działami, rozmieszczonemi w ten sposób, by krzyżowym ogniem mogły razić nieprzyjaciół. Pochód otwierała jazda, zajmująca całą przestrzeń pomiędzy taborami. Na szańcach również ustawiono działa, tak dla obrony obozu, jak i rażenia uderzających na oba skrzydła nieprzyjaciół. W ten sposób armja polska tworzyła ruchomą czworokątną fortecę, której boki stanowiły najeżone działami wozy, czoło — liczne chorągwie wyborowej jazdy, a tyły — własne okopy.

Wojsko nieprzyjacielskie miało ciężkie zadanie do spełnienia, bo przy męstwie polskiem o rozerwaniu tak ze wszech stron ubezpieczonej fortecy trudno było

się kusić. Na nieszczęście, zaraz po wyruszeniu z obozu, prawy tabor zbyt pośpiesznie posunął się naprzód, a lewy pozostał zbyt blisko okopów. Skutkiem tego zepsuł się szyk przepisany przez hetmanów: bok wojska na prawem skrzydle szeroko został odsłonięty. Ten błąd natychmiast wykorzystał nieprzyjaciel. Turcy zaatakowali wojska polskie od czoła, a jazda tatarska ze straszliwym okrzykiem skoczyła ku prawemu skrzydłu. Artylerja Szemberka powitała atakujących gromami armat, a piechota sypnęła rzęsistym ogniem muszkietów. Pierzchli napastnicy, ale bój już rozgorzał i nim szyki zdołano naprawić, znowu zerwali się Tatarzy, tym razem w liczbie nieporównanie znaczniejszej i olbrzymią falującą masą przylgnęli do wysuniętego zbyt daleko taboru na prawem skrzydle polskiem. Nadaremnie hetmani próbują wyrównać swe linje walczące, nadaremnie Koniecpolski nadludzkiemi wysiłkami usiłuje cofnąć prawy tabor i zbliżyć go ku okopom. W ogniu bitwy bierze górę liczebna przewaga, pękają ostatecznie rozluźnione szyki polskie i bój toczy się wściekły, zacięty, ale bezładny, bezplanowy, prowadzony na własną rękę przez poszczególne oddziały. Polacy, zagrożeni odcięciem od obozu, muszą cofać się ku okopom. Jakoż torują sobie drogę, gęstym trupem znacząc swój pochód. Zakuci w żelazo husarze dokazują cudów męstwa, ale nie mogąc w niesłychanej ciżbie złożyć straszliwych kopij i runąć swym obyczajem na wroga, muszą walczyć szablami i wyrzec się triumfów, do jakich na tylu polach bitew przywykli.

Od południa do wieczora, w ciągu sześciu godzin trwała walka mordercza.

Żółkiewski, stojąc na czele husarzy, zagrzewał wojsko głosem i własnym przykładem. Uczestnik tej bitwy, znakomity dowódca artylerji Szemberk, podziwiając „zbytnią śmiałość i gorącość" kanclerza, z zachwytem żołnierza powiada, że nikt na placu boju nie mógł dorównać starszemu hetmanowi. Przy boku jego walczyli, jak lwy, obaj młodzi Żółkiewscy. Na jedną chwilę nie stracił przytomności umysłu hetman Koniecpolski, sam porywając do boju chorągwie i zjawiając się w miejscach najzaciętszej walki. Ale ni męstwo hetmanów, ni odwaga rycerstwa nie zdołała przechylić szali zwycięstwa na stronę Polaków. Z ciężkiemi stratami przerąbało sobie wojsko drogę do obozu. Padł młodziutki Denhof, okrywszy się nieśmiertelną sławą, polegli mężni rotmistrze husarscy: Wrzeszcz, Goślicki i Kowalkowski, rany odnieśli Bałaban, Farensbach i obaj młodzi Żółkiewscy, a prócz wielu rannych i wziętych do niewoli na 350 poległych obliczał Szemberk straty polskie, poniesione w tej bitwie. Tatarzy i Turcy, według własnych zeznań, stracić mieli w zabitych z górą 3,000 ludzi. Pomimo to porażka była dotkliwa. Wróg zabrał cztery działa, kilkanaście chorągwi i waleczne wojsko zmusił do odwrotu.

Ale najgorszem następstwem boju był upadek ducha w szeregach. Bitwa ujawniła nierówność sił i ciężkie położenie wojska, zamkniętego w obozie w obliczu dziesięciokrotnie liczniejszego wroga.

Całą noc radził strudzony żołnierz przy rozpalonych ogniskach, a rozlegające się wkoło jęki rannych i konających towarzyszyły jego wyrzekaniom i skargom. Powiadali żołnierze, że nigdy bisurmanie nie walczyli z taką wściekłością, że jest ich mnóstwo nie-

zliczone, że odosobniony obóz polski bez żywności dla wojska, bez paszy dla koni, otoczony żelaznym pierścieniem Turków i Tatarów, skazany jest na zagładę. W mężne piersi wojowników stępowało zwątpienie i widmo śmierci zaglądało w przerażone oczy. A starszyzna, zamiast podnosić ducha i krzepić strwożone serca, oskarżała naczelnego wodza i wobec wojska jego za porażkę czyniła odpowiedzialnym. Nieprzyjaźni Żółkiewskiemu panowie Struś, Kalinowski, Korecki, twierdzili, że po tem, co się stało, należy porzucić obóz, zostawić swemu losowi piechotę, zostawić chorych, rannych i z całą jazdą jak najspieszniej wyruszyć wzdłuż Prutu i tym sposobem ratować choć cząstkę rycerstwa. A zdradziecki Gracjan, obawiając się, że Polacy gotowi są wydać go Turkom, by za tę cenę kupić sobie pokój, przytakiwał nikczemnym projektom buntowników i, szykując się do ucieczki, wskazywał nawet drogę, którą, jego zdaniem, najbezpieczniej możnaby przedrzeć się na Pokucie,

Żołnierz słyszał te rady i burzył się i coraz bardziej upadał na duchu. Rosło szemranie w szeregach, dojrzewał bunt.

A głosy zwątpienia uderzały o ściany namiotu kanclerza i jak zatrute strzały godziły w jego serce. Bo Żółkiewski nie tylko nie rozpaczał, ale nie uważał położenia za beznadziejne. Więc pragnął pokrzepić żołnierza, podnieść ducha w wojsku i w wątpiących sercach rozpalić płomień nadziei. W tym celu nazajutrz zrana zwołał radę wojenną. A gdy zebrali się zawezwani pułkownicy i rotmistrze, powiedział na wstępie, że nie tajne mu są szemrania wojska i usposobienie starszyzny, poczem starał się wykazać, że niema najmniejszych powodów do rozpaczy. Nadaremnie wszak-

że twierdził, że stoczona bitwa potężnie dała się we znaki wrogowi, że kilka takich bojów zdemoralizuje nieprzyjaciół, osłabi ich i przerazi, a wtedy nie trudno można będzie odnieść walne zwycięstwo. Ale na wspomnienie nowego boju „obruszyło się wielu", a panowie Kalinowski, Struś i Korecki z przeciwnem wystąpili zdaniem. Przekonał się Żółkiewski, że przy takiem usposobieniu starszyzny nowa bitwa nie ma widoków powodzenia. Więc powziął plan inny. Postanowił rozpocząć odwrót ku Dniestrowi, a dla zyskania czasu na przygotowania do odwrotu niezbędne, spróbować układów z nieprzyjacielem.

Cały dzień szumiał obóz polski odgłosami swarów, żalów i wyrzekań.

Podniecali taki stan rzeczy nieprzyjaciele kanclerza, a Gracjan na wiadomość o zamiarach Żółkiewskiego, utwierdziwszy się w swoich obawach, podtrzymywał niechętnych mu panów, co nie chcieli bitwy i wbrew opinji hetmana dowodził, że nie za Dniestr, ale komu życie miłe przez Prut natychmiast powinien uchodzić. Płomień buntu wybuchał tu i ówdzie w obozie. Rozjątrzeni żołnierze, niepewni swego losu, a zatrwożeni sprzecznemi wieściami, hałasowali bez końca.

Jedni wołali:

— Chcą nas hetmani na mięsne jatki wydać!...

Inni, słysząc o ucieczce za Prut, alarmowali obóz okrzykiem:

— Hetmani uchodzą!

Wzmagał się zamęt, rosła obawa i straszliwe podejrzenia przeszywały serca żołnierskie. Wojsko zaczęło radzić. Jedni dowodzili, że „Tatarom niepodobna ujść", że przeprawa przez Dniestr grozi niechybną zgubą, że więc trzeba przeprawiać się przez

Prut, drudzy, straciwszy wszelką nadzieję, wybuchali klątwami i złorzeczeniem. A gdy noc zapadła, olbrzymia wrzawa podniosła się w ciemnościach:

Do Prutu! do Prutu! — wołało tysiące głosów.

Niesłychane zamieszanie zapanowało w okopach. Wtedy to Gracjan na czele swoich Wołochów wymknął się z obozu. Za nim Kalinowski wyprowadził półtora tysiąca jazdy. A przykład ten pociągnął za sobą innych. Obłąkanie ogarnęło najmężniejszych żołnierzy i okrzyk: zdrada! zahuczał w przestworzach. Istotnie haniebnej zdrady dopuścili się niechętni Żółkiewskiemu dowódcy. Słynny z męstwa Chmielecki, późniejszy bohater i niezmordowany pogromca Tatarów, Odrzywolski, Struś, Tyszkiewicz, Korecki, najdzielniejsi rycerze, najmężniejsi wojownicy, nie bacząc na obowiązki honoru, na sławę i godność żołnierską, porywali oddziały jazdy i, kierując się ku Prutowi, niknęli w ciemnościach, zostawiając na pastwę nieprzyjaciół wodza i wiernych mu żołnierzy.

Żółkiewski, widząc, co się dzieje, dosiadł konia i wraz z Koniecpolskim ruszył za okopy, by wstrzymać haniebną ucieczkę. Lecz daremnie hetmani wydają rozkazy, daremnie, dobywają szabel i, płazując uciekających, do obozu zawrócić ich pragną. Nikt nie słucha wodzów. Szał udziela się wszystkim, a straszna wrzawa głuszy głosy perswazji. Nadomiar nieszczęścia w okopach buchają wzniecone zbrodniczą ręką płomienie, szerzy się pożar i krwawym blaskiem oświetla niezwykłe widowisko. To tłum ciurów obozowych, słysząc o ucieczce wodzów, rzucił się plądrować i łupić pańskie namioty. Nastała chwila straszliwego niebezpieczeństwa. W obozie srożył się rabunek i pożar, na szańcach szalał bunt, a od strony

Prutu rozlegały się mrożące krew w żyłach okrzyki i szczęk szabel tatarskich, spadających na karki polskie. A dokoła stał wróg potężny, mogący jednem uderzeniem dokonać zupełnego pogromu i cały obóz polski przemienić w najstraszliwszy cmentarz.

Na szczęście, Turcy, nie rozumiejąc, co znaczy piekło, szalejące w okopach, a obawiając się podstępu ze strony Polaków, stali nieruchomo i nie porywali się do szturmu.

Ale Żółkiewski doskonale zdawał sobie sprawę z grozy położenia. Rozkazał więc Koniecpolskiemu z piechotą i garstką pozostałej jazdy ruszyć na szańce, skąd można się było spodziewać ataku Turków, a sam czynił nadludzkie wysiłki, by do opamiętania doprowadzić oszalałe wojsko.

— „Sam ci ja zginę, — wołał hetman, — to przecie bądźcie na pogrzebie wodza waszego"...

Tymczasem śród tłumu, biegnącego do Prutu, równie tragiczne rozgrywały się sceny. Żołnierze, obłąkani strachem, dopadłszy rzeki, naoślep rzucali się w jej nurty i bądź tonęli, bądź wydostawszy się na brzeg przeciwległy, szli pod miecz bisurmanów. Utonął Kalinowski, zginął w czasie tej ucieczki Gracjan, zabity podstępnie przez własnych Wołochów, wielu dało szyję w walce, prowadzonej w ciemnościach bez ładu i komendy, wielu dostało się do niewoli. Wreszcie instynkt zachowawczy zawrócił część wojska do obozu. Lecz wtedy przerażający widok uderzył oczy powracających żołnierzy: śród dogorywającego ognia ujrzeli złupione namioty, ogołocone ze straży szańce, a cały obóz w największym nieładzie. Nowa trwoga zapanowała w tłumie.

— Dla Boga! gdzież hetmani?! — wołano z rozpaczą.

Żółkiewski, słysząc te okrzyki, postanowił ukazać się żołnierzom. Na jego rozkaz wyniesiono buńczuk hetmański i zapalono pochodnie. W krwawym ich blasku rozpoczął starzec wędrówkę po obozie. Teraz, na widok wodza, rzuciła się ku niemu obłąkana rzesza, szła za nim, a gdy obchód się skończył, zwartem kołem otoczyła złupiony namiot hetmański i nie chciała ruszyć się z miejsca. Nadaremnie rozkazywał Żółkiewski, by wszyscy biegli na okopy i wzmocnili szyki, które udało się zgromadzić hetmanowi polnemu.

Nikt słuchać go nie chciał.

Rozgniewany kanclerz porwał się do obuszka, a jego otoczenie zaczęło bić niesfornych żołnierzy i razami chciało zapędzić ich na szańce. Nic nie pomagało.

— „Woleli się sromotnie dać bić, — powiada naoczny świadek tej sceny Szemberk, — a niż odstąpić od głowy swej”...

— „Byś nas zabić miał, — wołali żołnierze do hetmana, — ciebie się nie puścimy, z tobą i za tobą umierać chcemy!...”

Widział zrozpaczony hetman, że nic nie poradzi na to obłąkanie, które ogarnęło wojsko, że tylko czas przynieść może upamiętanie i równowagę. Słuchał więc skarg i wyrzekań, a tymczasem coraz więcej żołnierzy, spotkanych szablą lub strzałą tatarską, widząc, jakiem szaleństwem była ucieczka po nocy, wracało do obozu. I kilku panów ze starszyzny, skąpawszy się w Prucie, zawróciło do okopów. Stanęli przed hetmanem Struś, Tyszkiewicz i Korecki. Ten ostatni, rycerz wielkiej sławy, cały jeszcze zmoczony, miał śmiałość uczynić hetmanowi zarzut z powodu panującego w wojsku popłochu, twierdząc, jakoby nie miał zamiaru wymykać się z obozu.

Starzec zmierzył go spokojnem okiem i odparł:

— „Ja tu stoję i woda ze mnie nie ciecze"...

Zamilkł na te słowa zawstydzony książę i od tej chwili do ostatka już wiernie dzielił losy hetmana.

Cała noc minęła śród hałasów, skarg, wyrzekań i trwogi. Dopiero nazajutrz, dnia 21 września o świtaniu uspokoiło się nieco żołnierstwo. Hetmani z wielką energją zajęli się przywróceniem ładu i obliczeniem sił, które im pozostały. Niewielkie były to siły. Z 8,400 żołnierzy, których Żółkiewski wyprowadził w pole, zaledwie 4,300 mu pozostało. Z taką garstką niepodobna było myśleć o zwyciężeniu potężnego nieprzyjaciela. Teraz istotnie położenie stało się rozpaczliwem. Na żołnierzach, zdemoralizowanych ucieczką, nie można było polegać, a rabunek, dokonany przez czeladź w obozie, kazał się lękać, by gwałt podobny nie powtórzył się przy lada zamieszaniu. Wprawdzie nie trudno było odnaleźć i ukarać przestępców, ale zbyt wielu było winnych i zbyt już osłabła powaga hetmańska, by można było ścigać łupiezców. Więc dopiero po uskutecznieniu odwrotu i przejściu Dniestru zdecydował się kanclerz wymierzyć karę rabusiom. Na radzie wojennej panom, domagającym się natychmiastowego ukarania przestępców, hetman zwierzył się ze swego zamiaru. Niestety, nie umiano dotrzymać tajemnicy i wieść o tym zamiarze dostała się do czeladzi, w najwyższym stopniu zatrwożyła winnych, a przyczynić się miała do nowej katastrofy.

W wojsku, pomimo pewnego uspokojenia się umysłów, trwało rozprzężenie i wzniecona nieufność do wodzów nie przestawała nurtować szeregów. Obawiano się, że Żółkiewski wymknie się cichaczem

i niesforne wojsko zostawi swemu losowi. Nic nie pomogły zapewnienia, na nic nie zdały się przekonywania, że obaj hetmani nigdy nie myśleli i nie myślą o ucieczce. Okropna trwoga, ogarniająca obóz, groza nowego buntu, wreszcie hańbiące podejrzenia doprowadziły do tego, że Żółkiewski publicznie, na ewangelję poprzysiągł, że nie opuści swoich żołnierzy.

Cóż dziać się musiało w duszy tego rycerza bez skazy, gdy wykonywał ową przysięgę, gdy on, osiwiały w bojach wódz, sławny w Europie całej zwycięzca, wielki kanclerz i wielki hetman koronny w tak poniżający sposób zmuszony był zdobywać ufność swych podkomendnych!...

Nigdy jeszcze tragedja wodzów polskich nie ukazała się w straszniejszem świetle, nigdy zapewne hetman nie czuł się smutniejszym i nieszczęśliwszym.

A przecież niewiele korzyści przyniosła i ta niezwykła ofiara, na jaką zdobył się Żółkiewski. Wprawdzie umysły uspokoiły się nieco, ale zwątpienie szerzyło się dalej. Uczestnik bojów cecorskich, Łukasz Miaskowski w liście swoim do przyjaciela z dnia 25 września 1620 roku w czarnych, beznadziejnych barwach odmalował ówczesne położenie wojska.

„Mój dobrodzieju, źle koło nas, źle! Turcy i Tatarzy zewsząd oblegli, śmierć, zgubę widzimy! szańce, kosze tuż porobili, z dział kule w namioty kanclerskie lecą, wał mały, przeskoczy go, prochów niestaje, konie drudzy jedzą. Za lada: hałła! hałła! w nogi od wałów. Rady ludzkie ustały, w Bogu tylko nadzieja. Już podobno waszmości, mój dobrodzieju, nigdy nie zobaczę. Proś za duszę moją Boga i wszyscy krewni niech proszą. Jeżeli też więźniem zostanę, to proszę o okup, bo śmierć, więzienie przed oczyma... Teraz

tu już głód — woda a mięso, innego nic. Deszcz, zimno, bieda. W tumulcie wszystko poginęło, jużeśmy poginęli"...

Tak wyglądała rzeczywistość, oglądana oczyma naocznego świadka.

Inaczej przecież patrzył na nią Żółkiewski. Pomimo tragicznych przejść, zachował on wielki spokój duszy i na chwilę nie poddawał się rozpaczy. W liście do króla, pisanym „w obozie okopanym na Cecorze dnia 24 września" spokojnie wspomina o wydarzeniach dni ostatnich. Ani jednej skargi, ani jednego wyrzutu, ani jednego słowa trwogi niema w jego liście. Nawet tych, co ucieczką shańbili swe imię, osłania hetman wspaniałomyślnem milczeniem i nikogo z nich nie wymienia z nazwiska.

„Były rzeczy dobrej nadziei, — donosił królowi,— że potężnie i dalej moglibyśmy czynić przeciwko temu nieprzyjacielowi, lecz nazajutrz, to jest w niedzielę, nie mała część ludzi naszych, którzy z wojska uciekli, pomieszali nam rzeczy. Nie mianuję na ten czas nikogo, wszak sami się tam ukażą, którzy nas tak nieprzystojnie odbieżeli, acz wątpię, żeby ich wiele miało ujść, bo pławiąc się w nocy przez Prut, siła potonęło i wielka część od nieprzyjaciela, który im tam lasem za rzekę zaszedł, pobici, pojmani. I ci źli, niebaczni ludzie wszystko wojsko zatrwożyli, że blisko tego było, iż już wszystko wojsko do takowegoż sromotnego uciekania miało się udać. Z jegomością panem hetmanem polnym i niektórymi panami rotmistrzami, co przy nas zostali, stałością naszą zatrzymaliśmy wojsko i stoimy tu od siebie bliżej, niż z Warszawy do Ujazdowa. Wojska sułtan Gałga i Iskiender basza mają wielkie, dobrze więcej nad 60,000. Więźniowie,

którycheśmy dostali, powiadają, żeby ich miało być do 100,000. Zapuścili się prosto byli ku państwom Rzeczypospolitej, atośmy ich tu zabawili, odważywszy na to zdrowie swoje. I dalej co się godzi wiernym waszej król. mości sługom i dobrym synom ojczyzny, czynić będziemy według największego przemożenia naszego. Jeszcze przeglądając to wszystko niebezpieczeństwo, pisałem po kilkakroć do waszej król. mości, żebyś raczył obmyślać o posiłkach i uzupełnieniu strat, teraz sam czas ukazuje, że tego pilna potrzeba, zaczem pewienem, że wasza król. mość nie raczysz nas zapomnieć. My tymczasem do ostatniego tchu zatrzymamy przeciwko waszej król. mości całą wiarę i miłość przeciwko ojczyznie"...

Widać z tego listu, że hart żelazny nie opuszczał hetmana.

Jakoż istotnie z całym spokojem przygotowywał się Żółkiewski do odwrotu, nie zaniedbując nic, coby śmiałemu przedsięwzięciu zapewnić mogło przebieg pomyślny. Zaprowadzał ład w wojsku, starał się podnieść ducha w przerzedzonych szeregach, a chcąc zyskać na czasie i omylić czujność wroga, wysłał do Iskiendera list z propozycją rozpoczęcia układów. W liście tym pisał, że nic nie wiedział o tem, iż sam wezyr jest na placu boju, że wydając bitwę, sądził, iż tylko z Tatarami będzie miał do czynienia, gdyż Rzeczpospolita nie chciała wojny z Turcją. Proponował Iskienderowi wymianę zakładników, żądając by w tym charakterze przybyli do obozu pol-skiego Kantemir, wódz Tatarów nogajskich i Hussein basza. Iskienderowi obiecywał hetman 100.000 czerwonych złotych, a nadto wielkie sumy dla sułtana.

Iskiender złakomił się ponętną obietnicą i dla rozważania propozycyj wodza polskiego zwołał wielką radę wojenną.

Pisarz turecki Kiatib Czelebi opowiada, że wezwani na radę dowódcy tureccy zgodnie wypowiedzieli się za rozpoczęciem układów. Wtem do namiotu, w którym radzono, wpadł dziki Kantemir, nieubłagany wróg Polaków. Wpadł „odziany żelazną zbroją z ogromnym na głowie kołpakiem, rycerz niezmiernej nakształt słonia postawy". Kantemir, powiódłszy dokoła okiem, spojrzał nienawistnie na posła polskiego i porywczo wykrzyknął:

— Co znaczy ten niewierny?!

Gdy Iskiender odpowiedział, że jest to poseł polski i wymienił warunki, jakie proponują Polacy, by rozpocząć układy, oczy Tatara strzeliły błyskiem wściekłości. W porywie dzikiego gniewu wrzasnął na wezyra:

— „Jak to! toć dla miłości niewiernego złota, sam niewiernym zostałeś! Ja przez lat trzydzieści, rżnąc swem żelazem ich ojce i syny, mam dzisiaj siebie oddawać w ich ręce, żeby mnie żywcem na rożen wsadzili? To są niewierni, z nimi żadnego niema przymierza, żadnych umów oprócz kindżała".

To rzekłszy, — powiada tenże pisarz turecki, — „skoczył, jak lew rozjuszony i śpiesznie wyszedł z namiotu, cały sczerniały od gniewu i wściekły"...

W ten sposób przerwały się układy.

Ale korzystając z przerwy w działaniach wojennych, pułkownik Marcin Kazanowski z wielką energją czynił przygotowania do odwrotu. Gdy zaś wszystko było gotowe do drogi, hetman rozkazał zwołać koło rycerskie. A kiedy ustawiło się wojsko, kanclerz,

wspierany przez rannego syna jedynaka, stanął pośrodku swoich żołnierzy. Widok wielkiego wodza, pod którym niejeden z obecnych stoczył wiele sławnych bitew i okrył się sławą, poruszył w tej stanowczej chwili serca żołnierskie. Zapanowało głębokie milczenie. Wtedy Żółkiewski, wodząc okiem dokoła, rozpoczął starym obyczajem mowę do rycerstwa. Przypominając wydarzenia dni ostatnich, stary wódz z wielkim bólem mówił o znieważonej powadze hetmańskiej, o nieposzanowaniu władzy, o tej strasznej chwili, jaką musiał przeżyć u schyłku żywota, gdy patrzał na przerzedzone haniebną ucieczką szeregi, na popłoch w wojsku, na opuszczone szańce, na obóz spalony i zrabowany przez swoich. Nie taił teraz, że położenie jest ciężkie, że nie pozostaje nic innego, jak zginąć z głodu, lub szablą utorować sobie drogę do ojczyzny. Ta ostatnia droga jedynie pozostała, więc tę drogę wybrać należy. Tu odwołał się hetman do męstwa i sławnych czynów wojennych żołnierza polskiego. Wskazując na okopy, wspomniał, jak w tem samem miejscu wielki Zamoyski poraził tłumy barbarzyńców i kośćmi ich usłał dokoła tę ziemię. Żądał wreszcie od żołnierzy pogardy dla śmierci, wołając, że jeśli trzeba będzie umrzeć, on pierwszy głowę swoją położy, w tej przecież nadziei, że ta śmierć sławę i życie rycerstwu jego przyniesie.

Poruszone do głębi wojsko okrzykami powitało tę mowę, wołając z zapałem, że chce walczyć z wrogiem i że w tej walce nie zawiedzie nadziei hetmana.

Lepszy duch zapanował w szeregach.

Dnia 29 września 1620 roku Żółkiewski dał znak do wymarszu z okopów.

Rozpoczął się słynny odwrót z pod Cecory.

XII.

ZGON ŻÓŁKIEWSKIEGO.

Tabor, uszykowany przez Kazanowskiego, przedstawiał kwadrat, liczący 600 kroków wzdłuż, a 300 w szerokość. Siedem rzędów wozów, spojonych łańcuchami, stanowiło czterokątną, podłużną fortecę, najeżoną od tyłów i czoła działami. Wzdłuż tej ruchomej fortecy posuwała się od pola uzbrojona w muszkiety piechota, powiększona spieszonymi żołnierzami jazdy. Rannych, bagaże i konie jazdy, których pozostało już niewiele, wprowadzono do środka. W przerwach pomiędzy szeregami wozów również maszerowała piechota, a miała baczyć na działa i w razie potrzeby spieszyć na zagrożone miejsca z pomocą.

W takim szyku o nieszpornej godzinie rozpoczął się pamiętny odwrót z pod Cecory.

Droga wypadała przez strome góry, przez jary, doliny i rzeki, a zagradzał ją liczny nieprzyjaciel.

Kiedy tabor ustawił się za okopami, dowódcy tureccy sądzili, że Polacy nową bitwę wydać zamierzają. Ale brak harcowników i kierunek pochodu wyprowadził z błędu wroga, a zarazem dodał mu odwagi. Zaraz też chmara Tatarów z przeraźliwym wrzaskiem ze wszystkich stron skoczyła ku uchodzącemu

wojsku. Powitano ten napad ogniem dział i muszkietów, a tabor ruszył wprost na koczowiska i namioty tatarskie. Ziejąc pociskami, obalając wszystko po drodze, posuwał się naprzód, jak żywioł niszczący, niczem niewstrzymany. Toczyła się walka u boków, wrzała na tyłach, ale od czoła pierzchały tłumy przerażonej dziczy, jak fale morskie, prute piersiami okrętu. Powoli, jakby z wielką rozwagą, śród huku dział i trzasku muszkietów, w ogniach i dymie postępowała w ciągu całej nocy ta twierdza woli polskiej, rozbijając po drodze wszystkie przeszkody, a wiernie trzymając się kierunku, który wskazywał stary hetman. O samej północy, nie bez strat, przeprawiło się wojsko przez błotnistą rzeczkę, przecinającą dolinę, a o świcie, ciągle walcząc, stanęło u miejsca przeprawy nad Prutem. Tatarzy w ogromnej liczbie uderzyli na tabor, a Turcy ogniem dział, ustawionych na wzgórzu, starali się zatamować drogę. Lecz żołnierz, posłuszny rozkazom wodza, acz znużony całonocną bitwą, walczył, jak lew. Odparłszy wszystkie ataki i zmusiwszy Tatarów do ucieczki, zwycięskie wojsko ruszyło dalej i w dogodnem miejscu, już bez przeszkody przeprawiło się przez Prut.

Tatarzy znikli z przed oczu.

Hetman zarządził odpoczynek, a rycerstwo, nabrawszy wiary w swe siły, wypoczywało po bitewnych trudach i do nowej szykowało się walki. Cały dzień upłynął spokojnie. Ale zaledwie gwiazdy zabłysły na niebie, a hetman dał znak do wymarszu, zaraz rozległy się dokoła wycia Tatarów, a później tętent koni ostrzegł wojsko, że zbliża się nieprzyjaciel. Rozpoczęły się zwykłe harce tatarskie, przypadania do boków i tyłu taboru, lecz nic już nie mogło wstrzy-

mać pochodu. Piechota strzałami muszkietów odpędzała napastników i tabor, raz po raz oświetlany błyskawicami ognia, posuwał się naprzód.

Pierwszego października, gdy o wschodzie słońca Żółkiewski zarządził odpoczynek, olbrzymie zastępy nieprzyjaciół ruszyły do szturmu i z wielką zajadłością starały się wedrzeć do wnętrza taboru. Na nic nie zdały się i te wysiłki. Rycerstwo polskie mężnie odparło wszystkie ataki i raz jeszcze zmusiło wrogów do odstąpienia. Wtedy Turcy, postanowiwszy sprowadzić wszystkie swe siły, by skończyć z garstką uchodzących Polaków, zaproponowali zdradziecko układy. Kanclerz rozumiał doskonale, że chodzi o zatrzymanie wojska polskiego na miejscu, dopóki nie przybędą Turkom posiłki, ale obawiając się więcej znużenia własnych żołnierzy, niż nowych sił nieprzyjacielskich, udał, że zgadza się na propozycje i polecił Krzysztofowi Drużbickiemu rozpocząć układy. Stało się, jak hetman przewidywał. Turcy uwięzili posła, a nazajutrz, wzmocnieni przybyciem posiłków, ze wszystkich stron ruszyli do ataku. Lecz rozbudzone męstwo polskie cudów zaczęło dokonywać. Wściekły atak z wielkiemi dla nieprzyjaciół stratami został odparty, a gdy przerażeni Turcy rozpoczęli się cofać, husarze dosiedli koni i runąwszy ścianą w niezliczone zastępy, gęstym trupem wrogów zasłali pole walki.

A gdy mrok zapadł, wojsko znowu rozpoczęło pochód.

Lecz każda noc stawała się coraz straszniejszą. Tatarzy, chcąc utrudnić Polakom drogę odwrotu, pozapalali w okolicznych wsiach wszystkie budowle, wszystkie stodoły, napełnione zbożem, wreszcie zapalili w polach wysuszoną trawę. Morze krwawych pło-

mieni oświetliło widnokrąg. Przez to płomieniste morze w ciągu dwóch dni i dwóch nocy prowadził hetman garstkę swych rycerzy. Lecz pochód nieustannie stawał się trudniejszym. Gdy dzień zajaśniał, żołnierz widział dokoła czerniejącą lawinę wrogów i słuchał wściekłej muzyki artylerji tureckiej, ustawionej na wzgórzach, a ślącej strumienie ognia i żelaza. To znowu świszczące stada strzał tatarskich przesłaniały niebo, to tłumy wyjącej dziczy rzucały się ku skrzydłom obozu, atakowały go od tyłów, zastępowały drogę od czoła, z dzikim okrzykiem cofały się na chwilę i znowu wracały do walki. Tumany pyłu, wzniecanego przez jazdę tatarską, wraz z żarem stojącej w płomieniach ziemi i spiekłego nieba, utrudniały oddech i niewysłowione cierpienia przyczyniały żołnierzom. Posępna, skłębiona kurzawa, zawisłszy nad taborem, przesłaniała promienie słońca i z ruchomej fortecy polskiej czyniła jakby jeden słup burego dymu, rozświetlany nieustannie błyskawicami armat i muszkietów. Stopy rycerstwa parzyła ziemia, powietrze paliło piersi, jak ogień. W obozie brakło żywności, a często brak wody dawał się odczuwać. Wojsko omdlewało na siłach. Ludzie, znużeni marszem, wyczerpani walką, zgłodniali, spragnieni, zasypiali, idąc i jak umarli walili się na ziemię.

— „Niejeden, — powiada Szemberk, — niżby obudzić się dać i wstać miał, wolał śpiąc wpaść w ręce pogańskie"...

Ale niezłomny duch wodza nie znał trwogi i niczem się nie dał przełamać.

Prowadził on swój tabor przez to piekło przeciwieństw, prowadził swą żelazną wolą coraz bliżej i bliżej ku granicom Rzeczypospolitej.

Siedem dni i siedem nocy, walcząc nieustannie, przebył trzy rzeki, liczne strumienie, jary, doliny i wzgórza. Dnia 6 października zbliżył się do Dniestru i stanął o dwie mile od Mohilowa, gdzie strudzone wojsko czekał odpoczynek, gdzie żołnierz, zaopatrzywszy się w żywność i amunicję, mógł nabrać sił i stawiać odpór nieprzyjacielowi, dopókiby nie nadciągnęły spodziewane posiłki.

Więc hetman jak najprędzej pragnął zbliżyć się do Dniestru. Lecz coraz straszliwsze znużenie ogarniało jego żołnierzy. Od bezsenności, głodu, od znojów i trudów bitewnych najsilniejsi zaledwie trzymali się na nogach. Ale i Turcy mieli dosyć walki, która przyprawiała ich o ogromne straty, a nie rokowała już nadziei zwycięstwa. Widząc hufce polskie, zbliżające się ku granicom Rzeczypospolitej, wojska tureckie raz jeszcze rzuciły się zajadle do boju, ale poniósłszy nową porażkę, dały za wygraną i zginęły z przed oczu.

Tylko Kantemir ze swymi Tatarami pozostał na straży taboru.

Wojsko polskie odetchnęło z ulgą. Bliskość Dniestru, poczucie, że niebezpieczeństwo minęło, udzieliło się wszystkim. Ale teraz dopiero inny, nierównie groźniejszy wróg, niż Turcy i Tatary przypuścił szturm do obozu. Tym wrogiem było znużenie, była bezsenność, głód, wreszcie przeświadczenie, że można zażyć snu i odpoczynku. Lecz hetman naglił do pochodu. Wtedy w znużonem śmiertelnie wojsku rozpoczęło się szemranie. Bliskość Dniestru, za którym wodzowie mieli się rozprawić z tymi, co zrabowali namioty na polach Cecory, zapaliła w czeladzi obawę. Widział Żółkiewski, na co się zanosi i już z naj-

większym trudem posuwał tabor dalej i dalej ku granicom ojczystym. Ale żołnierz coraz usilniej domagał się zatamowania pochodu i, czyniąc coraz większą wrzawę, samowolnie oddalał się z szeregów, byle choć na chwilę zażyć odpoczynku.

Kanclerz, jak mógł, tłumił rosnący niepokój, wiedząc, że całe wojsko zginie, jeśli tego dnia nie dosięgnie rzeki. Ciężki smutek ogarnął duszę hetmana: toż niemal na progu zbawienia groziła wszystkim zagłada, a obłąkanie żołnierza czyniło ratunek niemożliwym.

Tegoż dnia goniec, co szczęśliwie przedarł się do obozu, przywiózł hetmanowi list od małżonki. Wzruszony starzec, korzystając z chwilowego postoju, zasiadł do odpisu na ów niespodziany, a tak miły i drogi sercu jego dowód pamięci. Lecz posępne przeczucia musiały przepełniać duszę hetmana, bo w tym ostatnim liście żegnał się z wierną towarzyszką życia.

Oto co pisał Żółkiewski:

„Miłościwa jejmość pani, a pani małżonko ma, sercem ukochana i wieczyście miła!

„Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg Wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojniech hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec i nie koniec łaski Pana Boga świętej, która nas wszędy utrzymowała i nieprzyjaciołom tamę w bitwiech stawiać rada była. Jakoż kiedychmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem tego świtania, odebrałem pisanie waszej miłości, mojej sercem ukochanej i wieczyście miłej małżonki; toż po-

ciechą słówek kilka, a kto wie, może być, że i ostatnie pożegnanie. Jam pewien, że waszmość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, a chociażby i życia dla obrony Rzeczypospolitej i chrześcijan. Toż to pociecha będzie sercu memu. Tu w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Skinder basza i Gałga nie chcą już wiedzieć o układach i gotują się dać stanowczą bitew. Przetoż nie turbuj się waszmość, najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami, a choćbym i poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej niezdatny, a Pan Bóg Wszechmogący da, że i syn nasz, miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pogan zaprawi i chociażby tak było, jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jakobądź, załączam waszmości, najukochańszej małżonce miłość dla dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitej. Co Pan Bóg chce z swej łaski dać, niech się stanie, a wola jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tem mnie modlitwom i łasce waszmości, najukochańszej jejmości polecam i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam.

W obozie nad Cecorą,

dnia 6 października 1620 r.

Jejmości do zgonu kochający małżonek i ojciec

Stanisław Żółkiewski

hetman w. k.

Ten list, stanowiący piękną perłę naszego piśmiennictwa, wymownie świadczył, że w żelaznych piersiach hetmana złote biło serce. Z przedziwną prostotą odsłaniał on głąb swego uczucia, swą duszę rzewną i tęskną, swą skromność rycerza i obywatela, wreszcie swój patrjotyzm, który go prowadził przez życie i kazał je sterać na usługach miłej ojczyzny, a był jedyną miarą, na której szalach ważył własne uczynki i własny swój żywot. Zimno i poważnie patrzał w oczy zbliżającej się śmierci, ale widać ze słów pożegnalnych, że trwoga na jedną chwilę nie miała do jego duszy dostępu. Przekraczając progi ziemskiego żywota, stawał u kresu swych marzeń, które wypowiadał niejednokrotnie, a które teraz miały się spełnić.

Albowiem sprawdziły się złowróżbne przeczucia kanclerza.

Wojsko po chwilowym wypoczynku ruszyło w dalszą drogę, ale ruszyło z najwyższym wysiłkiem...

Na ziemię padał gęsty mrok i noc ciemnym swym płaszczem coraz szczelniej otulała znużone rycerstwo. Była godzina 10 wieczór. Głuchy szmer przebiegał z krańców w krańce taboru, aż bunt, tłumiony wolą hetmana, wybuchł, jak grzmot, i wrzawą śmiertelnej rozpaczy uderzył w ciemniejące niebo. Rzuciła się do stłumienia rozruchu starszyzna, ale głos jej utonął śród gwałtownego huku klątw i złorzeczeń rozjuszonej czerni. Rotmistrze zaczęli grozić buntownikom, że zasłużona kara spotka ich za Dniestrem, a ta niebaczna groźba, rzucona ludziom, upadającym ze znużenia, zgłodniałym, spragnionym, była jakby żagwią, ciśniętą na przygotowane do wybuchu prochy. W jednej chwili pękły karby dyscypliny, połamały się szyki

i rozprzęgło się wszystko. Całe wojsko przemieniło się w stado dzikich, obłąkanych ludzi, ogarniętych wichurą śmiertelnego lęku i rozpaczy. Oszaleli żołnierze, wściekli się ciurowie. Pierwsi wyrywali się z szeregów i lecieli naoślep przed siebie, drudzy rzucili się ku wozom i, spychając z nich chorych, rannych, mordując tych, co próbowali się opierać, uciekali na wozach lub, wyprzągłszy konie, uchodzili co prędzej z obozu. W czeluściach nocy kłębił się i przewalał cały tabor, jak czarny potwór, miotany konwulsją. Zgrzyt rozrywanych łańcuchów łączył się z głuchym łoskotem pękających wozów, z tętentem pierzchających koni, z jękami rannych i umierających, a wszystkie te głosy zlewały się w jakąś piekielną muzykę, od której zamierało serce i mąciły się zmysły.

Tatarzy, zawiadomieni o katastrofie od pojmanych zbiegów, sprowadzili znaczne posiłki i przypuścili szturm do tyłów obozu. Napad odparli Lisowczycy, ale dzicz tatarska, wyjąc przeraźliwie, posuwała się ciągle opodal i jak gromada wilków, pewnych swego żeru, czekała chwili, by ponowić natarcie.

Żółkiewski jechał na czele resztek wojska, które nie straciło jeszcze przytomności.

Ale obłąkanie i tę resztkę miało niebawem ogarnąć. Gdy rozpętał się bunt, dzielny Marcin Kazanowski usiłował uformować nowy, zmniejszony tabor, lecz otaczający wodza żołnierze zaczęli wołać, by obyczajem kozackim sprząc konie i, posuwając się za niemi, bronić się w razie napaści strzelaniem z muszkietów. Był to krok rozpaczliwy, prowadzący niechybnie do zguby, lecz piekło, szalejące w rozrywa-

nym taborze, uniemożliwiło przedsięwzięcie jakichkolwiek środków ratunku.

Widział Żółkiewski, że sponiewieraną powagą nie zdoła zapobiec nieszczęściu, że na nic już nie zdadzą się jego rozkazy. Jechał przecież na czele pozostałego przy nim rycerstwa i do ostatniej chwili pełnił swą powinność. Wtem śród wrzawy, która rozlegała się wkoło, usłyszał okropne wołanie:

— Hetmani uchodzą!...

Wstrząsnął się na ten okrzyk, zsiadł natychmiast z konia i by dać dowód, że nie myśli o ucieczce, szablą hetmańską konia swego przebił. Poczem oparłszy się jedną ręką na poruczniku Abrahamie Złotopolskim, a drugą na wiernym domowniku swoim, Kurzańskim, ruszył wraz z towarzyszami ku Dniestrowi. Przed Żółkiewskim szedł hetman polny, Stanisław Koniecpolski. Zaledwie uszli staj kilka, gdy tętent kopyt końskich dał znać o zbliżaniu się jazdy tatarskiej. Istotnie Tatarzy, jadąc na karkach Lisowczyków, wpadli w rozerwane ściany taboru i, dokonawszy dzieła zniszczenia, pomknęli dalej.

Otaczało kanclerza jeszcze 300 żołnierzy, tych właśnie, co przeszkodzili sformowaniu się nowego taboru. Lecz i ci, widząc zbliżającą się śmierć, dosiedli koni i pierzchli, znikając w ciemnościach.

— „Nie zostało nas,— opisywał później tę tragiczną chwilę porucznik Złotopolski, — tylko jedenastu, a pan hetman polny dwunasty z panem kanclerzem".

Żółkiewski w takiem otoczeniu uszedł jeszcze „na kilkoro strzelenie z łuku". Tracący siły starzec zaledwie iść zdołał. Podesłał mu konia ranny syn Jan, wlokący się z tyłu za ojcem na ocalałym od pogromu wozie.

Kanclerz kazał odpowiedzieć synowi:

— „Gdzie owce giną, tam powinien i pasterz, boby go spytano, gdzieś podział owce?"

Gdy otoczenie nalegało, by siadł na konia i ratował drogie dla ojczyzny życie, odparł niewzruszony:

— „Nie wsiądę, miło mi przy was umierać. Niechaj Pan Bóg nademną wyrok swój, który uczynił, kończy".

A gdy hetman polny Koniecpolski, dawny zięć, przyjaciel i najwierniejszy towarzysz broni, podprowadził znów konia, Żółkiewski powiedział:

— „Proszę cię, ty wsiądź nań a uchodź, niechaj szczęśliwy los na usługę Rzeczypospolitej zachowa cię, a ja swym tułowiem do ojczyzny nieprzyjacielowi niechaj drogę zawalę"!...*)

Tym razem przecież hetman polny nie usłuchał hetmana wielkiego i wraz z porucznikiem Złotopolskim niemal przemocą wsadził sędziwego wodza na konia. Właśnie, jak wicher pędził obok oddział jazdy polskiej, uchodzącej przed pogonią Tatarów. Koń, którego dosiadł Żółkiewski, zerwał się, skoczył ku cwałującej jeździe i uniósł hetmana z przed oczu najwierniejszych towarzyszy.

— „Od tego czasu jużem go nie widział", — pisał Złotopolski.

Ale i ów uchodzący oddział, z którym połączył się Żółkiewski, otoczony został niebawem przez rozlewającą się dokoła falę tatarską. Śmiertelny bój rozgorzał śród nocy. Hetman z szablą w dłoni rzucił

---

*) Słowa te znajdujemy w dwóch współczesnych źródłach. W mowie Tomasza Zamoyskiego i w Pamiętnikach o Koniecpolskich.

się w gąszcz śmierci. A nazajutrz Tatarzy odnaleźli jego ciało z ciężkiemi ranami na piersiach i z odrąbanem prawem ramieniem.

Tak w nocy z 6-go na 7-y października 1620 roku zginął wielki kanclerz i wielki hetman koronny Stanisław Żółkiewski.

ZAKOŃCZENIE.

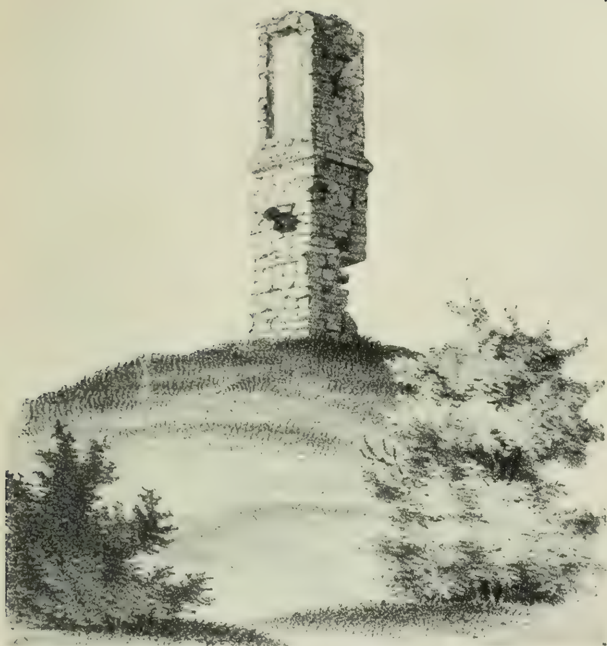
Wielka radość zapanowała śród barbarzyńców, gdy na pobojowisku odnaleziono zwłoki Żółkiewskiego. Ówczesnym zwyczajem bisurmańskim odrąbano głowę hetmańską i zatknięto ją na pice przed namiotem Iskiendera baszy, a później odesłano do Carogrodu ku uciesze sułtana. A sułtan dostojną głowę kanclerską, ów bezcenny, najdroższy klejnot, jakim poszczycić się mogła Rzeczpospolita, rozkazał zawiesić pod sklepieniami wspaniałej bramy swego pałacu.

Jeden z nadwornych poetów sułtana ułożył dwuwiersz, urągający bohaterowi:

„Głowa jego zawieszona została w złoconym szacha pałacu; tylko tego rodzaju wysokie miejsce godzien on jest zajmować na dworze Osmanów”...

Tak szydził dworski poeta sułtana.

A w Polsce lotem błyskawicy rozniosła się żałobna wieść o klęsce cecorskiej i tragicznej śmierci Żółkiewskiego. Zadrżała Rzeczpospolita, gdy do wiadomości publicznej przedostały się przyczyny katastrofy i szczegóły klęski. Albowiem w pamiętnym odwrocie z pod Cecory, obok kanclerza i hetmana wielkiego koronnego, zginął lub dostał się do niewoli kwiat rycerstwa polskiego, wytraceni zostali najznakomitsi owych czasów



Pomnik hetmana Żółkiewskiego w Bessarabji wr. 184.

pułkownicy, rotmistrze, najsławniejsi wojownicy, najtęższe ramiona i szable najdzielniejsze. Znalazł się w niewoli u Turków hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski, w jassyr dostał się Samuel Korecki, podobny los dzielili Struś, Bałaban, Kazanowski i obaj młodzi Żółkiewscy. Z całej starszyzny jeden Szemberk, sławny dowódca artylerji, jakby cudem uniósł cało swą głowę z pogromu. Z wojska, które wyprowadził Żółkiewski na wyprawę, zaledwie drobne szczątki ocalały. Tylko Lisowczycy, krwiożercze wilki, trzymające się razem, a drapieżne i niebezpieczne nawet w ucieczce, w 700 koni przerąbali się do Polski.

Wstrząsnęły się sumienia, gdy od rozbitków dowiedziano się o buntach wojska, o przeniewierstwie Gracjana i zdradzie możnych panów. A jednak ręka sprawiedliwości nie dosięgła Stefana Chmieleckiego, nie ukarała innych przestępców. Rzeczpospolita przechodziła obojętnie nad zbrodnią, acz zbrodnia nieukarana nowe rodzi zbrodnie, acz klęska cecorska wymownie świadczyła, w jak straszliwym stanie rozkładu i w jakiem niebezpieczeństwie znajduje się Polska. Na rozkaz arcybiskupa gnieźnieńskiego Gębickiego w całym kraju odbywały się 40-dniowe nabożeństwa żałobne z procesjami po rynkach i ulicach. Modliły się tłumy, płacz rozbrzmiewał w świątyniach, szarpany i prześladowany za życia Żółkiewski stał się w jednej chwili świętością narodową, ale zbrodniarze, co ocaleli z pogromu, pędzili żywot bezpiecznie. Rzeczpospolita nie śmiała podnieść na nich ręki...

Dnia 5 grudnia 1620 roku sejm oddał hołd pamięci kanclerza, a Tomasz Zamoyski, wojewoda kijowski,

wręczając królowi pieczęć i buławę po nieboszczyku, w wymownych słowach uczcił zasługi i śmierć bohaterską hetmana.

„Buława ta,—mówił,—za szczęściem w. kr. mości niezwyciężona w jego ręce, uspakajała domowe rozterki, gromiła nieprzyjacioły, waliła zamki, podbijała pod nogi waszej król. mości monarchje i monarchy... Nie przegrała ta buława w polu, owszem, siłą trupów pogańskich okryła go... torowała sobie drogę nie pokątnemi jakiemi ścieżkami, ale przez pośrodek nieprzyjacielskich hufców, któremi, kędykolwiek ruszyła się, pierzchać i rozstępować się musiały. Zwyciężyła trud, głód, niedostatek snu i napoju, najgłówniejsze natury ludzkiej nieprzyjacioły, a że swywoli wyuzdanej i szczęścia, albo raczej wyroku bożego od wieku przejrzanego złomać nie mogła, to nie onej podobna wina”...

„Umarł ten,—mówił dalej Zamoyski,—co najwyższe dostojeństwa w Rzeczypospolitej piastował, „ale tak, że jego trupa nie przestąpił nieprzyjaciel do państw waszej król mości. Dał Pan Bóg i śmierci jego to szczęście, że tem zwyciężył zwycięstwo samo i onego kolej na nas zatrzymał. Nie podał rąk nieprzyjacielskim postronkom i nóg okowom, broni się ręką ten nasz nowy Epaminondas, szyję naostatek, póki onego niezwyciężonego ducha Bogu nie oddał, nie podał nieprzyjacielskiemu mieczowi, umarłego się ledwie jął, którego, póki żył, zawsze się bał nieprzyjaciel”...

Ale oto nie stało hetmana, który swą piersią zasłaniał Rzeczpospolitą.

Zamoyski w mowie swej, poświęconej najwierniejszemu z obrońców ojczyzny, nie mógł nie wspomnieć o straszliwych następstwach jego zgonu.

„Nieprzyjaciel o granicę jest. Albo go nam zwojować i zrazić z przedsięwzięcia trzeba, który się na to usadził, aby przez te wrota przedarł się do posiędzenia wszystkiego świata chrześcijańskiego, albo wszystko wraz z ojczyzną stracić. Z Turkiem wojna nie igraszka, jakoście w ostatnim jego skrypcie słyszeli. Tu natchnijcie siły ducha radami, abyście jako wół nieprzyjacielowi do jarzma szyję nie podali, ale raczej wiarę świętą, zdrowie Rzeczypospolitej, dostojeństwo pańskie wcale zatrzymywali. Nie pomurujecie tak prędko zamków, wałów nie posypiecie, przyjdzie wam już nie cegłą, nie piaskiem, ale własnemi piersiami zasłonić tę ojczyznę, uzbrójcie piersi nie tylko żelazem, ale animuszami szlacheckimi, te będą najpewniejsze okopy i wały Rzeczypospolitej".

Jakoż śmierć hetmana targnęła sumieniami, a groza jarzma tureckiego zbudziła troskę o ratunek kraju. Porwała się Rzeczpospolita do oręża i w śmiertelnych zapasach z Turcją pod Chocimem pomściła klęskę cecorską.

Po całej Europie zabrzmiał głos triumfu i radości...

Ale w domu zmarłego kanclerza długo gościł smutek. „Wieczyście miła" hetmanowi małżonka, dzielna pani Regina upadała pod brzemieniem ciosów, które uderzyły w jej szlachetne serce. Na krótko przed otrzymaniem wiadomości o zgonie wysłała błagalny list do Tomasza Zamoyskiego i w śmiertelnej trwodze o życie małżonka, na Boga zaklinała wojewodę, by śpiesznie zebrał ludzi i szedł ratować kanclerza. Nie zdążyła otrzymać odpowiedzi, gdy przyszła żałobna wieść o bohaterskiej śmierci małżonka i o dostaniu się do niewoli ukochanego jedynaka. Nieszczęśliwa pani Regina, zrozpaczona utratą męża, ciężkie dni pę-

dziła w okropnej tęsknocie i trwodze o syna. Nie straciła przecież hartu ducha. Pomna na ostatnie słowa listu pożegnalnego: „zalecam waszej miłości pamięć na moje zwłoki”, wysłała natychmiast gońców ku Dniestrowi, by odszukali szczątki kanclerza. Wysłannikom udało się wykupić okaleczony tułów bez głowy, o której wydostanie podjęto starania w Carogrodzie. Zwłoki hetmańskie złożone zostały w podziemiach kościoła żółkiewskiego, a pogrzeb, jak tego żądał nieboszczyk, odbył się „bez pompy”, jeno trumna „na znak wylania krwie dla Rzeczypospolitej” przykryta była czerwonym aksamitem.

Pozostawało nieszczęsnej wdowie syna wykupić z niewoli. 200.000 talarów okupu żądali Turcy za Jana Żółkiewskiego, a była to na owe czasy suma tak wielka, że kanclerzyna prosiła króla, aby wszystkie srebra i kosztowności rodzinne pozwolono jej przekuć na monetę. Król przychylił się do prośby, ale nie starczyło skarbu żółkiewskiego na okup. Więc wdowa zewsząd ściągała należności, a prosząc Tomasza Zamoyskiego o zwrot pożyczonych mu niegdyś pieniędzy, pisała z przeszywającą serce rozpaczą:

— „Jeśli mi waszmość tej sumy nie oddasz, ja syna tracę”...

W pół roku później pisała znowu do wojewody:

— „Tu suma za syna tak wielka, tu kwarta druga, co ja mam sierota czynić. Już mi zdrowia i sił nie staje i słów do pisania”...

Zebrała przecież potrzebną kwotę i ukochany syn powrócił w progi rodzinne.

Jan Żółkiewski, pomny na słowa hetmana, który na kilka godzin przed zgonem wyrażał nadzieję, że syn, „miecz po ojcu wziąwszy”, zaprawi go na kar-

kach pogańskich i „pomści się krwie ojca swego”, powziął zuchwały plan zawojowania Krymu. Z tym planem pojechał do Warszawy, a uzyskawszy ciche pozwolenie króla i znalazłszy pomoc możnych panów, rozpoczął potajemne przygotowania do śmiałej wyprawy. Niespodzianie podczas pobytu w Warszawie otworzyła się źle zagojona rana, odniesiona w potrzebie cecorskiej — i młody Żółkiewski, marząc o pożodze, którą miał wzniecić w Perekopie, umarł ku rozpaczy matki i żalowi narodu.

Pani Regina w rok później zamknęła oczy.

Przed śmiercią z rozkazu jej w miejscu, gdzie zginął hetman, stanął pomnik z kamienia ciosowego, a pamiątka ta przetrwała wieki. Jeszcze w roku 1843 ks. Jeremjasz Woroniecki, zwiedzając pamiętny w dziejach Polski plac boju, odrysował ów pomnik i rysunek swój przesłał Bibljotece Warszawskiej. W kilkadziesiąt lat później kupa gruzu widniała na owem miejscu. Dziś zapewne i śladów pomnika trudnoby się doszukać.

Jeszcze smutniejszy los spotkał prochy Żółkiewskiego. Juljan Ursyn Niemcewicz, zwiedzając przed stu laty kościół w Żółkwi, zapytał dziada kościelnego, w jakim stanie znajdują się zwłoki hetmana.

— „Ciężko to rozeznać, — odpowiedział starzec. — Ksiądz Bratkowski, zeszły proboszcz tutejszy, kazał je wyjąć z trumny cynowej, zmieszał je z innemi kośćmi i w jedną trumnę drewnianą wszystkie zamknął, z cyny zaś, z trumny wielkiego hetmana kazał ulać lichtarze, które pan widzi na ołtarzach”...

Imię Żółkiewskiego szarpali za życia współcześni. Potomność nie uszanowała nawet prochów hetmana. Dopiero za naszych czasów szczątki bohatera złożono

w wielkiej urnie metalowej i ze czcią umieszczono w podziemiach kościoła.

* * *

Trzy stulecia mijają od zgonu Żółkiewskiego, a w pomroczu wieków imię ofiarnego hetmana nie przestaje jaśnieć światłem niezwykłego charakteru, blaskiem wielkich idej i czynów. Oddany całkowicie sprawom Rzeczypospolitej, utopił w tych sprawach wszelką myśl swoją i nie pomnąc na sprawy własne, brał żywy udział we wszystkich wydarzeniach, co wstrząsały Polską i walczył przeciw wszystkim jej wrogom. Jego zwycięstwa po całym świecie rozgłosiły sławę oręża polskiego. On jeden ze wszystkich wodzów, co walczyli z carstwem, wkroczył zwycięsko do Moskwy i nie tylko się w niej utrzymał, ale wyjeżdżał ze stolicy carskiej, jak triumfator, żegnany błogosławieństwami ludności. Niezwyciężony na licznych polach bitew, służył Rzeczypospolitej zarówno sławnym mieczem, jak głębokim umysłem, ogarniającym szerokie widnokręgi i daleko wybiegającym w przyszłość. Pragnął rozstrzygnąć jedno z największych zagadnień na wschodzie Europy i uczynił ze swej strony wszystko, aby to zagadnienie rozwiązała Polska. Historycy, rozpatrujący śmiałe plany Żółkiewskiego, niejednokrotnie wyrażali wątpliwość, czy młodziutki, bo liczący podówczas lat piętnaście, królewicz Władysław zdołałby odpowiedzieć temu zadaniu, czy zostawszy carem, nie poszedłby śladami swych poprzedników i czy nie stałby się zaciętym wrogiem Rzeczypospolitej, jak wszyscy carowie, czyhającym na jej całość i wolność. Oczywiście trudno rozstrzygać tego rodzaju wątpliwości. To przecież fakt, że król Zygmunt, nie godzący

się na wielki plan Żółkiewskiego, dwukrotnie potem ten plan podejmował i nie dopiął celu, który w swoim czasie, dzięki zwycięstwom i polityce Żółkiewskiego, z łatwością można było osiągnąć. I to pewna, że ówczesna Rzeczpospolita, prowadzona na manowce przez króla, a szarpana rozterkami wewnętrznemi, zatracała już zdolność do tworzenia nowych wydarzeń dziejowych i wcielania w życie wielkich idej, wpływających na losy Europy. Czuł w sobie wielkość Żółkiewski, ale tej wielkości nie było już w jego ojczyźnie. Wychowany w szkole króla Stefana, uczeń wielkiego Zamoyskiego, rozumiał konieczność uregulowania stosunku z wrażem carstwem moskiewskiem, jasno widząc, że prędzej, czy później dla obu państw wybije godzina śmiertelnej rozprawy i jeżeli Polska nie zdoła utrwalić swej nad Moskwą przewagi,to zczasem Moskwa wolę swą podyktuje Polsce. Ale dążąc do tej przewagi, wielki hetman był w zgodzie z najpiękniejszemi tradycjami czasów jagiellońskich: nie wygrażał zwyciężonym niewolą i kajdanami, lecz stał na straży idei współżycia równych i wolnych z wolnymi i równymi.

W stosunku do innych zagadnień swej epoki również wykazał wyższość nad współczesnymi. Wielki wojownik, napełniający świat sławą swych zwycięstw, nigdy nie dążył do wywołania wojny i zawsze odradzał ją królowi, jeżeli tylko honor Rzeczypospolitej nie wymagał krwawej ofiary. Unikał wojny z Turcją, był przeciwnikiem sojuszu z Austrją, a widząc jej zdradzieckie knowania, niejednokrotnie przestrzegał króla przed chytrością sąsiada, co na wojnach Rzeczypospolitej z Portą zasadzał swe plany i kosztem Polski rósł w znaczenie, aby zczasem sprzymierzyć się przeciw Polsce wespół z jej dwoma wrogami.

Widział również Żółkiewski niebezpieczeństwo, wynikające ze stosunku magnatów kresowych i ogółu szlachty do ludu ruskiego oraz do Kozaków, którzy na ucisk odpowiadali wybuchami zemsty. Pragnął przykuć do Polski ten lud wojowniczy sprawiedliwością, poszanowaniem jego potrzeb, jego odrębności, zwyczajów, religji. Dał tego dowód, gdy wzywał możnych panów na Rusi, by nie powodowali się zawziętością, gdy uśmierzając bunty kozackie, unikał przelewu krwi zbuntowanych i wyciągał do nich rękę pojednania, gdy wreszcie w swej Żółkwi wznosił cerkiew i osobiście stawał w obronie praw, przyznanych ludności ruskiej.

A jednak ten wielki mąż niejednokrotnie odczuwał swą bezsilność wobec małości króla, wobec prywaty magnatów, samowoli szlachty, wobec krótkowzrocznej polityki sejmów i swywoli żołnierza, który w ofierze Rzeczypospolitej niósł krew i życie, a nie mogąc doczekać się żołdu, wybuchał wkońcu jawnym buntem i niszczył owoce najwspanialszych swych czynów. Widział hetman wiele zła, na które nie znajdował ratunku. Nieraz trwożył się o losy miłej ojczyzny, nieraz słowem, co jak błyskawica rozświetlało mroki przyszłości, starał się do upamiętania doprowadzić wzburzone umysły i kres położyć straszliwym wichrzeniom. Ale głos jego przebrzmiewał najczęściej bez echa, albo też narażał go na niegodziwe zarzuty, otaczał go murem zawiści, szkalowań, potwarzy. Pomimo to trwał na stanowisku i pełnił dalej swój twardy obowiązek w służbie Rzeczypospolitej.

Wyjątkowa ta postać w szeregu znakomitych mężów, co nazwiska swoje wyryli na wieki w księdze dziejów narodu polskiego.

Miał równych sobie, a nawet wyższych nad siebie śród wodzów i statystów polskich. Ze współczesnych na tych samych wyżynach stał jako wódz Chodkiewicz, a jako statysta przewyższał go Zamoyski. Ale Żółkiewski nikomu ze współczesnych, nikomu z wielkich następców i poprzedników nie ustępował, a wielu najznakomitszych przewyższał ogromem ofiarności, gołębią dobrocią złotego serca, żelaznym charakterem i głębokiem poczuciem prawa. A to poczucie sprawiało, że on, wolny szlachcic polski, na chwilę nie zapominający o wywalczonych przez szlachtę swobodach, umiał swą wolność pogodzić z obowiązkiem karności wobec potrzeb i majestatu Rzeczypospolitej. To poczucie odbierało mu siłę, jaką daje w życiu i w walce pierwiastek osobistej namiętności, ale zarazem wznosiło go na najwyższe szczyty patrjotyzmu i poświęcenia.

To też w szeregu najdostojniejszych duchów, którym pokolenia potomne oddały władcze berło przewodnictwa narodowego, duch Żółkiewskiego stanowi szczyt odrębny, ma swój własny blask i własne swe kształty. Ofiarny hetman dla ojczyzny żył, za ojczyznę zginął. Był w swej epoce sumieniem Rzeczypospolitej, nosił w swych piersiach jej wielkość i sławę.

Więc po wieki imię Żółkiewskiego sławą otoczone będzie.

KONIEC.

TESTAMENT ŻÓŁKIEWSKIEGO

Większą część życia swego spędził Żółkiewski w pochodach i marszach, w ciągłych niemal walkach z wrogami Rzeczypospolitej. Widząc dokoła siebie obfite żniwo śmierci, niejednokrotnie rozmyślał o śmierci własnej, a zgon na placu boju w walce z wrogami Polski na wiele lat przed Cecorą stał się jego marzeniem. Nic dziwnego, że przed każdą wyprawą starał się ukończyć swe ziemskie rachunki. Jakoż niemal co roku pisał swą ostatnią wolę, uzupełniając ją nowemi rozporządzeniami.

Z testamentów Żółkiewskiego dopiero dwa zostały dotychczas ogłoszone. Pierwszy z roku 1606 wydrukował Michał Baliński w Bibljotece Warszawskiej z r. 1845-go. Testament ten, na który autor niejednokrotnie się powoływał, jest przepysznem zwierciadłem szlachetnej duszy i serca hetmana, jest zarazem w wielu swych ustępach do dziś dnia żywotnym i żywym testamentem wielkiego wodza narodu. To też dokument ten uważałem za konieczne uzupełnienie książki niniejszej *).

---

*) Łacińskie słowa, użyte przez Żółkiewskiego dla nieodrywania uwagi czytelnika, zamieniłem na polskie, podając dla ścisłości zwroty łacińskie w przypiskach.

Testament ten brzmi:

TESTAMENT STANISŁAWA ŻÓŁKIEWSKIEGO, HETMANA I KANCLERZA W. KORONNEGO.

W Imię Przenajświętsze Trójce Świętej Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Zawżdy każdemu człowiekowi ma być przed oczyma niepewność żywota tego doczesnego, gdyż niezliczonej liczbie przygód jest podległy. Zatem i ja, pamiętając na śmiertelność, a tem więcej będąc na teraźniejszej Rzeczypospolitej posłudze, gdzie sobie tego życzę, abym mógł zdrowiem swym zastąpić nieprzezpieczeństwo ojczyzny, a położyć żywot z pogany dla wiary świętej chrześcijańskiej, przeto tedy w obyczaj oświadczenia intencji i wolej swej ostatecznej na mocy*) testamentu, umarzając insze, jeśliby się który z pierwszych nalazł, to co jest niżej napisałem.

Naprzód wyznawam, iż wiarę świętą chrześcijańską podług wyznania Apostolskiego, synodu Niceńskiego i św. Atanazjusza wierzyłem i wierzę wedle konfesji Kościoła katolickiego, w tej to wierze do ostatniego skonania żyć mocną intencję mam, dla niej, co daj, Panie Boże, umrzeć sobie za największą pociechę pokładam i życzę, tejże wiary zasługą**) przez zasługę i męki Pana i Zbawiciela naszego odpuszczenia grzechów i wiecznego żywota oczekawam, a Pana Boga proszę, żeby mię w tej wierze świętej do ostatniego punktu żywota potwierdzać i umacniać raczył. Rzeczypospolitej ojczyźnie swej i królom panom swoim, których panowania zasięgły dostalsze lata moje, tak królowi Jego Mci Stefanowi, jako i teraz panującemu królowi, Jego Mci Zygmuntowi zachowałem całą i stateczną wiarę. Do praktyk żadnych, któreby były przeciwko dostojeństwu i zwierzchności Jego Kr. Mości nigdym się nie przymieszał, ani wiem o nich. A jako tak się czuję żem cnotliwie, wiernie służył Jego Kr. Mości panu swemu, krwie i zdrowia swego dla służby Jego Kr. Mości i Rptej nie żałując, tak mam nadzieję, że u Jego Kr. Mości będą w wdzięcznej pamiątce jakiekolwiek atoli chętliwe pra-

*) in vim; **) eiusdemque fidei merito.

cowite zasługi moje. A jakom przez pisanię swe jeszcze od syna swego oddał pod Mciwą opiekę Jego Kr. Mości, tak nie wątpię, że pod nię przyjęty, będzie znał łaskę Jego Kr. Mości, którąm ja sobie zasługował. Pokazuje się w niem jakakolwiek zdolność*); aczci Pan Bóg da, że w dostalszych leciech zejdzie się do służby Jego Kr. Mości i Rptej.

Podług opisania prawa pospolitego zapisałem był w ziemstwie Lwowskim a potym w grodzie Kamienieckim tutorią na pewne osoby, lat już temu kilka; niektórzy pomarli. Niezdało mi się potym u ksiąg odnowić. Cobych u ksiąg, kiedybych miał sposób, mianując Ich Mości pany opiekuny, zeznał, to teraz przychodzi w testamencie spomnieć. A iż tu dał Pan Bóg w ten kraj Jego Miłości księdza arcybiskupa lwowskiego, z którym żyjąc z młodszych lat, znałem zawdy stateczną Jego Miłości przeciw sobie łaskę: oddaję i teraz łasce i opiece Jego Miłości syna swego. Tymże sposobem J. Mci księdza biskupa kujawskiego, J. Mci pana wojewodę krakowskiego, J. Mci pana poznańskiego, J. Mci pana krajczego, prosząc I. Mci, żeby I. Mci raczyli być łaskawi na dom mój, osobliwie na syna mego, żeby go I. Mci raczyli dirigować do uczciwych spraw. W tutoriej dotknąłem tego, patrząc na śliski młody wiek, żeby do dwudziestu piąci lat wieku swego był pod władzą**) I. Mci panów opiekunów; toż i teraz powtarzam i to po niem mieć chcę.

Ciebie moja najmilsza małżonko poruczam Panu Bogu. Jegoż i twojej opiece poruczam dziatki spólne, pamiętając na to, w jakiej zgodzie i w jakiej miłości żyliśmy z sobą; niech nie gaśnie i nie umiera w tobie pamiątka moja. Pewienem o baczeniu twojem, iż jako za mego żywota chwalebne były postępki twoje, tak i po ześciu mojem nie poniżysz uczciwych spraw swoich. W baczeniu twem, któregom wiadom, nie mam wątpliwości, że dziatkom spólnym, póki cię Pan Bóg chować będzie, dasz takie wychowanie i taką pieczę mieć o nich będziesz, jako matka prawa, wiodąc ich do bojaźni bożej, wszelkiej uczciwości. Syna, ponieważ z łaski bożej chęć ma przedsię do nauki, i ma już początki niezłe, nie odrywaj go od tego i słódź mu to, co napilniej. W Zamościu się zaczęła

---

*) indoles; **) sub potestate.

nauka godna dzieci szlacheckich, i wolę że go tu w Polszcze, niźli gdzie indziej do cudzej ziemie uczyć dasz, bo to jest jawna, że nierówno większa liczba jest tych, którzy do cudzych ziem dla ćwiczenia jeżdżą, co więcej złych niźli dobrych obyczajów przynoszą; a zgoła rzadki z czem dobrem przyjedzie. Niech jako się poczęło uczy się z panem Tomaszem. Jeśliby za radą Ich Mci panów opiekunów do tego przyszło, żebyś go miała gdzie do cudzej ziemie posłać, wielka część wychowania a wszytko niemal na inspektorze należy. Jakiego kto chce mieć syna, takiego ma mu dać inspektora. Potrzeba człowieka cnotliwego, bogobojnego, dobrego rozsądku; do tego życzyłbym, żeby był rycerski człowiek; staraj się za jaką taką kondycją, żeby był taki przy synu naszym. Doma przy sobie nie chowaj go, do buty i do powagi nie każ go mieć; masz i sama domowy przykład, jako to rzecz szkodliwa. A gdy przyjdzie do lat dostalszych, albo królowi Jego Mci niech służy, albo żołnierską służbę, jeśli będzie w dobrym porządku. Lat młodszych koniecznie doma nie daj mu trawić, byś go zanadrzu chowała, przygody, jeśli Bóg jaką przeźrzał, nie uchronisz. Za domowem mieszkaniem próżnowanie, za próżnowaniem wszytko złe w człowieku się rodzi. Gdy będziesz miała co stanowić o sprawach, dotykających się syna naszego, ba i we wszytkich innych, mimo Ich Mci wyżej wspomnionych, dokładaj się Ich Mci pana sędziego i pana pisarza lwowskich, którzy iż bliżsi, w każdem przypadku, pewienem, że i ciebie i syna mego zdrową radą będą wspierać; na których łasce i dobrej przyjaźni jako ja, tak i ty się nie oszukasz.

Do Ich Mci wyżej wspomnianych, jeszcze proszę Jego Mci pana Jana Żółkiewskiego brata, i pana Adama synowca swego, którego dowcip jest dobrego, da Pan Bóg, oczekawania, żeć pomogą radzić jako w uczciwem przystojnem wychowaniu syna naszego, tak i innych wszelakich przypadkach.

Starsza córka nasza już ma opiekuna, którego jej Pan Bóg z wolej swej przeźrzał. Tę też drugą, mniejszą, Pana Boga opatrzności i opiece Jego świętej poruczam. Ich Mości panów opiekunów wyżej wspomnianych i twojej też osobliwie, jakom wyżej wspomniał, gdy przyjdzie stanowić bądź o wychowaniu syna albo też o postanowieniu córki. Mam nadzieję o łasce Ich Mci, że cię życzliwą i zdrową radą będą podpomagać.

I o to cię pilnie proszę, iż wiem o nieprzezpiecznem zdrowiu Jej Mci paniej podkomorzynej bratowej mojej, jeśliby Pan Bóg wziął ją z tego świata, żebyś córki jej, synowice moje, miała przy sobie i chowała pospołu z córką naszą.

Janie, synu mój namilszy, do ciebie teraz mowa moja. Z tego świata mi nie żal z inszej miary, ciebie bym był rad wprawował do bogobojności i wszelakich uczciwych spraw. A jakom cię miał za żywota ćwiczyć, zostawuję na piśmie krótką tę instytucję swoję. Teraz prze młodość nie pojmiesz albo mało co słów i napominania mego; do lat przychodząc, często je czytaj i ustawicznie miej na umyśle. Przedewszytkiemi rzeczami napierwej wiarę św. chrześcijańską powszechną mocnie i statecznie trzymaj; dla niej krwie rozlać, żywota położyć, nie żałuj. Bojaźń bożą ustawicznie miej przed oczyma, zatym wszytkiego dobrego i pociesznego na tym i na onym świecie będziesz pewien. Nie zostawiam ci włości i majętności wielkich, choć z krwawej wysługi miałem dochód nie mały: wszytkom obracał na służbę Rzeczpospolitej i część majętności po ojcu mem zostawionej uprzedałem, ale mi tego nie żal; nie na żadne marnotrawstwom tego obrócił i mnie i tobie to nie zginie, odpłata pewna niepochybna u Pana Boga za to, co kto dobrą intencją dobrem affektem czyni dla Rptej. Zostawuję uczciwą sławę, obraz i przykład uczciwych spraw swoich: kiedy się tak będziesz sprawował, jako cię uczę, jakom ja czynił, kiedy się będziesz Pana Boga bał, wiele dobrego będziesz miał, pewien bądź błogosławieństwa bożego. Królowi polskiemu, panu swemu, wiernie służ i Rptej ojczyźnie swej; dla dostojeństwa, dla sławy króla pana swego, dla dobrego Rptej krwie i zdrowia swego nie żałuj. Młodsze lata swe naukami poleruj, nie daj się nikomu w młodości twojej od tego odwodzić. Mnie wierz, z nauki wielką podporę i wielki ratunek do godności do służby Rptej do wszelakiego uczciwego życia mieć będziesz. Nie mów, jako wiele ich, nie mam chęci do nauki; w twojej mocy ta chęć, każdy kto chce, może ją mieć. Historyki koniecznie czytaj. Miałem i sam nie małą wiadomość historji i w biegu spraw siłam się tem ratował, żem przeszłych wieków sprawy wiedział. Gdy do męskiego wieku będziesz przychodził, rycerskie ćwiczenie jest szlachcicowi najprzystojniejsze; tem się paraj, próżnowania, jako po-

wietrza się strzeż. Mistrzem zaraz nie chciej być, byś nie pobłądził; przy hetmanie się pierwej baw, rzeczom się przypatrzywszy, dopiero też rotę możesz wieść. A jeśliby się potrzeba jaka Rptej podała, nie zostawałem sam nazad; nie dla chluby to wspominam, ale żebym z mego przykładu, w tobie tem większą chęć pobudził do naśladowania cnoty ojcowskiej. Z przedniemi się bierz, miej się do pokazania cnoty szlacheckiej, do uczciwej sławy; w kupie nie będzie cię znać, liczbą będziesz. Pomniej na to, że włos z głowy człowiekowi nie spadnie bez wolej bożej. A kiedy to dobrą intencję dla służby, dla dobrego Rptej czynić będziesz, pójdzie za tem uczciwa sława, będzieć Pan Bóg błogosławił. A byś też i umarł przytem, nic osobliwszego potkać cię nie może. I pogani tak rozumieli, że śmierć dla ojczyzny słodka; nuż jeszcze dla wiary świętej, jeślić się trafi okaza czynienia przeciwko Turkom, Tatarom, mówię do ciebie słowa psalmu 26: mężnie poczynaj, niech się pokrzepi serce twoje *); takiem umysłem położyć żywot, i u ludzi sławno i u Pana Boga (co jest najwiętsza) odpłatno. Jakom ja za naprzedniejszą część dziedzictwa wziął ten umysł z ojca swego i ty chciej być dziedzicem, jako w czem inem tak osobliwie umysłu mego. Niech przez cię nie będzie polżona, ale owszem pomnożona uczciwa sława moja. Kto ojca chwali, jeśli nie szczęśliwe dzieci **); co rzekł cny Aeneas synowi swemu, mówię i ja tobie: Ucz się chłopcze ze mnie cnoty i rzetelnej pracy ***). O to osobliwie chciałem cię napomnieć. Pana Boga między inszemi rzeczami proś, żeby do odmian w Rptej nie przychodziło za wieku twego, jako za mego żywota wiele tego Pan Bóg dopuszczał. Daj Boże, żeby to nie było. Ale skażony wiek, siła złych niebacznych ludzi. Z temi się nigdy nie łącz, jeśliby kto chciał do odmian rzeczy przywodzić, i owszem przy królu panu swym wedle możności się zastawiaj. Takowe odmiany panów, daleko nie chodząc, węgierską ziemię i wołoską do zniszczenia i do upadku przywiodły; i u nas naciężej by to raz począć, nie byłoby temu końca jeno upad-

---

*) Viriliter age, confortetur cor tuum; **) Quis patrem laudet nisi foelices modo nati; ***) Disce puer ex me virtutem verumque laborem.

kiem Rptej. Pomniąc na to, że wszelka zwierzchność od Pana Boga, choćby też i niedostatki jakie w panu, lepiej jest do jedności, niźli na odmianę, która jest szkodliwa i bardzo nieprzespieczna, rzeczy przywodzić. I królowie mają nad sobą więtszego Króla, który ich będzie sądził, jeśli co od nich źle *) ku krzywdzie ludzi, im od Pana Boga powierzonych, dzieje, Jeśliby zaś poszło z dopuszczenia bożego, bo i królowie tejże śmiertelności podlegli jako i insi ludzie, napominam cię, nie daj się żadnem skazam ani żadnem wymysłowem perswazjam uwodzić od tego, co będziesz rozumiał być z dobrem Rptej, z sławnem pożytacznem jej. Pożytków żadnych swoich nie szukaj z tej miary, ani o nich myśl; za wieku mego dom rakuski osobliwie zażywał tych przekupieństw; najdziesz i w szkatule mojej listy ich z obietnicami. Alem ja tego do umysłu swego nie przypuszczał, widząc i rozumiejąc, co i teraz tak rozumiem i z tem umieram, że panowanie domu tego byłoby złe **) koronie polskiej, zgubą i zniszczeniem wolności szlacheckiej.

Towarzystwo złe, młodemu zwłaszcza wiekowi nieprzespieczne jest i barzo szkodliwe; strzeż się, proszę cię, towarzystwa ludzi płochych, rozpustnych, mornotrawców, pijanic, zbytecznie wszetecznie żywiących; bacznych statecznych ludzi towarzystwa się też imaj, a osobliwie Ich Mci panów przyjaciół moich, których łasce i opiece poruczam cię, rady używaj, tejże się dzierż, tak czyniąc, nie zbłądzisz. A za takiemi postępki i sprawami da Pan Bóg twemi dajęć ojcowskie błogosławieństwo; niechaj ci błogosławi Pan Bóg wszechmogący, Bóg Abrahamów, Bóg Izaaków, Bóg Jakubów; niechaj prostuje drogi twoje ku czci i chwale imienia swego świętego, dla dobrego Rptej a ku uczciwemu i dobremu także twemu dusznemu i cielesnemu.

Ciebie też Kasieńku, moja córeczko, Panu Bogu poruczam i opiece Jego. Ćwicz się i ty w bojaźni bożej, wstydu, pokory i innych cnót, stanowi swemu przynależących; niechaj Pan Bóg błogosławieństwo i łaskę swą rozmnaża nad tobą. Naśladuj przykładu białych głów świętych, żebyś i sama była wzorem i przykładem wszelkiej uczciwości białogłowskiej.

---

*) perperam; *) exiciosum.

Wiesz, moja namilsza małżonko, zamysł mój o budowaniu kościoła na miejscu naznaczonym, gdzie już poczęła się materja gotować, modelusz też już jest gotowy na mojem pokoju. Wie o niem Paweł, nasz budownik. Staraj się, żebyś zbudowała ten kościół. Nie może być bez kosztu, ale żaden koszt lepiej się nie obraca, jako ten, który na odprawowanie chwały bożej. Tę majętnostkę, którąm kupił tak rok u pana Rzeczyckiego, legowałem do kościoła, i dałem już w dzierżenie kapłanowi, nie zeznałem zapisu, myśliłem jeszcze co więcej przyczynić, ale to przynajmniej niech nie będzie przywodzono do wątpliwości.

Szpital też wedle ordynacjej, którąm jeszcze do Inflant jadąc, podpisał, żeby był opatrowany teraz i napotym; ubodzy niech za nas Pana Boga proszą za żywe i potym za zmarłe. Budowanie, którem nie małem kosztem zbudował, przeglądając niebezpieczeństwa, które za nierządem Rz tej naszej a to i teraz nad nami wiszą, każ opatrować, żeby się nie psowało; wszak nie trzeba nic dalej, jeno żeby nie ciekło: a jeśli się gdzie dachówka zepsuje, o inszą nie trudno. Napis wedle tego jako jest na osobnej karteczce napisany, każ dać wylać na mosiądzowej tablicy wielkiemi literami, żeby go nad broną postawiwszy, mógł dobrze wyczytać. Szembeka we Lwowie się poradź. Jest i we Lwowie puszkarz, który się podejmie, ale nie wiem, jeśli uczyni dosyć. Pewnikiem we Gdańsku albo w Norymberku to wyleją.

Jest w sklepie nagrobek, którym dał wyrzezać nieboszczykowi panu ojcu swemu, żeby wedle tego był wylany na mosiądzu, i tak stojąc postawiony przy ołtarzu, którym dał postawić we lwowskiem kościele przy grobie jego. Proszę, żeby dać wylać nagrobek ten wedle tego wizerunku. Napis pod nogami, także na mosiądzu wylany, taki niech będzie jakom na osobnej karcie napisał.

Co się tycze pogrzebu ciała mego, przydaje się to i wielkim królom, że ciała ich bez pogrzebu zostają. Sławniejszy żywot i chwalebniejsza śmierć Władysława króla, co u Warny zginął, niźli wielu innych, co na ich nagrobki patrzymy. Ale to idzie wedle wolej i obiecania bożego. Życzę pewnie sobie śmierci tak słodkiej dla wiary świętej, dla ojczyzny. Ale niewiem, jeślim tej łaski od Pana Boga godzien. Jakożkolwiek

Pan Bóg przeźrzał, jeśli będzie sposób, niech będę pochowany w grobie ojcowskim, a bez pompy, bez owych koni, kirysów. Jednak, jeślibym w potrzebie umarł, miasto aksamitu czarnego, który znaczy żałobę, niech trumna przykryta będzie szkarłatem, na znak wylania krwie dla Rptej. A to nie dla chluby żadnej lecz dla pamiątki i dla pobudki drugich do cnoty i nie szanowania się dla ojczyzny.

Nagrobek też bez chlubnych słów; radzić się pana Symonidesa.

Na Kamionkę, moja namilsza małżonko, mawa spólne dożywotne prawo; obowięzuję cię miłością małżeńską i proszę, żebyś się starała o konsens synowi naszemu na spuszczenie jej, gdyż jako wiesz bez mała mu nie zręczniejsza niżli Rubieszów, które za konsensem Jego Kr. Mci ustąpiłem mu z prawa swego i już przeszła kwarta oddana jest jego imieniem. Najdą się przywileje i inne sprawy w wielkiej szkatule, każdemu starostwu służące w osobnej szufladzie; tamże i rohacińskie, kałuskie przywileje i sprawy; także też i sprawy należące frymarkowi Turzińskiemu, którym dobrze opłacił. Ali te podno nie wszystkie, bom niektórych pożyczył do spraw Jej Mci paniej Sanockiej; czegoby niedostawało proś Jego Mci pana pisarza, że odiszcze od niej albo z akt powyjmuje.

Domowe insze rzeczy, o sprzętach, o dochodach, tobie lepiej, niźli mnie są wiadome, bom swe myśli w sprawach Rptej utopił, swoich zaniedbawszy. Atoli com komu winien, i co mnie też kto, spisałem na osobnej karcie ręką swą także i z strony sług odprawy.

Stado, proszę cię, niech będzie w dobrej opatrzności, barzo rzecz jest potrzebna.

Jałmużny zakonnikom Bernardynom daj na Wielkanoc złotych pięćset na rzemieśniki, a potym na każdy rok dawaj, co możesz. I Sokalskich także ratuj; więc do szpitalów niech za nas Pana Boga proszą. (Data i podpis własnoręczny).

Stan. Żółkiewski
Cast. i. Het. K. (L. S.) w Braczławiu 12 Januarij 1606.

LITERATURA.

W książce niniejszej. mającej na celu spopularyzowanie biografji hetmana Żółkiewskiego, autor nie powoływał się na źródła, z których przy pisaniu tej pracy korzystał. W wykazie, zamieszczonym poniżej, znajdzie czytelnik ważniejsze źródła i literaturę, która stała się podstawą tej monografji.

Pisma Stanisława Żółkiewskiego, kanclerza koronnego i hetmana... Wydał August Bielowski, Lwów, 1861. — *Listy* Stanisława Żółkiewskiego, 1584 — 1620 (wydanie Lubomirskiego). W Krakowie 1868. — *Rękopis hetmana Żółkiewskiego*, wydany przez Pawła Muchanowa. Moskwa 1835. — Rajnolda Heidensztejna: *Dzieje Polski*. Tom I — II. Petersburg 1857. — *Kronika* Pawła Piaseckiego, biskupa przemyślskiego, Kraków 1870. — Stanisława Łubieńskiego: *Rozruchy domowe od r. 1606 po 1608*... Przełożył A. B. Jocher. Petersburg i Mohilew, 1855. — Jana Dymitra Solikowskiego: *Krótki pamiętnik rzeczy polskich*. Przełożył Władysław Syrokomla. Petersburg i Mohilew, 1855. — *Herbarz Polski* ks. Kaspra Niesieckiego. Tom X. Lipsk, 1845. — *Herby Rycerstwa Polskiego*, przez Bartosza Paprockiego. Kraków, 1858. — *Źródła do dziejów Polski*, wydawane przez Michała Grabowskiego, Mikołaja Malinowskiego i Aleksandra Przeździeckiego. Wilno, 1843 — 1844. — *Żywot Tomasza Zamoyskiego*. Napisał Stanisław Żurkowski. Lwów 1860. *Historja wojny moskiewskiej* przez Mikołaja Ścibora z Marchocic Marchockiego. W Poznaniu 1841. — *Pamiętniki* Samuela Maskiewicza. Wilno, 1838. —

Księcia Krzysztofa Radziwiłła: *Sprawy wojenne i polityczne.* Paryż; 1859. — *Collectanea z dziejów tureckich...* przez J. J. S. Sękowskiego. Tom I. Warszawa, 1824. — *Pamiętniki o Koniecpolskich...* Wydał Stanisław Przyłęcki. Lwów, 1842. — *Skazanja sowremennikow o Dimitrji Samozwance.* Tom I—V. S.-Peterburg, 1831 — 1834. — *Dzieje panowania Zygmunta III*, przez J. U. Niemcewicza. Tom I — III. W Krakowie, 1860. N. Kostomarow. *Smutnoje wremia Moskowskago Gosudarstwa.* S. Pbg—Moskwa. Tom I — III. 1833. — *Zgon Żółkiewskiego w cecorskiej wyprawie i pomnik jego w Besarabji...* przez Michała Balińskiego. Bibl. Warsz. Tom II, r. 1845. Tamże ogłosił Baliński *Testament* Żółkiewskiego, cenne dodatki, przedrukowane częściowo przez Bielowskiego.— *Hetman Żółkiewski* przez Seweryna Gołębiowskiego *). Bibl. Warsz., 1852. *Stanisław Żółkiewski.* Obraz historyczny z czasów Stefana i Zygmunta III, królów. Skreślił Józef Aleksander Starża. Tom I II. Berlin 1851. *Opowiadania o królu Janie III. Mściciel.* Przez Karola Szajnochę. Żytomierz 1860. *Pamiątki miasta Żółkwi*, zebrał ks. Sadok Barącz. Lwów, 1852. Juljana Ursyna Niemcewicza *Podróże historyczne po ziemiach polskich.* Petersburg, 1859.— *Żywot J. K. Chodkiewicza*, przez Adama Naruszewicza. Kraków, 1858. — K. Górski. *Oblężenie Smoleńska i bitwa pod Kłuszynem.* Przew. Nauk i Lit., 1895. - Tenże: *O wyprawie i klęsce cecorskiej.* Bibl. Warsz., 1866. — Aleksander Hirszberg. *Dymitr Samozwaniec.* We Lwowie 1898. — Adam Darowski: *Elekcja Władysława IV na cara.* Szkice historyczne. Petersburg, 1895. - *Car Wasilij Szujskij i miesto pogrebenja jego w Polsze.* Dm. Cwietajewa. Warszawa, 1901.—

---

*) Sprostowanie. Na stronie 5 książki niniejszej mylnie wydrukowano: *Gałęzowski* zamiast *Gołębiowski.*

TREŚĆ.

W DODATKU.

RYCINY:

